

David Mace.

Demon 4

Przełożył: Sławomir Stodulski

Rozdział 1

Forteca czyhała w głębinie oceanu jak milczący pająk.

Minął rok i dziesięć miesięcy od zakończenia wojny, tego olbrzymiego i bezcelowego marnotrawstwa militarnych zasobów, potencjału przemysłowego i ludzi. Zbyt wiele należało teraz zrobić i zbyt mało było do tego środków, a wszystkie dostępne ściągnięto do obrony przed żądnymi grabieży krajami Trzeciego Świata, które, długo uciskane, gwałtownie wyzwoliły się spod władzy gigantów Północy. Tu, na Oceanie Południowym, pola naftowe szelfu antarktycznego płonęły albo wypływały swoją bezcenną ropę wprost do lodowatego morza. Uprawy wysokobiałkowe leżały odłogiem, nie kontrolowane zanieczyszczenie niszczyło ławice kryla, a Argentyna i Chile walczyły ze sobą.

Walczyły o panowanie nad wyspami, które dawało prawo zarówno do oceanu, jak i do jego dna, ostatniego i największego na świecie źródła żywności i zasobów mineralnych. Argentyna walczyła z beznadziejnie osłabionymi aliantami NATO o Falklandy, co wiązało się z możliwością zagarnięcia olbrzymiego obszaru szelfu kontynentalnego. Chile sporadycznie włączało się do walki z tymi samymi krajami o wyspy w Cieśninie Drake'a, na północnym krańcu Półwyspu Antarktycznego, i o oceaniczne zasoby mineralne pod południowym Pacyfikiem. Walczyły przynajmniej o coś konkretnego, a nie o prestiż i uznawaną przez świat równowagę strachu, nie o dostęp do wnętrza Antarktydy, jak to miało miejsce w Europie. W biednej, spustoszonej Europie.

Tak więc ocalałe zasoby były rozciągnięte do niemożliwości. A forteca, ta niebywale potężna broń wciąż istniała i w każdej chwili mogła włączyć

się do walki w rok i dziesięć miesięcy od zakończenia wojny.

Ostrożne zabezpieczanie przez radar trwało dwa tygodnie i miało trwać jeszcze dwa dni, do momentu nawiązania współpracy między ośrodkiem kontroli a centrum dowodzenia fortu. Dopiero wtedy fort wróciłby bezpiecznie pod zewnętrzną kontrolę ludzi, dopiero wtedy można by rozpocząć rozbijanie i wydobywanie jego śmiertelnościami arsenału. Ale gdy okręt z ośrodkiem kontroli wśród mrocznej ciszy podkradał się do niego, gdy fort dopuszczał coraz bliżej tego potencjalnego wroga w nieskazitelnym przebraniu przyjaciela, coś obudziło jego czujność. Od tej pory był konsekwentnie podejrzliwy wobec najdrobniejszej zmiany w programie zabezpieczającym. Ostatecznie był gotów zabić, gdyby sygnał odzewu opóźnił się o sekundę. A zabijałby wtedy wszystko, sądząc, że to dobrze poinformowany wróg próbuje go unieszkodliwić, to znaczy, że wróg zwyciężył i dlatego każdy jest wrogiem. Zwało się to funkcją „koniec świata”.

Gdyby uaktywnił się Krak-1, pociągnąłby za sobą cały zespół, a to oznaczało niepowstrzymany chaos i zniszczenie na całym obszarze Oceanu Antarktycznego, od Wyspy Hearda do Morza Weddela. Byłaby to ostateczna katastrofa, której nie dałoby się odrobić.

Napięcie było zbyt wielkie. To już trzecia operacja zabezpieczania od czasu, gdy rozpoczęło się krótkie, polarne lato. Fort strzegący bogactw Morza Rossa, jego bliźniak panujący nad otwartym oceanem od Morza Rossa aż do Nowej Zelandii, a teraz Krak-1 w najdalej na południe wysuniętym zakątku Oceanu Indyjskiego, na zachód od Wyspy Hearda, na południowy zachód od Kerguleny i na południe od Wysp Crozeta. Leland był pełen obaw. Reszta ekspertów zdawała się nie mieć wyobraźni albo

wierzyła w absolutną doskonałość programu i powziętych środków bezpieczeństwa. Wydawało się, że wierzą, iż komputery, które dokładnie przeplatały zmodyfikowane pytania fortu właściwymi odpowiedziami i dostosowywały odstępy czasu do instrukcji podawanych przez fort, nie mogą popełnić błędu. Żaden z nich nie wypowiadał głośno myśli, że Krak może popełnić błąd. A gdyby popełnił, cóż, okręt utrzymywał położenie gotowości do ucieczki trzydzieści pięć kilometrów od centrum fortu, z wiatrem i z prądem, tak że nawet całkowita awaria silnika umożliwia im dryfowanie w przeciwnym do Kraka kierunku.

Ale dla Lelanda wyznaczona pozycja ucieczki znajdowała się wciąż jakieś pięć kilometrów wewnątrz obszaru obrony fortu, specjalnie, aby obudzić jego podejrzenia. A fort został wprowadzony w stan pogotowia w czasie wojny i od czasu rozpoczęcia zabezpieczania jego główny stos atomowy działał, a więc miał już moc potrzebną do wyrzutni rakiet. Gdyby to Leland był tym mózgiem, przykrytym czterema i pół kilometrami wody, wysłałby cichutko automatyczną stację bojową na dno morza, dokładnie w środek obszaru ewakuacji i wtedy nie uciekłyby mu żaden okręt zabezpieczający przybrany w piórka przyjaciela.

Gdy tak patrzył na urządzenia w zaciemnionej kabinie kontroli, czuł, że napięcie jest ogromne. Przesyłany z kamery niewyraźny obraz dna przesuwiał się monotonnie na ekranie w miarę, jak ciągnący za sobą linę pojazd podkładał się do punktu przerwania na dziesiątym kilometrze. Następny staktowany sygnał odpowiedzi był gotowy do wysłania z pojazdu, z zatopionej platformy i z samego statku. Jego boja sygnalizacyjna wciąż wysyłała w głąb morza poprawne, zmodyfikowane sygnały, układ wyjaśniający na wypadek niebezpieczeństwa był

zaprogramowany i gotowy do nadania, gdyby pojazdowi nie udało się dotrzeć do punktu przerwania przed kolejnym sygnałem odpowiedzi.

Krak słyszał skradający się w żółtawym mule pojazd, słyszał okręt, słyszał każdy dźwięk na olbrzymim obszarze morza. Zautomatyzowana forteca milcząc czyhała w głębinie oceanu, monstrualny pająk w środku swej obronnej kryjówki. Ich okręt wysłał na dno platformę oraz pojazd wiozący klucz kontrolny, mający zabezpieczyć Kraka, który dokładnie i ostrożnie śledził każdy szczegół rytuału zbliżania się. Postawiony w stan pogotowia w ostatnich dniach wojny Krak bronił się przed każdą, z wyjątkiem idealnie dokładnej, próbą zbliżenia się do niego, a jego łupem padało wszystko. Krążownik marynarki Stanów Zjednoczonych czekał ponad pięćset kilometrów na północ, ale nie był w stanie uratować okrętu zabezpieczającego. Jego zadaniem był natychmiastowy atak na fort rakietami dalekiego zasięgu, zanim Krak w pełni się uaktywni i stanie się odporny na atak. Okręt zabezpieczający dostarczał stacji całego potrzebnego sprzętu wraz z dwoma helikopterami, mogącymi zabrać ekspertów na bezpieczną odległość. Ale gdyby oni albo ich komputery lub sam fort popełnili błąd, wówczas okręt i jego załoga zostałyby zniszczone jako pierwsze.

Leland wraz z połową dziesięcioosobowego zespołu obserwował ścianę wskaźników w ciemnej kabinie kontroli dwa pokłady poniżej mostka.

Technik sterujący odległym pojazdem sięgnął do klawiszy monitora.

– Zmiana ciśnienia. – Gdy to mówił, na ekranie pojawił się wykres. –
Z tyłu pojazdu.

Kierowniczką zmiany przyglądała się ekranowi kręcąc głową. Obraz telewizyjny przesunął się po dnie.

- Coś przeszło obok. – Technik wzruszył ramionami. – Coś bez silnika.
- Może to wir? – zastanowił się Leland.

Nagle wszystkie monitory połączone z pojazdem zgasły.

Kierowniczką zmiany uderzyła klawisz interkomu.

– Tu zespół zabezpieczający. Pojazd nawalił. Na mostku przez chwilę panowała cisza.

- Zrozumiałem – to był głos kapitana. – Zarządziłem stan pogotowia.

Czy to awaria sprzętu?

- Sprawdzamy.

Technik monitorujący Kraka wprowadził zamazany wykres na jeden z ekranów.

– Nieznany obiekt zajął pozycję pojazdu. Teraz nie odbieram już sygnałów z pojazdu.

- Wybuch – odezwał się Leland. – Bardzo mały.

– Wybuchło – rzuciła kierowniczką do interkomu. Spojrzała na Lelanda. – Myślisz, że już po nim?

– Jest sygnał od Kraka. – Technik oglądał już następny wykres, ruchomą sylwetkę Manhattanu na czarnym tle, grzmiący krzyk pulsujący w mrocznych głębinach. – Czy to sygnał dla rakiet?

– Wysłał instrukcje dla wyrzutni – przekazała kierowniczką na mostek. Nabrała głęboko tchu. – Uaktywnił się.

Na całym statku zaczęły wyć syreny. Z dołu dobiegł dźwięk ryczących silników. Statek zaczął zawracać.

- Zespół zabezpieczający, uciekać – odezwał się głos kapitana.

– Rakieta – powiedział technik. Miał u siebie czysty obraz automatycznej stacji bojowej z odczytem pozycji.

- ASB zbliża się pionowo od dołu. Zostało mniej niż trzy minuty.
- Wiemy. Zespół zabezpieczający, uciekać!

Kierowniczką zmiany kiwnęła w ciemności głową. Spojrzała nie dowierzając na Lelanda, obróciła się i otworzyła na oścież drzwi.

Pędzili przez korytarze i przejścia wewnątrz wyjącego, przechylonego okrętu. Dotarli do hangaru i pobiegli do drzwi, przez które wlewało się światło dzienne. Jaskrawe słońce i lśniące, błękitne morze z białymi grzywami fal, kłuszący mrozem wiatr, oczekujący helikopter i drugi, którego silnik wył na wysokich obrotach, a strumień powietrza smagał pokład. Bezbronny okręt zakreślał szeroki łuk, aby uciec na wschód, w stronę odległej o pięć kilometrów magicznej granicy bezpieczeństwa, a automatyczna rakietka rwała w górę z głębin czterokilometrowej czarnej przepaści.

Pierwszy helikopter zawył, zakołysał się na kołach i gwałtownie odskoczył od przechylonego pokładu. Silnik cichł w miarę oddalania się pojazdu, aż znów słychać było tylko dzikie zawodzenie wiatru, na którego tle Leland odróżniał głuchy dźwięk kilwatu spienionego silnie za rufą. Spojrzał na wznoszący się helikopter, który unosił połowę zespołu zabezpieczającego.

Teraz silnik drugiej maszyny kichnął i obudził się do życia. Jej rotory zadrżały, zachybotały się, zawirowały i zniknęły. Załoga wepchnęła ich na trzęsący się płat i dalej do ogłuszającego wnętrza. Skostniali wgramolili się na pokład i upadli tam, gdzie ich popchnął pilot. Silnik zawył, helikopter pochylił się, złapał wiatr i wyrwał w stronę nieba. Leland spojrzawszy nad pokładem poprzez wciąż otwarte drzwi, przez które w czasie skrętu widać jeszcze było okręt, jego zielone pokłady i szarobiały kadłub

na błękitnozielonym, pofalowanym morzu. I nagle po obu stronach okrętu, od strony rufy i na śródokręciu wyfrunęły w powietrze fontanny białej wody, wyższe od mostka, od masztów nawet, olbrzymie kipiące fontanny, które wróciły kaskadami w białą kipieli. Było to uderzenie dwóch głowic bojowych i dym, i płomienie wtórnych eksplozji już buchały z pokładów i luków, gdy helikopter odlatywał.

Drżąc na całym ciele poczołgali się na swoje miejsca.

Amerykański krążownik rozkazał im lecieć na północ, w stronę lądu, nie do siebie. Został ciężko uszkodzony i wycofywał się, Krak był gotów do walki.

W dziesięć minut później drugi helikopter zameldował, że rakietą przebiła powierzchnię morza i zdąża w ich kierunku. Nie zgłosił się więcej. Krak potrafił niszczyć cele powietrzne.

Uciekali przez dwie i pół godziny do lądu, będącego granicą strefy zasięgu fortu. Zupełnie, jakby znów była wojna.

Rozdział 2

Samolot pędził ponad frontami burzowymi na południe od Nowej Zelandii, zostawiając za sobą słońce. Ani razu nie zobaczyła oceanu poprzez kipiące chmury, które wywoływały sztormy na lodowatym morzu. Czytała, studiowała nie kończące się strony z danymi na temat fortu i niewielkiej liczby dostępnej oraz w ten czy inny sposób użytkowanej broni i stacji bojowych, rozrzuconych wokół Oceanu Południowego. Po godzinie postanowiła odpocząć. Od czterech dni czytała i dyskutowała na temat maszynek do zabijania – na Szklanej Górze w Stanach, w czasie lotu nad Pacyfikiem, w Nowej Zelandii. Postanowiła odpocząć od maszyn, czytając o ludziach, którzy nimi sterowali; przejrzała akta personelu, z którym miała się spotkać na Kergulenie. Południowe słońce oślepiało odbijając się w okienkach po prawej stronie kabiny.

Zostały im dwie godziny lotu, przy prędkości półtora raza większej od prędkości dźwięku do Wyspy Balleny, złączonej z Antarktydą wiecznym lodem na zachodnim krańcu wielkiego obszaru zamrożonego Morza Rossa. Fort usadowił się pod otwartą gardzielą Morza Rossa, a jego bliźniaczy odpowiednik, strzegący otwartego oceanu na północy, aż do bronionych wód Nowej Zelandii, został szczęśliwie zabezpieczony wcześniej, podczas krótkiej nocy polarnej. Dlaczego ten sam zespół nie mógł sobie poradzić z Krakiem-1, oczywiście gdyby nie ten kapryśny wypadek z zabłąkaną stacją orbitalną krążącą od czasu wojny? I dlaczego Barbara Kastner miała to nieszczęście, że została wyznaczona?

Balleny leżała zamknięta w ponurym mroku burzy śnieżnej. Pas nie bardzo nadawał się do lądowania, lód był pokryty grubą warstwą

świeżego, sypkiego śniegu. Ale to nie przedstawiało trudności dla X-skrzydłowca. Samolot zwolnił do zaledwie czterystu kilometrów na godzinę i uruchomił czwórkę krótkich, wąskich skrzydeł obracających się, jak szerokie łopatki rotorów. Pilot wyciszył tylne silniki odrzutowe i niczym krótkościgły helikopter, w cudowny sposób radząc sobie z porywami burzy, wylądował w sypiącym śniegu obok hangaru na wprost baraków lotniska. X-skrzydłowiec był samolotem doskonałym, startował niemal pionowo, lądował, gdzie tylko było potrzeba, a mógł też lecieć poziomo z prędkością naddźwiękową. Podczas wojny panowałyby niepodzielnie na lądzie i na morzu, ale jego budowa zbiegła się z pojawieniem się ręcznego i okrętowego lasera, zabijającego dosłownie w momencie dostrzeżenia celu przez obsługę, co sprawiało, że załogowe czy automatyczne samoloty były na czystym niebie bezradne. Współczesna wojna między światowymi potęgami była tak wyrafinowana, tak zmechanizowana i tak bezwzględna.

Pozostała w ciepłej kabinie podczas jednogodzinnego postoju na Balleny. Nie miała ochoty stawić czoła furii początku zimy na granicy wiecznego lodu południowej półkuli. Logiczniej byłoby lecieć nad Wyspą Macquerie, dużo dalej na północ i dotrzeć do Karguleny daleką okrężną drogą wzdłuż południowego krańca Oceanu Indyjskiego. Ale Macquerie była największą bazą obronną australijskiej Antarktydy i Sowieci przeprowadzili tam atak atomowy w połowie wojny. Australia ogłosiła jednostronne zawieszenie broni w pięć dni po tym, jak Canberra odebrała kilotonowy atak odwetowy. Australijczycy byli rozsądni, cała reszta walczyła jeszcze przez trzy tygodnie.

Od Balleny samolot poleciał w stronę białego kontynentu, przecinając

go po cięciwie łuku, najpierw nad terytorium australijskim, potem nad pasem francuskim, nad dużo większym obszarem australijskim należącym do zachodniej Ziemi Wilkesa – roszczenia terytorialne były tu nieznane, ale zaczęły się, gdy żarłoczny świat przemysłowy potrzebował ropy i minerałów. Białe pustkowia, lodowe pustynie migające wśród nieskończoności chmur. Słońce na horyzoncie staczało się bezustannie na prawo rzucając oślepiające strugi światła w poprzek kabiny. Całej dwunastomiejscowej kabiny. Cały samolot tylko dla niej – to naprawdę coś znaczyło w warunkach kryzysu paliwowego i transportowego. Cały samolot ratunkowy dla niej i dla jedyne go dodatkowego pasażera, który wsiadł na Balleny. Przez małe okienko przyglądała się konstrukcji nachylonego lewego skrzydła. Godne podziwu były materiały dające temu cienkiemu skrzydłu sztywność i stabilność przy naddźwiękowej prędkości, szczeliny skrzelowe naginające strumień powietrza przy wznoszeniu, jakże cudowna jest współczesna technologia. Daje ci sześćdziesięciopięciodniowe wojny omal nie kończące tego świata, zostawia takie czorty, jak bezpańskie rakiety orbitalne i okrutny Krak-1.

Dostarcza też mniejszych demonów, z pomocą których można tamte ugryźć.

Powoli wspinali się w stronę słońca, które już nie zachodziło na północy. Z Wellington wyleciała w południe i tam pewnie już nadchodziła noc. Zmęczona była naradami w Stanach, długim lotem, dyskusjami nad planami w Nowej Zelandii, godzinami czytania. W Wellington rozmawiała z pełnomocnikiem Paktu Atlantyckiego do spraw operacji na Oceanie Południowym, z oficerem łącznościowym pełnomocnika rządu Sowietów, z przedstawicielami aktualnych posiadaczy terytoriów na Antarktydzie –

Australii, Nowej Zelandii, Norwegii, Wielkiej Brytanii i Francji – oraz z głównodowodzącymi południowego teatru wojennego Sowietów i Zachodu. W dwa lata i jeden miesiąc po wojnie wszystko opierało się na konsultacjach i współpracy zrodzonej z rozpaczliwej konieczności, spowodowanej przerażającymi zniszczeniami samej wojny, jak i ciągnących się po niej katastrof. Europa Środkowa znów była bezludziem, duże obszary USA i ZSRR zostały starte z powierzchni ziemi, Morze Północne płonęło, Antarktyda krwawiła i nikt nie miał wystarczającej siły do obrony tego wszystkiego przed zakusami nowych, małych agresorów tak nagle uwolnionych spod cienia potęg. I trudno było ich winić za to, że chwyтали co popadło u siebie i u sąsiadów. Nie po tym, jak północni bogowie uraczyli ich kraje pyłem radioaktywnym i zanieczyszczeniami na tak horrendalną skalę.

Wciąż lecieli w stronę słońca na horyzoncie, gdy zmorzył ją sen. Barbara Kastner nie powinna była nigdy objawiać swoich uzdolnień i swojej inicjatywy, bo okazało się to fatalnym i pechowym błędem. W tym powojennym świecie recesji, rozrzuconych po całym świecie zasobów i zawieszonych praw jednostki wyznaczają cię gdzie popadnie bez żadnej konsultacji. Wybierają cię i dają zadanie, mówią ci, co masz robić, przesuwają, zawsze zgodnie z surowym, polityczno-wojskowym prawem. Żadnego wyboru, wyłącznie rozkazy. Okazało się więc, że została kontrolerem koordynującym, którego zadaniem jest doglądać drugiej próby rozwiązania nierozwiązalnego problemu Kraka-1. Okazało się, że Barbara jest cywilnym funkcjonariuszem politycznym mającym kontrolować czysto wojskowe decyzje, duża zmiana w porównaniu z poprzednimi zadaniami łącznika między politykami a wojskowymi. To

ją właśnie martwiło, że siedzi samotnie na gałęzce przymocowanej do wojskowej hierarchii. Była niewielką ofiarą, gdyby nieudana próba miała spowodować pogorszenie sytuacji, takie jak przekroczenie progu nuklearnego przez Kraka-1 albo dołączenie następnego fortu w łańcuchu. Nie pierwszy raz rozmyślała w ten sposób nad zadaniem. Ale tym razem zbyt wiele było szans na niepowodzenie. Zabezpieczenie zawiodło i nie można go było powtórzyć, ponowne zbliżenie się do fortu nie było możliwe bez kosztownych strat, a wreszcie bezustanne straty podczas próby rozebrania go na części były nie do pomyślenia. Tak więc politycy podjęli decyzję, aby przetrzymać Kraka-1. Obawiano się stracić tak cenny obiekt strategiczny w tym regionie, ale był w tym i strach przed utratą pozostałych w wyniku wielostronnego uaktywnienia. Mówią, że ma to być rozwiązanie nieatomowe, bo ta zabłąkana rakiet orbitalna, która uaktywniła fort podczas zabezpieczania, już dosyć zanieczyściła okolicę i następna dawka radioaktywna byłaby nie do przyjęcia dla naszych. A tymczasem na papierze nie da się tego zrobić bez broni nuklearnej. Gdyby chociaż miała tę cenną broń zmarnowaną podczas pierwszej próby, żeby dodać ją do niewielkiego zasobu, z jakim robi to maniakalne drugie podejście. Nigdy nie okazywać uzdolnień ani własnej inicjatywy.

A więc używasz coraz więcej tych wojskowych rozbajających, niezgrabnie-wykwintnych zwrotów znaczących wszystko i nic, takich jak „koszty strat” i „przetrzymanie” Kraka-1 lub „utrata” następnych trzech w wyniku „wielostronnego uaktywnienia”. Kroczysz po słońcu i zasypiasz sobie.

– Kawy?

Był dobrym współpasażerem. Byłby dobrym asystentem. Nie odezwał

się, zanim się nie rozbudziła.

Kiwnęła głową. Promienie słońca cięły poziomo poprzez kabinę, niemal łącząc ze sobą okna, jakby uciekały nie zatrzymane w pustkę, skąd dobiegała bezustanna muzyka silników.

Wstał, przeszedł przez promienie w stronę drzwi z przodu i zniknął w nich. Był szczupły, ramiona miał prawie kwadratowe pod krótkim, dziennym mundurem porucznika Bundeswehry, nie nazbyt wysoki. Jego zimowe ubranie leżało przewieszzone na przednim siedzeniu: rosyjska, podbita futrem kurta, watowane spodnie, długi, nieprzemakalny anorak i potężne buty śnieżne wepchnięte pod siedzenie. Przyjechał ze stacji Leningradskaja na stałym lądzie na południe od Balleny. Jego poduszkowiec opóźnił się, bo złapał oblodzenie w czasie burzy i stąd wzięło się dłuższe oczekiwanie na Balleny. Miał dwadzieścia sześć lat, znał rosyjski, po angielsku mówił prawie bez obcego akcentu, nazywał się Martin Hausmann.

Wrócił niosąc tekturowy kubek z kawą, znów przecinając płonące promienie. Owinął kubek w białą serwetkę, żeby się nie poparzyła. Usiadł w fotelu po drugiej stronie przejścia, pod oknem z zaciągniętą zasłoną. Uśmiechnął się, wziął akta Kraka-1 i powrócił do lektury.

Znowu bolały ją nogi. Łyknęła kawy i zaklęła. Zawsze dłuższy brak ruchu sprawiał, że sztywniały i bolały, a nierozprostowanie kończyło się falami ognia. Dłuższy nadmiar ruchu sprawiał, że były słabe i rwały. Siłą rozprostowała je, wsuwając rękę kolejno pod obydwa kolana, a on nie zauważył. Lekki ból przetoczył się do góry i na dół, jak fala na powierzchni wody. Zacisnęła zęby i upiła kawy. Bez małych tabletek endorfiny nogi mogły ją boleć całymi dniami.

A więc wczytywał się w akta z narady na temat Kraka-1 w szczególności, a ogólnie w opisy fortów podmorskich. Właściwa nazwa brzmiała: Systemy Kontroli Obszarów Strategicznych. Wspaniale wykonany amerykański przyczynek do terminologii, martyrologii i cybernetycznej doskonałości wojny. Ale nie niezawodny, a przynajmniej nie w dawnym znaczeniu, jako niezdolny do błędnego działania, strzelania przez pomyłkę. Forty podmorskie były rozmyślnie zaprojektowane w odwrotny sposób.

Mogła niemal cytować z akt opisu.

Forty umieszczone na dnie morza są systemami automatycznymi i skrajnie autonomicznymi, które montują sieć doskonałych sensorów zdalnie sterowanych i radiolokacyjnych oraz mają centralne i obwodowe baterie broni mogące chronić i kontrolować obszar od dna morza do powierzchni, a także przestrzeń powietrzną nad nią w zasięgu do tysiąca kilometrów licząc od punktu centralnego. Aby to osiągnąć, fort ustala krąg obronny o promieniu czterdziestu kilometrów, od którego rozpoczyna ochronę obszaru o promieniu tysiąca kilometrów, broniąc dostępu wszystkim statkom i samolotom, z wyjątkiem rozpoznanych jako przyjacielskie. Po uruchomieniu fortu sygnały rozpoznawcze akustyczne i radarowe wysyłane są, zgodnie ze zmieniającym się kodem nadawanym przez Pentagon, wyznaczonym jednostkom.

Forty mogą samodzielnie przejść przez próg uruchomienia, jeśli staną się ofiarą bezpośredniego ataku. Dla normalnego uruchomienia konieczne jest nadanie sygnału instrukcji. W stanie pogotowia fort znajduje się na progu gotowości bojowej, uzbraja rakiety odpierające, uruchamia główny reaktor, rozpoczyna śledzenie wszystkich obiektów. Stan pogotowia

dopuszcza też uzbrojenie dodatkowych rakiet w czasie próby zabezpieczania. Stan obronny uruchamia tę funkcję na całym obszarze obrony pozwalając na atakowanie wszystkich celów według uznania, z zachowaniem reguł rozpoznawania przyjaciół. Stan zagrożenia równy jest działaniu odstrasżającemu w wypadku niebezpieczeństwa. W stanie zagrożenia fort nie uznaje żadnych przyjacielskich celów: każde działanie jest uważane za nieprzyjacielskie, niezależnie od wyglądu, zachowania czy znajomości kodu. Stan zagrożenia umożliwia obronę przed atakiem zamaskowanego nieprzyjaciela, a także broni wyznaczonego obszaru morza przed zwycięskim wrogiem, dopóki nie wyczerpią się zapasy broni fortu albo do momentu, gdy główny reaktor współbieżny wyłączy się po pięcioletnim okresie działania.

Fort będący w stanie pogotowia lub obrony można wyłączyć jedynie po przeprowadzeniu pełnej procedury zabezpieczania. Fortu w stanie zagrożenia nie da się wyłączyć i działa on jako narzędzie całkowitej zagłady. Niewłaściwe zastosowanie szczegółowej procedury zabezpieczania, programowanej osobno dla każdego fortu, powoduje wejście w stan zagrożenia chroniąc fort przed próbą zabezpieczenia przez nieprzyjaciela. Jakakolwiek walka w pobliżu miejsca zabezpieczania w czasie jego trwania jest uznawana przez fort za znak zabezpieczania nieuprawnionego i powoduje przejście do stanu zagrożenia.

Forty umieszczone na dnie morza spełniają kilka funkcji. Rola stróża, czyli zakładanie połączonych ze sobą stref obrony. Obrona tego obszaru, czyli zamknięcie go dla wszelkiej działalności i ruchu. Ochrona taktyczna, czyli umożliwianie swobodnych ruchów jednostkom przyjacielskim. Fort programuje się szczegółowymi instrukcjami uwzględniającymi geografie

obszaru działania – linie brzegowe, porty, jednostki patrolujące, przemysł oceaniczny. Przykładami fortów-stróżów są systemy chroniące amerykańskie wody terytorialne i obszar przybrzeżny Antarktydy od sześćdziesiątego do siedemdziesiątego stopnia. Przykładami fortów obronnych i taktycznych są Gyg-1 i Gyg-2 blokujące Atlantyk na wysokości równika. Zapewniają one bezpieczną przystań i swobodne poruszanie się jednostkom przyjacielskim, ale zapobiegają przedzieraniu się wroga na pomocny Atlantyk z teatru wojny na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim.

– Narzędzie całkowitej zagłady na ograniczonym obszarze – pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrzał na nią. – Dla wojskowego umysłu musi to być pełne uroku. – Rzucił okiem na akta. – A pobliska walka w czasie zabezpieczania sprawia, że traktuje on zabezpieczającego jak nieprzyjaciela i przeskakuje w stan zagrożenia. Co też, niestety, się stało. Czy ta stacja orbitalna była amerykańska czy sowiecka?

Barbara wzruszyła ramionami.

– Pewnie nikt nie wie. Orbitalna rakietka wystrzelona w czasie wojny, która potem zeszła na dziko z kursu i dwa lata później spadła dokładnie nie w tym co trzeba czasie i miejscu. Zabezpieczanie trwało już od dwóch tygodni. Jeszcze dwa dni i mieliby fort pod kontrolą z zewnątrz. Ale ta rakietka spadła i wybuchła, a Krak przeskoczył w stan zagrożenia. To bez różnicy, do kogo należała rakietka. Po prostu głupi przypadek.

Martin Hausmann pokiwał głową.

– A system Krak miał zgodnie z projektem bronić Morza Weddela, wybrzeża norweskiego, wybrzeża australijskiego aż do Zatoki Mackenzie, włącznie z brytyjskimi Południowymi Orkadami, Południowymi

Sandwichami, Wyspami Bouveta i Hearda oraz z francuskimi wyspami Kerguleną i Crozeta. Pewnie po to, żeby strzec ich przed Rosjanami w Południowej Afryce. Teraz Krak-1 wymknął nam się i może uaktywnić pozostałe trzy. Zdaje się, że strażnicy nie byli dość strzeżeni.

– „Quis custodiet ipsos custodes”, czy jak to tam szło. Miały strzec zasobów mineralnych, a nie zabijać wszystkiego w ich pobliżu.

Przyjrzał się jej uważnie. Widziała tylko jego sylwetkę na tle prześwietlonej słońcem zasłony.

– Nie należysz do kadry politycznej? – spytał.

– Jestem inżynierem – uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Jestem zwykłą ofiarą, tyle że bliską szczytu.

Promienie słońca zakołysały się. Opadły w dół rzucając płonące ślady pod okna po lewej stronie, po czym powoli wydłużyły się sięgając w głąb mrużących kabiny. Palący krąg przesunął się po jej ramieniu. Promień ześliznął się po głowie Hausmanna, nordyckiej głowie z przystrzyżonymi, jasnymi włosami. Słoneczne pręty pełzały po podłodze kabiny w miarę, jak samolot zmieniał kurs na północny.

– Czy minęliśmy już brzeg? – zastanowiła się głośno.

– Tak. Lecimy nad Zatoką Prydz. Wyjrzyj.

Obróciła się w stronę okna oczekując ruchomej tarczy białych chmur i mrocznej kry migającej poniżej.

Ujrzała poplamione czernią, mętnobrudne zwały gęstych, nieposkromionych chmur. Krajobraz utkany z żyłek nocy. Wszędzie poniżej oświetlonej słońcem stratosfery rozciągało się koszarne pole bez końca, zaorane w czarnobrunatne skiby. Samolot był w połowie skrętu i ukazał się odległy, oświetlony poziomym słońcem kraniec zachodni –

długa, opadająca skarpa pokryta bałwanami wzbijającymi się nienaturalnie wysoko ponad normalny poziom chmur. Minęli już Zatokę Prydz i przemierzali zawietrzną stronę Zatoki Mackenzie, a ta wielka, czarna równina to był dym z płonących pól naftowych. Jeszcze jedno Morze Północne. Sama widziała, jak Morze Północne traci swe bezcenne zasoby i pokrywa ruchomym całunem wszystkie kraje przybrzeżne. Ta wolno płonąca zatoka płomieni nie wyglądała tak źle, ale czarna równina pełna stosów w najwęższym miejscu miała ze sto kilometrów. Potworny cmentarz.

– To największy obszar ognia – usłyszała za sobą – ale jest kilka innych wzdłuż wybrzeża. Gdyby rozeszły się chmury, zobaczyłabyś śnieg. Jest czarny na długości ponad tysiąca kilometrów. W Nowej Zelandii, a nawet w Australii pada czasem czarny śnieg.

Skinęła głową. Spojrzała znów na wnętrze kabiny i uśmiechnęła się blado. Zmiana kursu zakończyła się i słońce nie wpadało już do kabiny. X-skrzydłowiec leciał teraz prosto na północ.

– A te forty – wrócił do tematu Hausmann. – Nigdy nie słyszałem takich imion. Krak, Gyg, Briar, Cot – skąd je wzięli?

– Gyges, Briareus, Cottus. Greckie potwory. Były Centymanami, sturękami – wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy te były potworami morskimi, w każdym razie Krak był. Kraken to coś w rodzaju skandynawskiego węża morskiego.

– Mają więcej niż sto rąk – popatrzył na akta Kraka-1 i zamknął je.

A więc ponury młodzieniec pomyślała, wyszkolony żołnierz, który lubi się rozwodzić nad okropieństwem śmierci. A kto nie lubi, gdy staje z nią twarzą w twarz, musi się z nią zmierzyć?

– Kiedy spałaś dostaliśmy wiadomość – przypomniał sobie. – Pierwszy samolot wiozący Demona-4 i jego obsługę przybył na Kergulenę.

Skinęła głową. Demon-4 miał piętnaście metrów długości i ponad trzy metry szerokości. Znalezienie odpowiedniego samolotu, który przewiózłby go z Morza Szcockiego na Kergulenę i w dodatku wylądował na niewielkim pokładzie statku typu STÓŁ, wymagało całego szeregu rozkazów.

– Czy on nie potrzebuje statku macierzystego? – zapytał.

– Nie, to broń działająca na całym teatrze wojennym. Ma zasięg większy od rekina, a zastosowanie większe od łodzi podwodnej z załogą. Statek macierzysty zawsze lepiej widać niż jego dziecko, prawda? Pozbawiony suchego doku, bez jednostek mocy i dowodzenia, waży zaledwie dwadzieścia ton, a oni znaleźli mi pięćdziesięcotonowy samolot. Dzisiaj po południu brytyjski STÓŁ przywiezie resztę.

– Nie mam pojęcia, co tam jest. Wy Amerykanie nigdy za wiele nie mówicie aliantom o swoich najnowszych broniach.

– Przeczytaj akta. Te czarne – poradziła mu. – Warto żebyś o tym wiedział. Jak na coś tak małego, robi wrażenie. Najmocniejsza jednostka nowej generacji na całym świecie, a wszystkie cztery z tej serii zostały wprowadzone dopiero w ostatnich sześciu czy siedmiu miesiącach. Demon-4 przyjechał prosto z ćwiczeń z marynarką i piechotą morską. Był w południowej Georgii przez parę tygodni i ciągle jeszcze poddawany jest testom.

– Wypróbowano go w warunkach bojowych?

– Jeszcze nie. Ale będzie miał szansę sprawdzić się teraz.

– Niebezpieczna szansa. Możecie go stracić. Poprzednia próba

zbliżenia się do fortu kosztowała dwa kutry bojowe, łódź podwodną, rekina SASB i trzy myśliwce. Były to wszystkie jednostki w rejonie Weddela i Półwyspu Antarktycznego niezaangażowane w obronę. Wszystkie nie licząc sowieckich. Po uaktywnieniu się fort zatopił okręt będący jedyną większą jednostką Paktu Północnoatlantyckiego w okolicy. Teraz ryzykujesz utratę być może ostatniej rezerwy strategicznej. Jeśli Sowieci zdołają przesunąć tu jeszcze jeden niszczyciel albo łódź podwodną, będą mieli punkt zaczepienia.

Barbara wzruszyła ramionami.

– Potraciliśmy miasta, ziemię i ludzi. Kogo obchodzi jakiś parszywy fort i trochę parszywej broni – z wyjątkiem tych biedaków, którzy od niej zginą. Wojna się skończyła.

Ani my, ani Sowieci nie mogą sobie pozwolić na więcej. Teraz jest współpraca, sprzątanie i pilnowanie tego, co mamy wspólne. Pokonaliśmy resztę świata siłą. Teraz będą nam zabierali każdy kąsek, jaki się da i trudno ich za to winić. Martin Hausmann potrząsnął głową. Otworzył akta Demona-4 i zaczął czytać.

– Ulepszona samodzielna automatyczna stacja bojowa, łódź dalekiego zasięgu, wielozadaniowa, Demon-4. Dumne imię dla niewielkiej stacji bojowej. – Pokręcił głową. – A więc to jest mała, bezzałogowa łódź podwodna. Sama decyduje, ma podobne możliwości, no i większy zasięg. Inteligentna, automatyczna rakietka. Bardzo to miłe, zatrudniać czyste maszyny, żeby za nas zabijały, zamiast wdawać się w dysputy z moralistami ludzkimi.

X-skrzydłowiec dążył uparcie na północ, przekroczył koło polarne, zostawiając za sobą bandaże dymu. Ścigał wolno wspinające się słońce.

Pod chmurami widniała twarda powłoka brudnego zimowego lodu, pod którym kłębiła się czarna woda. Poza szelfem kontynentalnym opadała coraz głębiej tworząc ciemną, nieprzyjazną przestrzeń, przerażające królestwo demonów i krakenów, ale nie ludzi. Koszmar dla wrażliwego umysłu.

– Martin? – zaczęła.

Spojrzał na nią z drugiej strony przejścia.

– Skąd ty się tu wziąłeś? Jedyne porucznik Armii Niemieckiej w całej Antarktydzie. Niemcy nawet nie mają roszczeń terytorialnych w tym rejonie, ani dość okrętów, aby zaopatrzyć lokalną stację.

– Wyznaczono mnie tutaj jako łącznika z Rosjanami. Właśnie pożyczycie mnie ze stacji Leningradskaja. Przedtem byłem na Wyspie Piotra I, gdzie Rosjanie próbują powstrzymać Chile przed zajęciem pól naftowych na szelfie Bellinghausena. Spędziłem też miesiąc na Falklandach, kiedy Argentyna pierwszy raz wysadziła tam desant.

– Masz doświadczenie bojowe i znasz dobrze rosyjski. Nauczyłeś się go w czasie wojny?

– W czasie wojny dostałem się do niewoli.

– W Europie?

– W Norwegii. Moja jednostka stacjonowała w Finmarku jako część Sił Szybkiego Reagowania, a to jest tuż przy granicy, koło Murmańska.

– A Sowieci zajęli tę prowincję jako zabezpieczenie przed naszym atakiem na ich największą bazę. W drugim tygodniu wojny.

Skinął głową.

– Wzięli mnie koło Tana w fiordzie Tana. Zginęło ich mnóstwo, ale nie warto było. Rozjechali nas w trzy dni.

– Czy współczesna zmechanizowana wojna naziemna jest tak okropna, jak mówią?

– Jest – potwierdził. Barbara pokiwała głową.

– Miałam posmak tego na morzu. Pod sam koniec. Powierzali niedoświadczonym ludziom zadania specjalne, bo już niewiele zostało regularnych wojsk. Tak się zaczyna historia o tym, jak skończyłam w tym bałaganie tutaj. Uruchomili ten swój cholerny fort, stracili trzy miesiące i nic nie zrobili, wyrzucili w błoto jedyne siły, których można było użyć przeciwko niemu, a potem wzywają wygodnego niefachowca, żeby ratował ich z pułapki. Będą mogli wtedy wszystko na mnie zwalić.

Kiwnął ze zrozumieniem głową i wrócił do czytania akt.

X-skrzydłowiec leciał na północ ponad chmurami, krą i coraz głębszą wodą. Trzy, może cztery kilometry mrocznej, wodnej pustki. Wzbudzało lęk. Leciał na północ, gdzie lód na powierzchni kruszył się w kawałki, a ciemnoszare prześwity lodowatej wody rzucały groźne spojrzenia spod warstw chmur. Na północ, omijając wschodni kraniec śmiertelnego promienia obrony Kraka, nie zaznaczony na mapie pośród prądów morskich, dryfujących lodów i kierunków wiatru. Godzina lotu do Hearda i maleńkiej Wyspy Macdonalda, potem na północo-zachód ponad wodami równiny Kerguleny-Hearda, gdzie wojna zniszczyła podmorski przemysł, a zrujnowany pokój nie mógł go odzyskać. Skrajem niewidzialnego królestwa Kraka następne pięćset kilometrów, następne dwadzieścia minut kursem wprost na wstające słońce.

Kergulena leży na Oceanie Indyjskim w połowie drogi między Południową Afryką a Australią, ale bardziej na południe, w królestwie dziko krążących „Ryczących Czterdziestek” i Dryfu Zachodniego, zimnej,

powierzchniowej części leniwego i lodowatego Antarktycznego Prądu Okołopolarnego. Temperatura wody przy powierzchni wynosi w najlepszym wypadku trzy stopnie Celsjusza. W centrum wyspy królują stałe lodowce i całkowicie pozbawiona jest naturalnie posianych drzew. Po przekątnej, od przylądka na północnym zachodzie do krańca południowo-wschodniego, wyspa liczy sobie sto pięćdziesiąt kilometrów, ale ta przekątna kilkakrotnie biegnie po powierzchni wdzierającego się morza. Linia brzegowa na południu, wschodzie i północy stanowi postrzępiony labirynt wysp i wysepek, cieśnin i kanałów, wąskoszyjnych, łukowatych półwyspów i raf zamykających nieregularnie rozrzucone zatoczki. Kergulena jest dzika, bardzo niegościnna i jest własnością Francji.

Ostatnim dobrem wyspy był kelp, szybko rosnąca, osiągająca kilkadziesiąt metrów odmiana wodorostu pokrywająca meandry linii brzegowej, ale szkody wojenne i nadmierne wykorzystywanie sprzętu i personelu wykończyły ten przemysł. Dzięki niemu można było prowadzić poszukiwania głęboko na Plateau Kerguleny-Hearda, stanowił bazę dla nowych łowisk na Oceanie Południowym, ale wojna i ciągły stan zagrożenia wykończyły go. W Port aux Francais na wschodnim krańcu znajdowała się jedyna na całym obszarze Antarktydy znacząca francuska baza wojskowa. Wojna starła ją z powierzchni ziemi jednym silnym uderzeniem konwencjonalnym. Jedynym na Kergulenie obiektem wojskowym nadającym się do użytku było małe skupisko walących się baraków i schronów roboczych na nieosłoniętym brzegu zachodnim kryjące się nad wąsko wciętą zatoczką po złej stronie Półwyspu Loranchet, nadgryzionego i poszarpanego przez fale. Stany Zjednoczone udostępniły tę bazę dla prowadzenia sieci inwigilacji sonarnej w skali lokalnej

i oceanicznej oraz dla wspólnych eksperymentów nad wykorzystaniem fauny morskiej do obrony wybrzeża. Nie było nawet nazwy dla tego miejsca.

Nie było nawet pasa startowego. Komunikację prowadzono morzem i za pomocą promu śmigłowcowego z bazy francuskiej. Potem wojna zmiotła francuską bazę wraz z jej lotniskiem. X-skrzydłowiec opuścił się poprzez ciemne, strzępiaste chmury i wylądował pionowo na olbrzymim pokładzie typu STÓŁ statku-przetwórnego zakotwiczonego w zatoce. Przerobiony z supertankowca, statek ten krążył kiedyś po Oceanie Południowym zbierając kryla, skorupiaka, którym od dawna nie żywiły się nawet widma wielorybów. Załoga prowadziła niezależne życie na olbrzymim okręcie zajmując się przetwórstwem i połowami na łodziach, których całą flotyllę zawierało monstrualne wnętrze eks-supertankowca.

Dawną nadbudówkę na rufie usunięto i zastąpiono małym pomieszczeniem przy burcie, a cały pokład zamieniono w pas do lądowania długości ośmiuset metrów. Ale jego rola jako przetwórnego była skończona. Powierzono mu funkcję zakotwiczonego lądowiska dla Kerguleny, jego pracowników zabrano do pomocy przy oczyszczaniu morza, załogę odesłano do innych zadań, z wyjątkiem paru osób, które obsługiwały pas startowy i magazyn paliw.

X-skrzydłowiec wylądował obok samolotu STÓŁ zaparkowanego na przednim krańcu olbrzymiego pokładu. Barbara stała przez chwilę na kąsającym wietrze, patrząc na smukłego X-skrzydłowca i toporny samolot transportowy. Wyglądały jak karzełki wobec niekończącej się płaszczyzny pokładu pokrywającego długość i szerokość statku o wyporności pół miliona ton. Martin Hausmann stanął obok w swojej podbitej futrem

kurtce z anorakiem przewieszonym przez ramię i torbą w ręce. Miejscowy przewodnik czekał u szczytu trapu. Barbara rozejrzała się po zamkniętej zatoczce rozciągającej się na południe. Miała jakieś cztery albo pięć kilometrów długości. Wokół wznosiły się stromo nieurodzajne wzgórza pokryte grubą warstwą śniegu, która obiegała ich południowy kraniec i wspinała się na niegościnnie pagórki, osłaniające zatokę od wiatru i dzikiego oceanu. Spojrzała ponad małą grupką baraków na brzegu stanowiących bazę, ponad kalekim okrętem zakotwiczonym pośrodku kanału na opadające zbocza wzgórz i na wzburzone wody ujścia zatoki do morza. Spojrzała do góry na ciemnoszare chmury gnające nad tym wszystkim. Wszystkim? Nad małą, niegościnną dziurą. Zadrżała w swojej wojskowej kurtce i obróciła się w stronę trapu prowadzącego do hałaśliwego, zimnego wnętrza statku.

Zeszli do mrocznego, pustego hangaru ciągnącego się przez szerokość statku, potem przejściami jeszcze niżej, aż wyszli na schodnię przytwierdzoną do przedniej ściany tego kolosalnego pływającego doku. Stali beczynnie w oczekiwaniu na motorówkę, która miała podpłynąć po nich. Weszli do niej zmieniając przewodnika na oficera Marynarki Stanów Zjednoczonych. Łódź obróciła się i popłynęła z powrotem; rybka, która wyśliznęła się z paszczy lewiatana.

Barbara stała na mostku nie odzywając się. Może to i był smutny, przygnębiający dzień, ale ona była nastawiona na czas nowozelandzki i wciąż jeszcze zmęczona po przestawieniu ze strefy amerykańskiej. Dla Barbary był to wczesny wieczór, ale tutaj miała jeszcze całe pół dnia przed sobą.

Motorówka nierówno płynęła po wzburzonym morzu w stronę szarego

okrętu, dziesięcotonowego krążownika, dostatecznie wielkiego, aby przetrwać w świecie zmechanizowanej wojny i niewielkiej przewagi łodzi podwodnych. Była to jedyna większa jednostka, jaka została Amerykanom na całym południowym teatrze wojennym, jedyny krążownik Paktu Północnoatlantyckiego, w ogóle jego jedyna większa jednostka. Po niej szła zaledwie garstka okrętów rozmiaru niszczyciela – radzieckie, amerykańskie i europejskie – podczas gdy pozostałe siły Północnej Półkuli składały się z łodzi patrolowych i raketowych oraz kilku zdalnie sterowanych. Po prostu prawie nic nie zostało po wojnie. Pojedyncze jednostki walczyły ze sobą za pomocą straszliwej broni, która nie chybiała, ale zostawiała dość czasu, aby wystrzeliła druga strona. W wojnie składającej się z takich bitew nie można wygrać.

Ten krążownik był największą jednostką tego teatru wojny, ale był jednostką bezużyteczną. Długa rufa była nietknięta, wraz z lądowiskiem w kształcie wachlarza i wysokim pudłem hangaru. Nadbudówka na śródkręciu załadowana rakietami powstrzymującymi i wieżami radarów była nietknięta. Nawet budowle broni zaczepnej na pokładzie dziobowym nie wyglądały na zniszczone. Ale sam dziób był wrakiem rozdartym na linii zanurzenia tak, że przedni pokład i górna część wybruszonego cielska zostały doprowadzone do ruiny i zwieszały się nad wodą na jednej ósmej długości statku. To on stał na posterunku, aby bezzwłocznie zaatakować Kraka-1, w razie gdyby nie powiodło się zabezpieczenie. Ale to Krak-1 zaatakował go bezzwłocznie ciężką głowicą bojową, która wybuchła pod dziobem nie zatrzymana przez ławicę małych torped wystrzelonych dla jej przechwycenia. Okręt musiał wycofać się na pełnej szybkości, szczęściem utrzymując się w ogóle na powierzchni. Gdyby to

nie było tragiczne, można by się śmiać z jego wyglądu. Ale teraz, bez możliwości naprawienia, krążownik osadzono na mieliźnie całkowicie unieruchomiony. Jego dumna broń przeciwlotnicza, morska i podwodna była bezużyteczna. Poza tym we wcześniejszej operacji unieszkodliwienia jednego z satelickich czujników Kraka-1 wszystkie sześć myśliwców atakujących z krążownika bez żadnego pożytku stracono wraz z dwoma statkami, łodzią podwodną, rekinem SASB i pomniejszych jednostkami. Krak nie odniósł żadnej szkody. Kantinę oficerską przekształcono w salę odpraw. Było to ciepłe, ciasne, jasno oświetlone pomieszczenie bez okien, w którym szumiało urządzenie klimatyzacyjne. Czekali już na nią, gdy wprowadził ją tam oficer dyżurny. Cały wachlarz wojskowych ekspertów na usługach narzuconego z zewnątrz cywila. Armia nigdy nie była wolna od ścisłej kontroli politycznej, a od zakończenia wojny nie wydała ani jednego samodzielnego rozkazu strategicznego, ale pewnie wciąż tego żalowali. W końcu to przez polityków większość z nich zginęła bez najmniejszego powodu.

Calvet był kapitanem krążownika i najstarszym rangą oficerem na Kergulenie. Po tym jak załogę rozdysponowano do innych zadań, krążownik z wyspecjalizowanej platformy dla zautomatyzowanych rakiet stał się zaledwie okrętem wspomagania. Trzy miesiące temu Robert Calvet był dowódcą największej czynnej jednostki na całym Oceanie Południowym, teraz był niemal niczym. Przywitał ją z czystej kurtuazji, zostawiając swojemu oficerowi dyżurnemu jakiegokolwiek oznaki grzecznej sympatii. Nie mając pod sobą żadnej broni Calvet spadł do roli obserwatora.

Głównodowodzącym bazy był komandor Vinkler, jego zastępcą major

lotnictwa Joannę Davis. Z zespołu obsługi Demona-4 do tej pory przybyli dowódca operacji komandor porucznik Earl Descoe i jego asystentka porucznik Dianę Kalen. Wszyscy byli grzeczni, ale zachowywali chłodny dystans, z wyjątkiem Descoe, który ciepło się uśmiechał albo to jego murzyńskie rysy twarzy odbijały od niegościnniej, zimowej Antarktydy.

Stała obok nich przy stole czytając w myślach Calveta: Jeszcze jeden skubany cywil, który będzie wszystkim rządził. Ci politycy. Wiedzą, że nie da się prowadzić wojny bez użycia broni nuklearnej, ale bezmyślnie ją rozpoczynają. Więc armia musiała opracować strategię elastycznego odwetu, niszczenia broni zaczepnej przeciwnika i utrzymywanie własnej. Obrona na wypadek zagrożenia, w starym NATO-wskim stylu. Sowieci oczywiście przyjęli tę samą taktykę na wszystkich frontach. Zmarnowano więc siły konwencjonalne we wzajemnych piekielnych potyczkach. W końcu i tak trzeba było użyć atomówek w kontrolowanych uderzeniach odwetowych, które potem rozwinięto na wielką skalę. Ci politycy i ich plany.

Martin Hausmann strzasnął z siebie ciężką kurtę i usiadł swobodnie. Mieszanka starej pruskiej arogancji i współczesnej niemieckiej grzeczności. W końcu cała reszta to byli niepewni siebie Amerykanie. Z Barbarą włącznie.

– Nazywam się Kastner – powiedziała. – Jak wiecie, mam tu przeprowadzić próbę unieszkodliwienia Kraka-1. – A niech sobie myślą, że Szklana Góra przysyła im cywilnego nadzorcę po tym, jak wojsko sknociło operację ostatnim razem. – Kluczowym elementem operacji ma być Demon-4. Jaka część jest już na miejscu?

Descoe, dowódca operacyjny Demona, wzruszył ramionami.

– Dowieźliśmy kadłub, napęd, stery, kapsułę instruktora, elementy ładowania rakiet. I połowę zespołu. Drugi lot ma przybyć około dwudziestej drugiej – uśmiechnął się szeroko. – Proszę wybaczyć, jeśli wyglądamy na trochę zaspanych, ale zgodnie z czasem południowej Georgii jest dopiero piąta rano.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Przewieźliśmy wszystko na brzeg – ciągnął, wskazując głową na Vinklera. – Przydzielił nam taką budę koło baraków dowództwa.

– Może jest prymitywna – nastroszył się Vinkler – ale to najlepsza, jaką mogłem wam dać.

– Kiedy dotrze okręt wspomagania? – spytał Descoe.

– Jutro rano – Barbara obróciła się w stronę Martina. – To norweski statek z Bouveta. Ten, któremu Krak zniszczył własną łódź.

Martin skinął głową.

– Pomieści Demona? – chciał wiedzieć Descoe.

– Miał dwie łodzie dwuosobowe – przypomniała sobie Barbara. – Pomieści coś tak małego, jak Demon.

– A jak zamierzacie – wtrącił się Calvet – wykorzystać Demona przeciwko fortowi? Wyślecie go, żeby wpadał na każdą boję?

– Boję? – zdziwił się Descoe. Barbara rozejrzała się po zebranych.

– Gdzie jest Leland? – spytała Calveta.

– Nie wiedziałem, że będzie go pani potrzebować – nieco zaskoczony Calvet zwrócił się do dyżurnego. – Sprowadź go, Ted.

Oficer dyżurny podniósł się i wyszedł z pokoju.

– Automatyczne Stacje Bojowe – Barbara wróciła do tematu. – Zapora z ASB została rozstawiona w prądzie powierzchniowym po zachodniej

stronie strefy Kraka. Unoszą się swobodnie, ale dość głęboko, aby uniknąć spotkania z krą nawianą przez wiatr. Mają za zadanie utrzymywać się w pobliżu miejsca zakotwiczenia fortu. Przez nie można przekazać sygnał uaktywniający. Każda ASB zna swoją pozycję dzięki pulsującym sonarom Crozeta i Kerguleny. Po usłyszeniu sygnału atakują, skoro tylko obliczą, że coś minęło punkt maksymalnego zbliżenia do fortu. Oznacza to, że chociaż są rozproszone, wszystkie znajdujące się wewnątrz sektora zbiorą się w jednym miejscu. Być może to zbyt wiele oczekiwać, że ktoś mógłby się przez to przedrzeć, ale taka koncentracja osłabi obronę wokół tego sektora.

Descoe zmarszczył brwi.

– Tak łatwo można się zbliżyć do fortu?

– Normalnie nie. Bardziej na zachód znajduje się Krak-2 i chroni Kraka-1 od tej strony. Krak-3 chroni Kraka-2, a Krak-4 chroni Kraka-3. Krak-4 przed jakimkolwiek większym prądem chroni Półwysep Antarktyczny i fakt, że leży na środku Morza Weddela, gdzie biorą początek prądy głębinowe opływające w kierunku wschodnim Basen Atlantycko-Indyjsko-Antarktyczny. Normalnie boje czynią forty bezpiecznymi. O tej porze roku mamy przewagę, bo sonar fortu może nie odnaleźć ASB wśród lodowej kaszy na powierzchni, chyba że samodzielnie będą wydawały jakieś dźwięki. Tak więc powinniśmy osłabić jego strefę obrony.

– A więc wysyłacie Demona na patrol – Descoe zmarszczył swój szeroki nos. – Tysiąc kilometrów w promieniu fortu. Tam wszędzie mogą być ASB.

– No, cóż. Nie wyruszamy bez przetarcia szlaku.

– Aha – zaszydził Calvet. – I chcesz go stracić podczas przecierania szlaku? Francuzi mają jeszcze dwie łodzie patrolowe.

– Nie chcę niczego stracić – odrzekła Barbara. – Nic, co już nie jest przegrane. – Calvet pewnie pomyślał: Mój krążownik, mój okręt, cholera!

– Najlepszym wyjściem byłaby odpowiednia góra lodowa – major Davis wzruszyła ramionami. – Po co ten pośpiech? Trzeba poczekać, aż pojawi się wystarczająco duża góra, która przedryfuje odpowiednio blisko. Wewnątrz można założyć cały arsenał, którego nie dosięgną rakiety Kraka.

– O ile znam oprogramowanie Kraka – Barbara potrząsnęła głową – uciekłby się do uderzenia rakieta nuklearną czegoś rozmiarów góry lodowej, gdyby zaczęła dryfować w jego stronę. Zwłaszcza teraz, gdy jest w stanie zagrożenia.

– Widziałam górę lodową trafioną atomówką – powiedziała Dianę Kalen. – Próby z platformami raketowymi przed wojną. Była dość duża, długa na kilometr i gruba ponad dwieście metrów. Rakietą, oczywiście, uderzyła od dołu. Niesamowity widok. Nie potrzebowało lodu, tego się nikt nie spodziewał. Ale wstrząs zniszczyłby jakikolwiek sprzęt i zawaliłby każdy bunkier albo tunel.

Drzwi sali odpraw otwarły się i wrócił Neritz, oficer dyżurny. Przyprowadził ze sobą jakiegoś cywila, choć ten cywil nosił koszulę oficera marynarki bez żadnych znaków. Neritz posadził go na wolnym krześle obok Barbary.

– Nazywam się Kastner – zwróciła się do niego. – Szklana Góra przysłała mnie, abym kontrolowała tę operację przeciwko Krakowi. Moim bezpośrednim przełożonym jest pełnomocnik rządu w ANTARKTYDZIE.

– Teraz mówiła do Descoe i Kalen. – To Mark Leland, nasz ekspert w dziedzinie fortów. Był drugim pod względem ważności członkiem zespołu zabezpieczającego, który przeżył zatopienie statku trzy miesiące temu. Osiem tygodni temu został tu sprowadzony jako doradca we wcześniejszej operacji przeciwko Krakowi i utknął tu od tego czasu. Leland, to Descoe i jego asystentka. Komandor porucznik Descoe zajmuje się Demonem-4.

Leland kiwnął głową.

– Moja teczka – zwróciła się do Martina Hausmanna. – Mapa numer dwa.

Martin położył jej teczkę na stole, rozsunął suwak i zajrzał do środka.

Popatrzyła po twarzach wojskowych.

– Problem z unieszkodliwieniem Kraka-1 polega na tym, że został on zaprojektowany tak, aby nie dało się go unieszkodliwić. Leży pod wodą na głębokości czterech i siedmiu dziesiątych kilometra, a więc nie można nic na niego zrzucić, ponieważ usłyszy plusk i zbliżanie się obiektu. Posiada silną obronę punktową i wielkie możliwości odpierania ataku w promieniu jego obrony. Słyszy wszystko, co się porusza w wodzie w promieniu tysiąca kilometrów oraz może umieścić bierne i czynne boje radarowe do kontrolowania przestrzeni powietrznej ponad tym obszarem. Jediną nadzieją na unieszkodliwienie go jest pochłonięcie takiej ilości jego sił obronnych, aby nie mógł zadać ostatecznego ciosu. – Westchnęła. – Niestety, nie mamy takich możliwości. Nie mamy tu żadnych automatycznych rakiet dalekiego zasięgu i za mało ASB średniego zasięgu oraz żadnych możliwości ataku z powietrza. Gdyby podstawowe uzbrojenie tego okrętu działało i gdyby podjąć ryzyko podpłynięcia do

granicy promienia obrony, rakiety nie dotarłyby nawet do połowy drogi. Niestety, nie możemy także ryzykować utraty jakiegokolwiek jednostki bojowej. Nie zostało tu prawie nic i całkiem zwyczajnie nie można oczekiwać z północy żadnego wzmocnienia, zastąpienia czy dozbrojenia. Rezerwy są już zbyt napięte. Descoe znów się skrzywił:

– Nie możecie osłabić strefy obrony na tyle, aby zagwarantować Demonowi przejście?

– Nie w pojedynczej operacji przy użyciu wielu obiektów puszczonech z prądem. Musimy użyć Demona w operacji zmiękczej jako dodatek do odwracających uwagę ASB. Jeśli przyniesie to rezultaty, wróci znowu, aby zadać śmiertelny cios. Demon ma ograniczony cel i może strzelić precyzyjnie tylko w centrum dowodzenia fortu. Broń nuklearna jest wykluczona, bo jej nieskuteczne użycie najprawdopodobniej spowoduje przekroczenie progu nuklearnego u Kraka i być może przejście Kraka-2 w stan zagrożenia. A głowica konwencjonalna musi wybuchnąć w bezpośredniej bliskości centrum dowodzenia. Demon musi to zrobić za nas.

– Może to zrobić SASB – zaproponował Descoe.

– Jedyne dostępne rekin Krak zniszczył ostatnim razem. Alternatywą byłaby łódź podwodna, ale jedyną dostępną zniszczył ostatnim razem Krak. – Same podwójne znaczenia, pomyślała. Łódź to duża platforma raketowa działająca ze statku na powierzchni morza, ale też mała, potężnie uzbrojona łódź podwodna kierowana przez załogę składającą się z trzech, dwóch, a w najnowszych modelach nawet z jednej osoby. Rekin to zwierzę broniące obiektów nabrzeżnych, ale też automatyczny okręt podwodny dalekiego zasięgu mogący odpalić rakiety

i wrócić po następne. – Demon-4 jest wszystkim, co mamy.

– Jakie ma szansę zbliżenia się do fortu? – spytał Leland. – Dzięki supersieci sonicznej fort słyszał, jak śruba tego okrętu obraca się jeszcze tu w zatoce. To jest tysiąc dwieście kilometrów, za zasłoną półwyspu i przy uwzględnieniu odbicia fal od brzegu.

Descoe zniecierpliwiał się.

– Współczesne stacje oceaniczne opierają się na zasadzie jak najmniejszego hałasu dla uniknięcia wykrycia. Są ciche. O Demonie powiedziałbym, że jest supercichy.

Kalen uśmiechnęła się. Ci dwoje się rozumieją, pomyślała Barbara, w jakiś sposób.

– Ale ryzyko jest niesłychane – Descoe zmarszczył nos. – Tysiąc kilometrów w jedną stronę i tysiąc w drugą, a wszędzie rozstawione ASB, nawet jeśli w centrum jest pusto. Ile ASB może znajdować się w pobliżu takiej prostej linii?

– Fort posiada głównie ASB o zasięgu rażenia półtora kilometra – odpowiedział po namyśle Leland. – Jeśli umieścił tylko połowę z nich i rozstawił w równych odstępach, trzeba przeciąć promień rażenia przynajmniej piętnastu. Poza tym nie da się uniknąć przejścia w pobliżu któregoś z satelickich czujników, a to zwiększa ryzyko wykrycia.

Martin Hausmann nie wytrzymał dłużej. Czekał już z żadaną mapą i teraz rozłożył ją na stole. Był na niej brzeg Antarktydy, Wyspa Hearda i Kergulena, Wyspy Crozeta trochę dalej na północnym zachodzie, a dalej na zachodzie wciąż radzieckie, dawniej południowoafrykańskie, wyspy z Archipelagu Księcia Edwarda. Tam, w samym środku leżał pod oceanem Krak-1. Czerwona linia jego strefy obrony dotykała tępego czubka brzegu

Antarktydy, wcinając się głęboko w zazębające się wody terytorialne Wyspy Hearda i Kerguleny, przecinała wody wokół Wyspy Crozeta, zawracała na zachód od nich na południe dopełniając koła. A w połowie drogi między centrum a linią obrony widniało sześć kropek oznaczających satelickie sensory, dodatkowe uszy Kraka połączone z nim podwójnym kablem zatopionym głęboko w mule na dnie.

– Powinniśmy wrócić do pierwotnej wersji planu – odezwał się Calvet.

– Zniszczyć wszystkie sześć satelitów i zmniejszyć dokładność jego nasłuchu w promieniu obrony.

– Tylko że Krak udowodnił lepiej, niżby chcieli konstruktorzy, że jest silniejszy od rakiet tej samej generacji – odrzekła Barbara.

– Ta jego siła zmniejsza szansę każdej próby zbliżenia się do fortu. Ponieważ teraz Demon-4 jest jednostką kluczową, szaleństwem jest ryzykować jej utratę. Niech czekają dokąd trzeba i znajdą odpowiednie wyposażenie, a wtedy zaczniemy ataki zmiękczające. Niech Sowieci coś dorzucą od siebie.

Barbara potrząsnęła głową.

– Konieczny jest pośpiech, a nie pięć lat czekania, aż wyłączy się reaktor fortu i nie pięć czy dziesięć miesięcy, aż zmontuje sobie niezastąpioną broń ani następne parę tygodni jej rozmieszczania. Jeśli zdołamy unieszkodliwić centrum dowodzenia fortu, będziemy mogli odzyskać przynajmniej część broni, której nie wykorzystał, zwłaszcza ASB.

Na Szklanej Górze uważają, że dosyć zła przyniosła już utrata Kraka-1, żeby jeszcze zżerać nasze rezerwy.

– Jeśli chcą go szybko unieszkodliwić, powinni użyć atomu. Rakieta

nuklearna musi wybuchnąć najwyżej o kilometr. Może pół kilometra. Sowieci umieścili kilka wyrzutni niedaleko fortu, prawda? Przygotowanie strategiczne do przygotowania strategicznego.

– Nie przejdą przez strefę obrony – zaproponował Leland.

– Kapitanie, atak nuklearny jest wykluczony. Zanieczyszczenie już jest niedopuszczalne po tym, jak rakiet orbitalna wybuchła sięjąc promieniowanie. A ryzyko uaktywnienia reszty łańcucha aż do Morza Weddela jest zbyt apokaliptyczne, aby je brać pod uwagę. Nie możemy stosować broni nuklearnej, chyba że będziemy absolutnie pewni powodzenia śmiertelnego ciosu.

– Głowica megatonowa nie uszkodzi centrum dowodzenia z odległości jednego kilometra – obliczył sobie Leland. – Ani falą uderzeniową, ani przez wstrząs podziemny. Musi być dokładnie nad nim, bo inaczej fort wysadzi sam siebie.

Calvet popatrzył na niego spode łba.

Barbara westchnęła.

– Przekazano mi wyraźną decyzję. Musicie wykonać tę operację. Mam tego dopilnować. Operacja ma aprobatę Dowództwa Oceanu Południowego, ANTARKTYDY, a także lokalnych politycznych ciał doradczych. – Przerwała, aby dać im czas na zaakceptowanie faktu, że w takim razie wszystkie nieprzyjazne wypowiedzi Calveta były nieistotne.

W idealnej ciszy obróciła mapę.

Wskazała na fort zaznaczony na pięćdziesiątym siódmym stopniu długości geograficznej południowej i pięćdziesiątym siódmym szerokości wschodniej.

– W tym miejscu strefa obrony zostanie osłabiona atakiem

pozorowanym, ale powinna być jeszcze mniejsza, zanim będzie można bezpiecznie posłać Demona przeciwko centralnym jednostkom. Wypuścimy parę ASB, które Demon podholuje w strefę obrony i skieruje przeciw jednostkom centralnym tak, aby Krak musiał na nie stracić część swojej obrony wewnętrznej. Ale jeśli się da, musimy być tego pewni, bo trzeba to zrobić bez strat. Nie mamy żadnej broni do stracenia. – Stuknęła palcem w mapę. – Statek zabezpieczający jest tutaj, na wschód od strefy obrony. Na jego pokładzie są różne roboty, pływające i pełzające po dnie, które miały być użyte do rozbijania wyrzutni fortu. Jeśli jeszcze działają, można je uruchomić i skierować w stronę fortu. Uzna je za zagrożenie i będzie musiał zmarnować rakiety na ich zlikwidowanie.

Patrzyli na nią nie rozumiejąc. Calvet i jego dyżurny, Descoe i Kalen Vinkler, i jego asystentka Davis. Leland przyglądał się mapie. Nawet Hausmann uniósł brwi.

– Jak, do diabła? – wykrztusił Descoe.

– Jeśli jeszcze działają – zastanowił się Leland. – To znaczy jeśli mamy do nich dostęp.

– Projektanci sprzętu uważają, że to powinno być możliwe, pod warunkiem użycia właściwych połączeń i kodów instrukcji. Konstruktorzy serii Demon twierdzą, że to się da zrobić. Może on przewieźć ciężki sprzęt tnący na statek i dostarczyć operatory laserowe do uaktywnienia. Musi mieć tylko program wzorcowy.

Descoe potrząsnął głową.

– To trzeba go było przesłać do MANTA w Stanach, a nie prosto tutaj, na litość Boską. Teraz Barbara potrząsnęła głową.

– Wzorcowy pokaz można przeprowadzić przy jednoczesnym

osłabianiu siły obronnej na dowolnej linii wraz z testem bojowym przeciwko któremuś czujnikowi. Demon-4 nie miał prób w warunkach bojowych, prawda? Trzeba go wypróbować na jakimś słabszym celu, zanim zaryzykujemy walkę z samym fortem.

– W warunkach bojowych właściwie nie miał. Zwykle misje z rozmieszczeniem wyrzutni.

– Nie – znów stuknęła palcem w mapę wskazując satelicki czujnik najbliższy Kerguley, prawie osiemset kilometrów na zachód od niej. – Użyjemy Demona do zlikwidowania tego czujnika. Zwiedzimy też pewien wrak sto pięćdziesiąt kilometrów na północ, o tu.

– To oceaniczny trawler, czyż nie? – wtrącił Vinkler. – Złapany w momencie uaktywnienia.

– Zgadza się. Był w drodze z Weddela do południowej Australii, gdy łód zamknął się wokół niego na całą zimę. Cenny statek i dwieście sześćdziesiąt osób zmiecionych.

– Dlaczego przepływał w tym obszarze podczas zabezpieczania – zdziwiła się Kalen.

– Czy muszę się tłumaczyć z cudzych niedopatrzeń? Nie jego jednego to złapało.

– Tak – przytaknął Vinkler. – Łódź głębinowa koło Wyspy Hearda z dwudziestoma pięcioma osobami. Dwa małe statki wzdłuż wybrzeża Antarktydy, ponad pięćdziesięciu ludzi. Sowiecki transport lotniczy w drodze z bazy w Mawson do Pretorii z piętnastoma ludźmi na pokładzie. Plus ten trawler z załogą.

– I statek zabezpieczający wraz z jednym helikopterem – dodała Joannę Davis. – Następne osiemdziesiąt ofiar.

– I ten okręt trafiony – powiedział Neritz, dyżurny Calveta. – Zginęło dziesięciu ludzi z załogi.

– Sprzęt nieocenionej wartości i prawie czterysta czterdzieści istnień ludzkich – podsumował Vinkler.

Barbara stuknęła palcem w mapę. Była już zmęczona, jej plan odbiegał od utartych wzorów, a miała im rozkazywać, a nie przekonywać.

– Demon wypłynie w pierwszą misję najwcześniej, jak się tylko da. Jego celem będzie sprawdzenie wraku statku i zniszczenie czujnika-satelity. Postara się wpłynąć do kadłuba i dosięgnąć zmagazynowany tam sprzęt, postara się uruchomić go, żeby przyciągnąć atak na cele, które Krak musi uznać za potencjalne zagrożenie.

– Uzna – wtrącił Leland. – Jego program przewiduje traktowanie maszyn roboczych jako zagrożenia. Mogą przecinać kable, uszkodzić czujniki.

– Demon następnie zaatakuje satelicki czujnik, co da nam wskazówki co do jego sprawności bojowej. Jeśli unieszkodliwi satelitę, to przynajmniej będziemy mieli w końcu jakiś zysk, nawet jeśli w wyniku tego stracimy Demona. A jeśli Krak rzeczywiście uderzy na uruchomiony sprzęt, czy nawet na sam wrak, to będzie zmuszony zmarnować kilka ASB ustawionych w tym sektorze.

Descoe pokręcił głową zaciskając czarne dłonie na krawędzi stołu.

– Czy wasz rekin tego nie potrafi? – zapytał go Calvet.

– Jeśli to jest możliwe, moja łódź da sobie radę – mówiąc spoglądał na Barbarę. – Ale nie widzę tu żadnej możliwości. Czy ten sprzęt da się uruchomić?

– Parametry na to wskazują.

– Okay. Ale jak Demon to zrobi? Kurs w MANTA został skrócony z powodu braku czasu. Nauczyliśmy go tylko ogólnych umiejętności manewrowania. Jak uruchomi wyspecjalizowany sprzęt?

– Nie on – odrzekła Barbara. – Macie kapsułę instruktora do przewożenia jednego pasażera nadzorującego jego działanie podczas misji próbnych. A więc zabierze ze sobą pasażera, który da sobie radę z niezbędnymi czynnościami. Pokaże mu, jak się posługiwać różnymi rodzajami sprzętu, więc pasażer nie będzie potrzebny przy głównej wyprawie.

– Kapsuła może zapewnić człowiekowi przeżycie najwyżej przez piętnaście godzin. – Descoe machnął ręką w stronę mapy. – Od strefy obrony do wraku i z powrotem jest coś koło tysiąca kilometrów. To będzie siedemnaście godzin przy pełnej prędkości, pięćdziesiąt przy normalnej przyspieszonej. Powinien płynąć z normalną prędkością ze względu na hałas. Do tego dochodzi czas spędzony przy wraku i czas na zaatakowanie satelity. Czy chcesz poświęcić pasażera?

– Przedłużcie czas przeżycia w kapsule.

– Tak po prostu? – czekał na jej odpowiedź.

Skinęła głową. Moje słowo jest najwyższym prawem dla tych ludzi, pomyślała, chyba że ktoś je odwoła. A tylko pełnomocnik rządu na ten obszar i Szklana Góra w Stanach może to zrobić.

– Na jakiej głębokości leży wrak? – spytała Kalen miękko, chcąc dopomóc swojemu szefowi. – Kapsuła ma ograniczenie do czterech tysięcy ośmiuset metrów.

– Pozycja zatopionego statku nie jest dokładnie znana – błąd może wynieść jakieś dziesięć kilometrów od miejsca trafienia. Ale opadł na

poziome dno. W przybliżeniu cztery tysiące trzysta metrów.

Descoe znów się nachmurzył.

– Nikt z mojego zespołu nie jest wyszkolonym operatorem. Nie mam też nikogo, kto by cokolwiek wiedział o sprzęcie do prac oceanicznych, nawet cywila.

– Wykorzystamy cywilnego eksperta.

– Tak po prostu? – Descoe skrzywił się, okazując swój niesmak wobec tego zwariowanego pomysłu. – A kiedy wyruszamy?

– Jak tylko Demon zostanie zaprogramowany na tę misję, kapsuła przystosowana, a cywil zapozna się z jej obsługą.

– A kiedy ten cywil przybędzie?

– Najpierw trzeba go znaleźć – Barbara wzruszyła ramionami.

– Co? – zdumiał się Calvet. – Cały ten pomysł to szaleństwo.

– Tak samo jak kontrolowana wojna nuklearna – zareplikowała. – Tak samo jak każda wojna przeciwko komuś, z kim później trzeba współpracować, żeby w ogóle mieć nadzieję powstrzymania zagłady. Tak samo jak potężny fort podmorski z idiotycznym systemem zagrożenia, który oznacza, że nie da się go wyłączyć, do cholery.

– Obecnie funkcja zagrożenia oznacza tylko – obraził się Leland – że fort nie może zadziałać nieprawidłowo. Funkcja negatywna zapobiega przypadkowemu użyciu. Funkcja pozytywna zapobiega rozbrowieniu przez nieprzyjaciela.

– Tak, że zapewnia całkowitą zagładę?

– Jeśli chodzi ci o powstrzymanie po kapitulacji, to tak.

– Tak. – Była zmęczona, powiedziała im wszystko i o to chodziło.

Wstała od stołu. – Na tym etapie wystarczy nam tyle informacji. – Rzuciła

okiem na Calveta, po czym zwróciła się do dowódcy bazy Vinklera. – Czy byłoby możliwe, żebym rozgościła się na ładzie.

– Mamy dość miejsca – Vinkler skinął głową. – Może warunki są trochę prymitywne.

– Żeby tylko nie było zimno. – Spojrzała jeszcze na Descoe. – Pomimo zmiany strefy czasowej byłabym wdzięczna, gdybyście mogli zacząć przygotowanie Demona-4 natychmiast. Programowanie misji musi poczekać, dopóki nie przyleci jednostka sterująca? Descoe kiwnął w milczeniu głową.

– Dobrze – spojrzała jeszcze raz po wszystkich. – No, cóż. Dziękuję.

Koniec spotkania. Leland zniknął, Descoe i Kalen poszli razem z Vinklerem na brzeg. Calvet wyszedł od razu, zostawiając swojego dyżurnego oficera w roli gospodarza.

Barbara czekała, aż Hausmann zwinie mapę. Rozejrzała się po urządzeniach ciepłutkiej sali odpraw myśląc o niegościnnym, ostrym wietrze na zewnątrz. Po zachodniej stronie zatoki leżała baza, osłonięta przed najsroźszymi podmuchami wichury nisko spiętrzoną półwyspem, który oddzielał zatokę od dzikiego oceanu. Za półwyspem rozciągało się pustkowie pełne fal, kry i coraz gęstszych ciemności. A ponad tysiąc kilometrów stąd, pod wiecznym lodem leżał Krak-1 przykryty czterema kilometrami czarnej, lodowatej wody. Straszliwy morski potwór w budzącym trwogę legowisku.

– Proszę wybaczyć pytanie, ale czy pani jest członkiem rządu?

To była Davis, major lotnictwa i zastępca szefa bazy. Została, aby ją odwiedzić na brzeg.

– Nie.

Davis wzruszyła ramionami.

– To dlaczego cywil nadzoruje operację czysto militarną? – obejrzała się na Neritza, oficera dyżurnego. – Żeby kontrolować poglądy niezgodne z polityką kierownictwa?

– To część prawdy.

Bo była i reszta. Wojsko mogło sobie wyginać w diabły, ale z nimi zginęliby wszyscy pozostali, więc z wojskiem trzeba było postępować niezwykle ostrożnie, bo rozpaczliwie go potrzebowali i może nawet bali się. Dlatego władcy polityczni na pewnym etapie gry zostawiają miejsce dla cywilnego kontrolera działań, na wypadek, gdyby zaszła potrzeba poświęcenia czegoś.

– To część prawdy.

– Jeśli wolno mi – Neritz podszedł uśmiechając się – chciałbym złożyć coś w rodzaju przeprosin w imieniu kapitana. Stracił swój okręt, a to poważna sprawa. Nie zatonął, rzecz jasna, ale pewnie zostanie tu, dopóki nie zardzewieje. Ten fort znokautował okręt, a potem straciliśmy przez niego wszystkie nasze samoloty. Muszę pani powiedzieć, że to był szok, pewnie taki sam, jak dla autorów tego planu.

– Cały czas go realizujemy – przyznała Barbara.

– I podobnie jak większość ludzi stracił część rodziny na tej wojnie. Jego najstarszy syn zaginął podczas służby na łodzi podwodnej. A potem w czasie zabezpieczania fortu z jakiegoś powodu wyznaczono nas do osłony ogniowej, chociaż nie ma tego w przepisach i okazało się dużo bardziej niebezpieczne, niż nam opowiadano. Tak, że teraz nie jest entuzjastą politycznych uzasadnień.

Pokiwała głową.

– Jak was trafiono? – spytał Martin Hausmann.

– Zgodnie z opinią doradców dryfowaliśmy bez napędu. Ale fort musiał spostrzec nasze przybycie i przewidział tor dryfu. Musiał nam podrzucić ASB tak cholernie ostrożnie, że nawet nie słyszeliśmy i zostawił ją, żeby dryfowała razem z nami. Usłyszeliśmy sygnał uaktywnienia i wtedy to draństwo wyszło na nas z odległości dziewięciuset metrów. To było w dwie minuty po tym, jak dostaliśmy ostrzeżenie od statku zabezpieczającego. Ten fort jest po prostu za sprytny. On naprawdę trzęsie każdym, kto mu stanie na drodze.

– Narobił już dość bałaganu – odezwała się Davis.

– Ciebie wtedy nie było z nami. Przez całą wojnę nie braliśmy udziału w bitwie morskiej, ale tym razem i na nas trafiło. Kiedy jesteś na pokładzie dużego okrętu wojennego, na który wylatuje coś niemal wprost z wody, to dopiero się boisz. – Potrząsnął głową. – Wyskoczyło tuż przed nami. Mówię wam, to okropne.

Spojrzała na Martina Hausmanna zastanawiając się, czy zacznie się z nim licytować. Ogień z bezpośredniej bliskości, kule, napalm i pociski wycelowane właśnie w ciebie, czołgi ryczące ci tuż za plecami, gdy uciekasz całymi dniami poprzez mroźne bagno kolczastej tundry. Całe współczesne piekło.

Niemiecki porucznik skinął głową. Wyraz współczucia.

Rozdział 3

Zielono-żółty z czarnymi cyferkami, pokryty brudną warstwą lodu poduszkowiec wyglądał, jak ulotna zjawia ślizgająca się w bezmiarze bieli. Unosił się w białym, łagodnym świetle nie rzucając cienia. Lodowe pole było pokryte niepokalanym, świeżo spadłym śniegiem, porysowanym, ale bez większych szczelin. Niebo było jasne, lecz nieprzeniknione, bezkształtne chmury mieszały się z płaskim lodem w nieprzerwanej bieli bez zaznaczonej linii horyzontu. Brakowało godziny do południa i o tej porze świat snu tonął w przyćmionym blasku, niebo, horyzont i szlak przed szybą ginęły w oślepiającej, miękkiej bieli. Pojazd powoli rósł w oczach od momentu, gdy pojawił się jako odległy punkt zawieszony wśród śnieżnej przestrzeni.

Wielka barka transportowa leżała na krze wciskającej się pod jej wyrzuczone osłony. Od strony wiatru przysypały ją zaspasy, po drugiej stronie utworzył się śniegowy kanał, a całą pokrywała warstwa lodu. Nad górnym pokładem sterczała antena radaru, światła sygnalizacyjne, reflektory. Ciemny, niezdarnie sklecony kształt odbijający się od nieskończonego tła.

Z tego tła wyłonił się poduszkowiec ślizgając się po cienkiej, białej powierzchni ukrywającej ślady choroby. To nie był czysty lód. Pod balsamem śniegu leżał ohydny zastygły marmur złożony z lodu i brązowobiałej mieszanki ropy z zamrożoną wodą. Czarny lód – sprasowana ropa i woda zamrożone w białobrunatną masę. Czysta, surowa ropa nie zamarza jednak, tylko sztywnieje w obrzydliwą masę, a taka masa w miejscach, gdzie nie zastygnie, nie „zamarznie” może stanowić

niebezpieczną pułapkę ukrytą pod śniegiem. Przynajmniej w tym potwornym mrozie nic nie śmierdziało, nie paliło się, nie zatrowało powietrza, bo cząsteczki oparów tkwiły zamknięte we wstrętnym szlamie.

Poduszkowiec zwolnił wciąż hałasując silnikiem. Przybył z Zatoki Halleya na wschodzie, z jednej z baz lądowych kierujących pracami oczyszczania i uzdatniania. Zwolnił nad warstewką sennej bieli, nad czarnym lodem i warstwą płynnej surowej ropy zamkniętej w mrocznym potrzasku, ponad prawie kilometrem zanieczyszczonej wody sięgającej płaskiego dna Morza Weddela. Tam w dole leżał jeden z rozwalonych szybów tryskających gorącą naftą w silny prąd podmorski, który zwalniał i oziębiał cząstki ropy i unosił je do góry wciskając w lodową pokrywę. I mogły tam pozostać na zawsze w tych wodach zbyt zimnych dla jakichkolwiek reakcji chemicznych lub bakteriologicznych. Morze Weddela nie płonęło, po prostu się dusiło.

Poduszkowiec wył i syczał przy trapie, zbyt zapracowany, żeby się zatrzymać. Postacie w baloniastych strojach i maskach chroniących przed antarktyczną zimą przemknęły na barkę i zniknęły w środku. Inne postacie przepchnęły za nimi worki z zaopatrzeniem. Drzwi barki zamknęły się, poduszkowiec zamknął swoje i wycofał się na wolną przestrzeń. Ominął barkę i przyspieszył kierując się na zachód. Zmalał wspinając się na ścianę bieli, silnik ucichł w oddali.

Słyszeć było buczenie barki.

Camfield ściągnął anorak i zewnętrzne spodnie, rzucił je na jeden ze stolików w mesie i ruszył w stronę pomieszczeń roboczych. W zamkniętym pomieszczeniu było w miarę zimno, pachniało olejem. Kwadratowy kanał opadał stąd wprost w bagnistą wodę, uzbrojony rękaw

sięgał dziesięć metrów pod powierzchnię przebijając lód i warstwy ropy do czystej cieczy. Obok grodzi czekał homar, mechaniczny zwierzę głębinowy z reflektorami, kamerami i potężnymi ramionami napędzanymi hydraulicznie. Zdalnie sterowana maszyna robocza z przypiętą smyczą kabla sterującego. Był gotowy do opuszczenia w nieruchomą wodę, miał wśliznąć się w ten tajemniczy świat i stać się głębinowymi rękami i oczami Camfielda.

Kapitan barki weszła do pomieszczenia i stanęła obok niego, gdy sprawdzał homara. Założyła ręce z wyrazem twarzy mówiącym „nic z tego”.

– Kwadrans temu dostaliśmy sygnał z Zatoki Halleya – powiedziała. – Do ciebie.

– Do mnie? – Camfield wzruszył ramionami. – Wyjechałem stamtąd raptem trzy godziny temu.

– Mogłeś równie dobrze tam zostać. Mają cię stąd zabrać z powrotem.

– Niemożliwe – gapił się na nią, choć wiedział, że nie żartuje. Klepnął bok homara. – Nareszcie jest gotowy.

Mamy tę pępowinę kontrolną. Te wyloty szybów muszą być zatkane. W ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy nie damy rady zebrać uciekającej ropy. Na wiosnę nastąpi masowe zanieczyszczenie. Masowe!

– Wiem. Ale Halley mówi, że to ANTARKTYDA nalega. Przyszło z Ameryki, z Dowództwa Oceanu Południowego.

– Wojsko?

– Halley już to uzgodnił z Brytyjską Administracją Antarktyczną i mają to podjąć w ramach EURAM. Jesteś tu teraz potrzebny. Powinno się tamto unieważnić. Ale do tego czasu musisz jechać. Nie możesz się sprzeczać

z ANTARKTYDĄ.

– Oni są szaleni. Wojsko, nie wojsko, muszą mieć ropę. Muszą mieć czyste morze, żeby się bić, do licha. Statki, lodołamacze, wszystko się klei w tej mazi. Poduszkowce nie mogą jej dotknąć, nie mogą dotknąć czarnego lodu, nie może się nawet załamać pod nimi warstwa kry. Na litość Boską! Jak im ktoś potrzebny, to niech wezmą swoich. Cała amerykańska dywizja czeka na Ziemi Grahama, aż przyjdą Argentyńczycy.

– Pół dywizji.

– Rosjanie są wszędzie na Małej Antarktydzie. Jak chcą dla odmiany Anglika, to szwendają się po Południowych Orkadach, Szetlandach, Sandwichach. Jak im potrzebny ekspert od prac podwodnych, są wojskowi specjaliści na całym Morzu Scotia. Dlaczego ja?

– To postanowione, Simon – przerwała mu. – Samolot będzie tu za niecałe pół godziny.

– A gdzie wyląduje. Tu nie ma bezpiecznego lodu.

– To X-skrzydłowiec. Unosi się w pionie. Masz akurat dosyć czasu, żeby zobaczyć, czy nie mógłbyś przekazać tej pracy tutaj w ręce asystentów.

Camfield zatrzasnął pokrywę kadłuba homara.

– Chryste Panie! A tak właściwie, to dokąd mnie zabierają?

– Wyspa Kergulena na Oceanie Indyjskim.

– Wielki Boże. To niedaleko tego fortu, co im uciekł. Boże, nie chcę lecieć nawet w jego pobliże.

– To łańcuch fortów, prawda? – kapitan była niewzruszona. – Ostatni jest jakieś osiemset kilometrów na północ od nas. Już jesteśmy w jego

pobliżu. Myślę, że to z jego powodu cały ten popłoch.

Radziecki X-skrzydłowiec przybył po dwudziestu minutach, zakołował nad pokładem barki, kręcąc srebrnymi dyskami rotorów na tle śnieżnobiałego nieba. Camfield podjechał w górę na wyciągu, zamknięty wraz z bagażem w impregnowanym worku. Pilot musiał obawiać się oblodzenia – samolot wznosił się niczym winda przez warstwę chmur zanim przeszedł do lotu poziomego. Schował rotory, dwa z przodu i dwa z tyłu, po czym nabrał prędkości naddźwiękowej. Ruszyli na południowy wschód, w stronę Wielkiej Antarktydy, przecinając ląd daleko od Zatoki Halleya.

Rozdział 4

Baza, odwrócona tyłem do osłaniającego ją półwyspu i ciągnącego się na zachód oceanu, przycupnęła nad brzegiem zatoki. Należał do niej niewielki port odgradzony od morza falochronem, a po jego południowej stronie schodziły nad samą wodę schrony dla łodzi podwodnych zaopatrzone w służę pływową. Cały ich rząd ciągnął się od długiego budynku mieszkalnego, kilka z nich parami zajmowały delfiny, kilka było zajętych przez olbrzymie mieczniki, niektóre stały puste. Każdy miał bramę od strony wody, prowadzącą do długiego kanału połączonego ze służą. Tresowane zwierzęta, których tresura okazała się tak zawodna w czasie wojny, krążyły po swoich napełnionych wodą więzieniach oddzielone tylko bramą i tamą od zatoki, od wolności. Znała ich zawodność, wiedziała, co mogą zrobić puszczane wolno. Szkoda, że nie były wolne.

Pomiędzy schronami, a służą był jeszcze basen dla łodzi i prymitywny hangar przyciśnięty do ściany ostatniego budynku. Język wody wciskał się pod jego dach wyposażony w podnośnik. W zimnym, betonowym wnętrzu odbijało się echo.

– Cholerne zimno – odezwał się Descoe. Pan komandor zmarszczył swój murzyński nos. – Gdy przybędzie okręt zaopatrzenia, od razu wchodzimy na pokład. Jutro rano?

Barbara skinęła głową. Spojrzała na czarnego Demona.

W tym pustym hangarze wydawał się większy, niż się spodziewała. W zatoce, przy uszkodzonym krążowniku wyglądałby jak dziecięca zabawka. Wystawał nad wodą, pociągnięty przez dźwig na wyściełanych

pasach wzdłuż prowizorycznej platformy zaopatrzeniowej. Pokrywała go cienka pajęczyna rusztowania podtrzymującego pokład zewnętrzny. Miał płaski brzuch, długi grzbiet, szerokie boki i był cały czarny.

– To najmilsza broń podwodna, jaką znam – uśmiechnął się Descoe. – Jeśli to zadanie jest wykonalne, Demon da sobie radę.

Znów skinęła głową. Od kiedy oswoił się z myślą o tej szalonej operacji, rosła w nim duma ze swojego sprzętu.

Czarny, długi i gładki, niczym się nie wyróżniał. Mechanicy ubrani na niebiesko usuwali wyściółkę z włókna szklanego chroniącą jego grzbiet. Wyglądało na to, że w marynarce wszyscy noszą futrzane kurtki z kapturem albo niebieskie kombinezony.

– Wyjeliśmy już jednostkę napędu – Descoe wskazał długi, zaokrąglony zbiornik ciśnieniowy spoczywający na wózku za Demonem. Zawierał on reaktor atomowy, wymiennik i turbinę stanowiącą źródło mocy wyjściowej. Miał prawie dwa metry wysokości i trzy razy tyle długości. Był zamknięty pod ciśnieniem i wystarczał na podwodną wyprawę trwającą dwa tysiące czterysta godzin na odległość dwudziestu czterech tysięcy kilometrów. Demon mógł więcej niż raz okrążyć Antarktydę. Z Hawajów mógł dotrzeć w dowolne miejsce na Pacyfiku i wrócić. Mógł płynąć do celu lub pozostać w miejscu i żyć w swoim świecie głębin przez sto dni. To była broń o wielkim zasięgu, jednostka strategiczna. W dodatku kieszonkowa.

– Długość piętnaście metrów – ciągnął Descoe. – Pokładnica trzy i dwie dziesiąte metra, wysokość dwa i sześć dziesiątych metra. Dno ma płaskie, a grzbiet wysoki częściowo po to, żeby mógł spoczywać swobodnie na dnie morza, częściowo dla większej opływowości,

częściowo z powodu rozmieszczenia wnętrza. Strumień napędowy biegnie dokładnie wzdłuż dna, jak jelita zwierzęcia, główne przegrody brzuszne umieszczone są po obu stronach, a jednostka napędu mieści się nad nimi. Tak jest na śródokręciu. Na ogonie strumień napędowy unosi się. Zresztą całe dno kadłuba lekko się unosi w pobliżu wylotu. Wewnątrz strumień przechodzi przez pompę perystaltyczną, przez turbinę wentylatorową i przez wylot sterujący nachylenie. Ten garb tworzący stopień na linii ogona to kopuła tylnego sonaru. Główny sonar przedni jest wpasowany w linię dziobu.

Miał garbaty nos, szerokie policzki, spadziste czoło. Pod dziobem, dokładnie na wysokości płaskiego brzucha otwierało się wejście do strumienia napędu, niczym paszcza rekina. Po usunięciu wyściółek tylko to będzie się jakoś wyróżniało na całej długości kadłuba. Nie było żadnych stateczników, w ogóle żadnych zewnętrznych powierzchni sterujących. Mógł płynąć w dowolnym kierunku, na boki albo pionowo, naginając strumień wylotowy, co odchyłało strumień wody napędzanej przez główny silnik. Na dziobie i rufie znajdowały się kręgi sensorów orientacyjnych, napędzanych hydraulicznie cichych dysz wodnych zwiększających zdolność manewrowania przy dużej prędkości i zapewniających kontrolę drobnych ruchów przy prędkości minimalnej. Hydrodynamiczna perfekcja, dźwiękoszczelna i bezszmerowo napędzana hydraulicznymi przekładniami. W podwodnym świecie dźwięków Demon był szeptem, ledwo przemykającym cieniem.

Poszli wzdłuż Demona uspiętego w swojej klatce. Wychodziły z niego sznury kabli biegnące do pulpitu na kółkach. Dwóch oficerów i grupka mechaników zgromadziła się przy urządzeniach monitorujących.

– Tutaj w okolicach szczęk są przegrody manipulacyjne. Dokładnie nad tą paszczą. Nad nimi i nieco do przodu leżą przednie drzwi komór bocznych, po każdej stronie jedno. Ledwo je widać, tak dokładnie są wpasowane. Komory boczne mieszczą po dwie torpedy czterdziestocentymetrowej grubości. Mają sześć metrów długości i otwierają się do przodu i do tyłu, jak konwencjonalne rury torpedowe. Za paszczą i tędy, wzdłuż dna, ciągnie się komora brzuszna. Ma pięć metrów długości i metr szerokości. Otwiera się na bok i zawiera broń obrotową. Kapsuła kontrolera mieści się w lewej komorze brzusznej. To właśnie te brzuszne komory dają mu prawdziwą wartość bojową, chociaż w tych mniejszych można by umieścić jakieś miny. A tutaj, za brzuszną i na wyższej osi leży komora ogonowa. Ma trzy metry długości i mieści czterdziestocentymetrową torpedę. Wrota do niej są tutaj, otwierają się pod tylnym sonarem. Wreszcie tu są silniki korygujące, a ostatnie parę metrów zajmuje pierścień sterujący. A widzicie te szczeliny? Kryją w sobie kamery i światła skierowane do tyłu, na boki, do góry i na dół. Takie same są na dziobie.

Barbara podeszła do samego ogona. Okrągły wylot kanału miał sześćdziesiąt centymetrów średnicy, dosyć, aby się wczołgać do środka. Brzeg był masywny, powierzchnia gładka, a wewnątrz ginęło w mroku.

– Kadłub zewnętrzny i wewnątrz strumienia napędu są z plastycznego materiału – Descoe pospieszył z komentarzem. – Dzięki temu mamy płynne sterowanie. Wiadomo, zaprojektowali go tak dokładnie, że prawie nie ma podziału strumienia wody tu przy wlocie do dyszy. Zrobili to cacko staranniej niż te stare myśliwce.

Popatrzyła na tępo ściętą rufę i na cały czarny, szeroki kadłub.

Widziany od tyłu tracił swą skromną elegancję, stając się morderczo zimny i bezosobowy. Ale maszyny wojenne często mają w sobie takie bezduszne piękno, ciekawe dlaczego?

– Proszę tu zajrzeć – Descoe ruszył w stronę drabinki prowadzącej na platformę. Aż się uśmiechnął demonstrując swego wspaniałego podopiecznego.

Barbara wspięła się za nim po drabince. Aluminium ziębiło jej dłonie. Prawa noga była dzisiaj do niczego. Musiała wchodzić po jednym szczeblu, stawiając lewą nogę pierwszą. A niech to licho, niech licho weźmie ten ból. Drabinka była zahaczona o platformę bez żadnych zabezpieczeń. Descoe wywindował ją swym silnym ramieniem i na chwilę przestał się uśmiechać.

Gdy stanęli obok tylnego sonaru, owiało ich zimne powietrze.

Cała wy ściółka na szczycie kadłuba była już usunięta. Cały kadłub był zanurzony w wodzie, a wszystkie wewnętrzne jednostki, z wyjątkiem zasilania i jednostki dowodzenia, albo nie zawierały próżni, albo funkcjonowały przy zwiększonym ciśnieniu. W zanurzeniu Demon miał idealną pławność podobnie jak każda z jego broni. Po wybalansowaniu ważył dokładnie tyle, co wyparta przezeń woda. Z wyjątkiem dodatkowego wzmocnienia prawie cały był skonstruowany z plastiku zbrojonego włóknem szklanym. Teraz nawet gondole ciśnieniowe schodzące do siedmiu i pół kilometra były zbudowane ze zbrojonego tworzywa sztucznego.

– A ten tutaj to napęd pomocniczy – brunatna dłoń Descoe'a pokazywała na ciemne, ciasno upakowane wnętrze. – Sonar jest oddzielony od niego przegrodą dźwiękoszczelną, bo to chyba jedyne

źródło hałasu na całym okręcie. Względny hałas, należy podkreślić. W razie uszkodzenia głównego napędu włącza się ten silnik, korzystając z prądu elektrycznego z akumulatorów. Napędza tylko turbinę i tylko do prędkości jedenastu węzłów, ale mocy jest dość, żeby utrzymać to przez dziesięć godzin. A więc po uszkodzeniu reaktora albo hydrauliki, Demon wciąż jeszcze ma zasięg do dwustu kilometrów, zanim będzie zmuszony do bezruchu, czy to na dnie, w wodzie czy na powierzchni.

– Turbina główna jest pod tym silnikiem?

– Tak, rozlokowana wokół strumienia napędu. Ma napęd hydrauliczny, chyba że włączony jest napęd pomocniczy. Napędzana jest, rzecz jasna, kolidźcie co ma tę zaletę, że łopatki mogą się składać nie powodując turbulencji strumienia perystaltycznego. Spadek charakterystyki dźwięku przy przejściu od pełnej szybkości na turbinie do niskich prędkości silnika nie powoduje hałasu, wszystko wycisza woda. Gdyby turbina działała teraz na pełnych obrotach, nawet byśmy jej nie usłyszeli.

– To konwerter hydrauliczny? – wskazała na gładkie, czarne pudełko umieszczone przed napędem pomocniczym.

– Tak. Pobiera moc z jednostki napędu i przekazuje ją przekładni hydraulicznej. Ma zbiornik statyczny, żeby zachować ciśnienie początkowe przy zmiennym ciśnieniu zewnętrznym. Dostarcza mocy wszystkim głównym napędom, silnikom korygującym, manipulatorom, systemom dodatkowym oraz na dynamo. W rzeczywistości cały okręt to jeden system hydrauliczny. A tu pod spodem jest napęd perystaltyczny. Ma dwa metry długości, z czego jakieś trzy czwarte to część robocza. Jest uformowany z wysokoplastycznego materiału i wyposażony w szereg pierścieni tłokowych oraz gładkich żeber, żeby umożliwić powstanie

równej fali na całej długości. Dokładnie jak perystaltyka jelit, tyle że o całe niebo szybciej. Może zapewnić prędkość do jedenastu węzłów.

– Czy te fale całkowicie wypełniają rurę?

– Prawie – uśmiechnął się Descoe. – Przy jednym ściśnięciu człowieka zamieniłoby w miazgę i wypluło.

Ruszył pomostem z żebrowego metalu, przekroczył fragment rusztowania i pokazał głową na puste wnętrze w środku okrętu. Wolna przestrzeń biegła aż do dziobu.

– Tutaj mieści się jednostka napędu. To komora ciśnieniowa mająca limit głębokości siedem tysięcy pięćset metrów. Jest tylko parę dziur i rowów w oceanie, do których nie dotrze, ale tam dosięgnie jego broń. Wewnątrz komory napędu maszyna jest uszczelniona i zamontowana na izolacji lub na wytłumiaczach, wreszcie pokryta warstwą dźwiękochłonną. A rdzeń napędowy ma sprzężenia niewibrujące. Dźwięk po prostu się nie wydostaje. – Odwrócił się i pokazał na kobietę w randze porucznika wpatrującą się w pulpity pod monitorem. – Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o systemach reaktora, proszę spytać Roz Ardini. Nie jestem inżynierem od napędu.

– Tędy wzdłuż dna – niczym przewodnik machnął ręką na przestrzeń koło stóp – biegnie strumień napędowy. To wszystko to pojemniki z akumulatorami, linie hydrauliczne, linie sterowania. Te duże cylindry po obu stronach to komory brzuszne, a wzdłuż nich, nieco wyżej, leżą boczne. Te rzędy pomarańczowych balonów koło nich to sprężone powietrze. W momencie niebezpieczeństwa może być zmuszony do wyrzucenia balastu w pobliżu granicy zasięgu. Trzeba wtedy wyrównać prawie do siedemdziesięciu pięciu atmosfer. Ciśnienie niewyobrażalne,

w dodatku wśród ciemności, które lepiej żeby ci się nie przyśniły.

Po obu stronach nad komorami bocznymi mieszczą się zbiorniki z balastem, ale musimy je podnosić, żeby wyjąć jednostkę zasilania. Tak samo te zbiorniki siodłowe zamocowane na końcach, gdzie wpasowuje się komora ciśnieniowa. Dwa małe zbiorniki są tam, przy jednostce dowodzenia, a tam z tyłu jeszcze dwa obok konwertera hydraulicznego i silnika napędu pomocniczego. Razem dają dwie i pół tony pławności dodatkowej. Demon waży sześćdziesiąt cztery tony, wszystko razem, tak więc mamy na powierzchni tylko trzydzieści centymetrów wolnej burty. Jeśli na przykład z jakiegoś powodu do jednostki zasilania dostanie się woda, wyrzucenie balastu przywraca pławność zerową, może więc bez mocy wydostać się na powierzchnię i wpompować powietrze do komór bocznych. To daje następne dwie tony mniej. Jeśli wszystko jest w porządku. Ale musimy mieć zupełną jasność, gdy pracujemy nad tym w wodzie, a wtedy z balastem i komorami bocznymi mamy wolnej burty wszystkiego czterdzieści pięć centymetrów. – Potrzęsnał ze zmartwieniem głową. – No i mokniemy.

Dotarli do ostatniego otworu w kadłubie, na krawędzi obniżenia od strony dziobu. Odsłonięta przestrzeń była węższa i zawierała cztery pionowe rury, między którymi było dość miejsca, aby stanąć. Na dole widniały spojenia. Stojąc na nich na palcach mogłaby akurat wyjrzeć nad krawędzią kadłuba.

– Tutaj leży jednostka dowodzenia, pod tymi spojeniami. Te cztery rury wokół to peryskopy. Są na teleskopach, więc można je podnieść na wysokość maksimum czterech metrów. Demon ma połączenie optyczne, radiowe i radarowe, które może też działać jako bierny odbiornik

kierunkowy. To jego główna obrona powietrzna na powierzchni. Oczywiście, normalnie nigdy nie pracuje na powierzchni.

I taki oto był Demon-4, od ogona do dziobu, w tej chwili wypatroszony przez troskliwe ręce swoich ludzkich opiekunów. No i bez jednostki dowodzenia, która dopiero miała dolecieć wraz z resztą zespołu i większością jego arsenału – małymi trzymetrowymi torpedami i o połowę krótszymi raketami. Była to broń rozmiarów pocisków powietrznych, samosterująca, napędzana akumulatorami, mogąca manewrować, unikać rakiet przechwytyjących i wysyłać przynęty generujące dźwięki. Technologia zabijania wykraczająca poza sztukę, sięgająca obszarów cudu. Obszarów zamieszkanym przez Demony, krakeny i zatopione duchy.

Podawał jej rękę.

Stali u szczytu drabinki, a on podawał jej rękę. Chwyliła ją i zaczęła schodzić po aluminiowych szczeblach. Po jednym stopniu, stawiając niepewnie prawą nogę.

Descoe zszedł po drabince. Wciąż się uśmiechał, a patrząc na swojego Demona aż promieniał.

– Takie upakowanie dobrej inżynierii i techniki robi wrażenie, prawda?

– Prawda.

– Jest dokładnie odmagnetyzowany, nie ma żadnych wyjść pola elektrycznego i jest niemal całkowicie bezgłośny. Dźwiękoszczelność, brak turbulencji w strumieniu napędowym, układ odrzutowy wody. Kadłub jest tak gładki, że można pomyśleć, iż dotyka się szkła, tyle że czuje się drobne zmarszczki. To dotykowe reduktory zawirowań. Oczywiście delfiny robią to lepiej – potrafią zmienić mikroskopową

budowę skóry, gdy zaczynają się tworzyć zawirowania. Ale im chodzi o dobry stosunek mocy do prędkości. Nam chodzi o ciszę przy dużej prędkości.

I znów, jak zwykle, cisza była kluczem do bezpieczeństwa w oceanie.

– Jednostka dowodzenia przybędzie dziś wieczorem – przypomniała mu. – Jak długo zajmie wam zaprogramowanie go na misję?

– To można zrobić w parę godzin – Descoe wzruszył ramionami. – Będą robić część oprogramowania w czasie lotu, na temat Kraka-1, jego pozycji i takich tam. Ale musimy też sprawdzić dokładność sterowania na niższych poziomach, potem uśpić SACYS i przetestować jego własne umiejętności sterownicze. Taką cenę trzeba zapłacić, jak się chce mieć dowódcę podejmującego decyzje dla tak skomplikowanego systemu. Gdyby nie to, można by zwyczajnie zaprojektować komorę dla załogi z całą jej wielkością i hałasem, i ryzykiem strat w ludziach, jakie z sobą pociąga. Trzeba by wrócić do broni taktycznej o zasięgu dziesięciu dni, która potrzebowała okrętu wspomaganego do działań na całym teatrze wojennym. Ten okręt to połączenie statku załogowego i rekina SASB. Stąd skrót USASB: Udoskonalona Samodecydująca Automatyczna Stacja Bojowa.

– Czytałam o tym – Barbara skinęła głową i uśmiechnęła się, aby nie zabrzmiało to jak wymówka. – Robi wrażenie. Ale nie jest jeszcze sprawdzony. Wiem, że sam statek tak, ale nie jednostka dowodzenia.

– Trzy dotychczas wypuszczone – Descoe, jak zwykle, wzruszył ramionami – działały prawidłowo. A to cacko odbyło misję polegającą na umieszczeniu kilku ASB koło Falklandów i podłożeniu min wewnątrz argentyńskich portów. To długa droga z Południowej Georgii i nie było

żadnej kapsuły wiozącej pasażera do nadzoru.

– Nie był sprawdzony w warunkach bojowych?

– Ten nie. D-2 był w akcji.

– Wiem. Na Karaibach. Zatopił dwa kolumbijskie niszczyciele. –
Rozejrzała się po pustym baraku. – Gdzie jest ta kapsuła?

– O tam – Descoe pokazał palcem w stronę ogona Demona-4. – Obok jednostki zasilania. Maggie Blaine pracuje nad nią. Jest jednym z cywilnych członków zespołu. Zajmuje się funkcjami manipulatorów, więc pływa też w kapsule, kiedy jej używamy.

Blaine była ubrana w normalny strój marynarki, zamek podbitej futrem kurtki miała zapięty pod szyją dla ochrony przed zimnem panującym w baraku. Klęczała przed otwartą kapsułą, brała części rozrzucone po betonowej posadzce i wkładała je do obudowy. Kapsuła była bardzo mała, tylko metr średnicy, akurat żeby zmieścić się do lewej komory brzusznej i tylko dwa metry długości. A wewnątrz tej niewielkiej przestrzeni musiała pomieścić powietrze i awaryjne akumulatory, monitory telewizyjne i sonarne, wyświetlacz orientacyjny, urządzenia do sterowania pojazdami i całą jedną istotę ludzką.

Półokrągły przód był odblokowany i zdjęty, a Blaine odsłaniała umieszczone wewnątrz urządzenia. Środek kapsuły zajmowało siedzenie. Nie było luzu w okolicy głowy, ani dodatkowej przestrzeni dla łokci. Średnica wewnętrzna była pomniejszona o grubość skorupy ze zbrojonego tworzywa sztucznego, a przestrzeń po bokach była mocno zapchana urządzeniami pomocniczymi. Małe, technologiczne krzesło tortur.

– Ty jesteś tym kontrolerem? Tym, który naciska na tę szaloną operację?

– Jestem Kastner.

Blaine wstała i wyciągnęła rękę.

– A ja Maggie Blaine. Się masz – szybko potrząsnęła dłonią.

Barbara spojrzała na jaskrawopomarańczową kapsułę i pływaki przymocowane do zaokrąglonych końców.

– Jak leci?

– A, wszystko fajnie – Blaine machnęła ręką w stronę kapsuły. – Trochę głupio, że muszę cały czas improwizować. Chciałabym wiedzieć coś o uzbrojeniu manipów. Ona może zabrać cały zestaw ramion. Różne ładunki, różne możliwości. Czego sobie życzysz i jakie głowice zamocować?

– Jak złapiemy eksperta od tego typu sprzętu – Barbara wzruszyła ramionami – to on ci powie dokładnie, jakie narzędzia zamontować. To będzie obejmować uruchamianie i programowanie urządzeń zdalnie sterowanych.

– O ile to wykonalne?

– O ile. Zrozumiałam, że powinno być możliwe podłączenie końcówek kabla do sterowania sprzętem.

– Hm, mamy jakieś złączki. Nie wiem, czy będą pasować. I będzie potrzebny przecinak?

– Sądząc z planów wraku, tak.

– No, cóż – Blaine pokiwała głową – to chyba zrobię jeden zestaw. Kleszcze i przecinak. Jeśli obydwa pójdą po tej samej stronie, mogą pracować na wysokich obrotach bez żadnego usztywniania kadłuba. Wiesz, te narzędzia nie są wielkie, ale działają i przy bardzo dużych obciążeniach. Zdaje się, że to im się przyda.

Barbara skinęła głową i zajrzała do zatrważająco ciasnego wnętrza kapsuły.

– A co z przedłużeniem czasu przeżycia w kapsule?

– Żaden problem. Trochę mozolne. Z rezerwą maksymalny czas przeżycia wynosi piętnaście godzin. Chodzi o powietrze, moc czerpie z Demona. Zrobię z tego trzydzieści godzin. Oznacza to ogołocenie jej z wszystkiego, co nie będzie potrzebne przy pracy. Widzisz zresztą, nie ma tu dużo miejsca, którym można dysponować. – Pokazała na zdjęty wierzch kapsuły. – Wyjmuję wskaźnik sonaru, wskaźnik orientacyjny, bezpośrednie łącze kontroli nad statkiem i sterowanie ręczne. Chyba nie chcemy, żeby cywil objął dowództwo, co?

– Ja jestem cywilem.

– Co? No, ja też. Wiesz, o co mi chodzi. Jak wojskowi sami nie mogą sobie dać rady, politycy powinni się wtrącić w ten bajzel. Oni to zrobili. Ale ja tu jestem i ty. – Szelmowski uśmiech. – I tak żadna z nas nie ma wyboru, co?

– Nie ma – potwierdziła Barbara.

– No, więc właśnie to wyciągam. Zostawię łącze foniczne z Demonem, monitor telewizyjny i sterowanie manipulacjami. W tej małej przestrzeni używamy po prostu rękawic i pierścienia kątownego do popychania i ciągnięcia. Znasz się na tym?

– Nie.

– Wystarczy, że ten cywil, którego znajdziecie będzie się znał. Ej, według mnie weźmiecie chyba kogoś, kto umie schodzić głęboko na łodziach podwodnych, nie tylko zdalnie sterować z powierzchni.

– Właśnie kogoś takiego chcę znaleźć. Znów uśmiech na wargach

Blaine.

– A ten pływak – zainteresowała się Barbara. – Jest jakiś system ewakuacji?

– Jasne. Pływaki, po jednym z każdej strony, każdy z osobna może wynieść na powierzchnię. Co to pomoże w zasięgu kontroli tego fortu, nie wiem. Jak ucieknie powietrze, trzeba otworzyć kapsułę, która natychmiast tonie. W krótkim czasie zamarzasz w tej wodzie. A nie można cię wyratować z powodu fortu.

Możliwe, że to był wyrok śmierci na pasażera wysłanego tam na dół przeciw śmiercionośnemu fortowi.

– Jeśli Demon zostanie uszkodzony, czy kapsuła może się wydostać?

– No, jasne. Umieszcza się ją z tyłu lewej komory brzusznej. Złączka z tamtego końca pasuje do konsoli tylnej wyrzutni. Ręczne sterowanie otwiera wrota i uwalnia kapsułę. Potem wyskakują zwyczajne pływaki i tylko czekasz, kiedy będziesz na powierzchni. – Rzuciła okiem na kapsułę i pokręciła głową. – I wy naprawdę chcecie wsadzić tam kogoś i wysłać przeciw temu fortowi? Płynęłam w niej parę razy po parę godzin, ale to nie była żadna misja bojowa. Mam to w kontrakcie, że nie muszę. Jestem tu do polerowania manipulatorów podczas prób uruchamiania. Nie weszłabym tam na żadną wyprawę bojową, nawet gdybyście mnie mieli zastrzelić. Mam klauzulę niewojskowego, w której mi to zagwarantowali. Dzięki Bogu to przede wszystkim cywilny sprzęt. Po tej próbie z wrakiem on będzie sam sobie dawał radę. Ten cywil nie popłynie dwa razy?

– Nie, tylko Demon. – Obejrzała się na ciemny kształt Demona-4. – Nabierze doświadczenia.

Barbara odwróciła się. Dwoje ludzi szło wzdłuż okrętu przyglądając mu

się. Martin Hausmann i zastępca dowódcy bazy Davis. Davis mogła sobie być majorem lotnictwa, ale nosiła nylonowy płaszcz marynarki. Martin przynajmniej zatrzymał swoją rosyjską kurtę. Wyszła im na spotkanie.

– Wiadomość dla ciebie – zameldował Martin. – ANTARKTYDA znalazła odpowiednio wykwalifikowanego eksperta. Jest już w drodze znad Weddela i powinien przybyć gdzieś około pierwszej. To już drugi kandydat. Pierwszym była jakaś Bułgarka, wyobraź sobie, ale była nie do przyjęcia.

– Nie – potwierdziła Barbara. – Szklana Góra nie życzyłaby sobie, żeby ktoś z bloku sowieckiego pływał w jednej z naszych najlepszych łodzi.

– Nie. Za to pozwalają Sowietom, żeby go tu przywieźli.

– Proszę – ucieszyła się Davis. – To już bardziej przypomina pełną współpracę w warunkach powojennych. Możemy sobie pomagać w wykonywaniu zadań.

– Chcesz, żebym się z nim spotkał, kiedy przyleci? – zapytał z troską Martin.

Czy wyglądam na taką zmęczoną? – pomyślała. Jestem zmęczona. Zmierzcha się i chce mi się spać. W Nowej Zelandii jest już druga w nocy.

– Nie – zaprotestowała Davis. – Po co macie przez niego nie spać. Niech to zrobi Julien – asystent Dona Vinklera. Jest Francuzem. Zna się na dyplomacji. Zostawcie nam tego nowego.

Barbara skinęła głową.

Jeszcze nie spała, gdy pod wieczór przybył drugi transport. Widziała, jak trójkąt świateł opuszcza się nad ciemną zatokę, gwałtownie opada, szybko wyrównuje i zatrzymuje się momentalnie na oświetlonym pokładzie byłego supertankowca. Reszta zespołu, reszta Demona, cała

broń już jest na miejscu, wszyscy mogli poczekać do rana. Zasnęła. Gdy się obudziła rano, padał deszcz.

Ten Anglik był taki wysoki, o pół głowy wyższy od Martina. Stał w drzwiach mesy ubrany w jasnozieloną kurtkę z kapturem odrzuconym na plecy i ponuro patrzył na deszcz, który szumiał i tworzył kałuże na szerokich betonowych ścieżkach położonych między barakami bazy. Nie miał powodów, aby się domyślać, że idąca w jego stronę kobieta w wojskowej kurtce i w ciemnych dżinsach wyszła z biura dowódcy bazy i, że jest chwilowo wyrocznią dla tego miejsca.

Taki wysoki i specjalista suboceaniczny, pomyślała. Może i miał duże doświadczenie w załogowych pojazdach zanurzeniowych, ale jak się tam mieścił? Doszła do drzwi i odrzuciła kaptur.

– Dzień dobry. Jestem Kastner.

Nie podała mu ręki. Anglicy rzadko już to robili.

– Simon Camfield – przedstawił go Martin. – Już mu streściłem sprawę.

Skinęła głową. Spodziewała się tego. Niemiec robił wrażenie absolutnie niezawodnego urządzenia, które jest bardzo pomocne i nigdy się nie psuje. Możliwe, że był doskonałym asystentem.

Anglik rozejrzał się dokoła. Popatrzył na kilka zabudowań bazy, na szary od deszczu, uszkodzony okręt na wodach zatoki, na olbrzymi, płaski statek STÓŁ, na odległe, bezkształtne zbocza. Jego wyraz twarzy był prawie tak przygnębiający, jak pogoda.

– Czy to rzeczywiście wszystko, z czym chcecie stanąć do rozprawy z tym fortem?

– Mniej więcej. Wyglądasz na zmęczonego. Wstałeś wcześniej? Jeśli

chodzi o strefy czasowe, mogę ci tylko współczuć. Pięć dni temu byłam jeszcze na odprawie wewnątrz Szklanej Góry w Stanach. Od tego czasu już się przystosowałam do Nowej Zelandii, a teraz jestem tutaj.

Camfield tylko wzruszył ramionami.

– Jak śniadanie? – spytała i pokiwała nad nim głową. – Przykro mi z powodu diety, ale musisz trochę zrzucić. I dostaniesz coś na autentyczne zatwardzenie przed odpłynięciem. Będziesz musiał sobie radzić tam w środku przez trzydzieści godzin.

Wzruszył znowu ramionami.

– W porządku, możesz sobie obejrzeć ten pojazd. Idziemy koło przystani.

Przeszli pomiędzy budynkami i minęli piętrową stację nasłuchu. Jako centrum strzegące całego oceanu zachodniego nie robiła wielkiego wrażenia. Szli zakapturzeni przy akompaniamencie szeleszczącego nylonu i płótna kurtki Martina. Ich kroki miękko człapały po mokrym cemencie. Spojrzała przez zasłonę z deszczu na krążownik, gdzie siedział nadąsany Calvet. A niech się dąsa.

– To okręt wspomagania – odezwał się Martin, wskazując na port widoczny między dwoma magazynami. Wysoki, dwupłatowy poduszkowiec stał zakotwiczony zaraz przy wejściu do portu. Był to jasnoszary statek z obwisłymi bokami, bez otwartego pokładu, z gładko ściętym dziobem dźwigającym wieżyczkę rakietową. – Norweski. Stracił jedną łódź podwodną w czasie wojny, a drugą podczas ataku fortu.

– Och – westchnął Camfield. – Jeśli fort został uruchomiony pod koniec wojny, to czemu zajęło to prawie dwa lata, żeby się zabrać do tej procedury zabezpieczania?

– Braki osobowe – odparła Barbara. – Pierwszeństwo miały forty położone bardziej na północ.

Tak więc cały czas pozwalaliście ludziom żeglować sobie nad potencjalnie poważnym niebezpieczeństwem i nic z tym nie zrobiliście. Wszystkie forty są uaktywnione, czyż nie? Łącznie z tym na Morzu Weddela?

– Cały łańcuch.

– Boże, to żalosne. Żalosne. Przywrócenie produkcji z Oceanu Południowego ma być wysiłkiem priorytetowym. A zwłaszcza powstrzymanie wycieku surowej ropy pod lód. Ani lodołamacze, ani poduszkowce nie podniosą tego, gdy już zamieni się w krę albo zgromadzi się pod nią. Na litość Boską, rosyjski lodołamacz zakłajstrował się na Morzu Amundsena ponad rok temu. Ja mam zatykać wyloty szybów, a nie sterować waszą cholerną zabawką, która wymknęła się spod kontroli.

Zatrzymała się i stała w deszczu, dopóki Camfield nie odwrócił się, a Martin nie zaczekał. Podniosła wzrok na twarz Anglika schowaną pod zielonym kapturem.

– Wściekaj się. Kogo to obchodzi? Tylko nie mów mi, że to moja zabawka. Należy do Szklanej Góry, a ja, ty i wszyscy tutaj jesteśmy marionetkami w ich rękach. Jasne?

Camfield milczał dość długo. Potem skinął głową zastanawiając się, do jakiego stopnia jest lub nie jest zaplątana w amerykańską maszynę administracyjną.

Poszli dalej wzdłuż hangarów portowych.

– Szklana Góra – zainteresował się Camfield – to było to nowe centrum dowodzenia politycznego i wojskowego, prawda? Rzeczywiście jest ze

szkła?

– Tak jakby. Atak nuklearny był tak silny, że skały powierzchniowe zeszkliły się, a cały obszar wokół jest radioaktywny. Po ataku musieli wykopać sobie nowe wyjście. Od tego czasu rozbudowano ją i zamieniono w stałą siedzibę rządu. Mają najlepszą gwarancję bezpieczeństwa, bo są otoczeni strefą śmiertelności promieniowania.

– Gdzie to jest? I jak się naprawdę nazywa?

– Uwierzysz mi, jak ci powiem, że naprawdę nie wolno mi powiedzieć? Zupełnie, jak w bajce, co?

– A ty jesteś wyposażona we wszelkie pełnomocnictwa. Masz nade mną absolutną władzę.

– Zgadza się. Mam poparcie ANTARKTYDY i Szklanej Góry, a ona z kolei ma poparcie Euramu i Rady Bezpieczeństwa Amerykańsko-Radzieckiego. Ale nie oskarżaj mnie, że jestem politykiem. Nie mogę też pokazać ci żadnych papierów, ale tego nie muszę. Mam wiążące rozkazy ustne. Można powiedzieć, że moje uprawnienia rozciągają się tam, gdzie ja chcę. Poza tą operacją każdy może próbować się przeciwstawić, ale tylko Connerman może je odwołać.

– Pełnomocnik polityczny Paktu Atlantyckiego na ten obszar – wtrącił Martin – jest Kanadyjczykiem.

Ominęli długi schron dla łodzi podwodnych i skręcili w stronę hangaru, w którym umieszczono Demona. Statek spoczywał w środku, jeszcze na podpórkach, ale już bez rusztowań, z wyjątkiem jednej platformy umożliwiającej dostęp do środka. Zainstalowano już jednostkę zasilania i założono pokrywy kadłuba. Nad nim, z rozhuśtanymi łańcuchami, czekał dźwig podnośnika.

Descoe był tam wraz ze swą asystentką Dianą Kalen. Przedstawił im pracownicę cywilną nazwiskiem Brenda Kocher i drugą nazwiskiem Janet Park. Kocher była szefem zespołu testującego pracę Demona-4, a Park była odpowiedzialna za oprogramowanie i psychikę jednostki dowodzenia. Park też była Angielką; ten kraj znany był z doskonałego oprogramowania.

Camfield, otoczony przewodnikami, wyłącznie słuchał nie komentując ich zawiłych wyjaśnień. W końcu dopiero od pół godziny wiedział, co miano z nim zrobić. Był zmuszony zachować trzeźwy umysł na czas, kiedy będzie obsługiwał ten sprzęt ukryty cztery i pół kilometra pod oceanem.

Jeszcze tylko jednej pokrywy brakowało na kadłubie Demona, tej znad jednostki dowodzenia. Ze środka włókł się gruby kabel do ustawionej na brzegu jednostki, obok której pochylali się nad pulpitemi trzech ludzie. Testowali niższe funkcje sterowania. Komory mieszczące broń otwały się na chwilę w czarnym kadłubie Demona, ukazując nieprzenikniony mrok swojego wnętrza, po czym zasunęły swoje paszcze. Okrągłe drzwi dolnych komór brzusznych cofnęły się do środka i niemal niezauważalnie wysunęły się obrotowe podstawy z rakietami. Peryskopy bezgłośnie wysuwały się i chowały na swoich teleskopach. Chwytny kołnierz wokół wylotu ogonowego zgiął się niemal obscenicznie bez żadnej zmarszczki.

Barbara zostawiła Camfielda przewodnikom i ruszyła w stronę grupy prowadzącej testy na monitorach. Jednego poznała, był to Halson, cywil odpowiedzialny za płytę główną jednostki dowodzenia i za jej systemy. Jednostka miała więc zarazem internistę i psychiatrę, obydwóch odpowiedzialnych za jej programowanie. Kobieta w randze oficera

nazywała się Ardini i zajmowała się zasilaniem okrętu. Trzecim był jakiś pomocnik techniczny.

– Jesteśmy na zasilaniu wewnętrznym – mówiła Ardini. – Polecenie CMD. SACYS ciągle jeszcze w uśpieniu. Testujemy go, zanim przeniesiemy się na okręt wspomagania. Dlatego umieszczamy CMD na pokładzie.

Jednostka dowodzenia miała tylko półtora metra wysokości i osiemdziesiąt centymetrów szerokości. Znow był to pojemnik ciśnieniowy z półkolistymi bokami. Był zamocowany do zasilacza na kółkach, w którym zbierały się kable z Demona i z pulpitu operacyjnego Halsona. Jego też pomalowano na czarno, naturalny kolor tej maszyny wojennej. Na górnej części wymalowano białą farbą litery SACYS, numer seryjny i słowo HYLAS.

– Co to znaczy: Hylas? – spytała Barbara.

– To ta seria – wyjaśniła Ardini. Halson spojrzał znad swoich urządzeń.

– Czy twoje uprawnienia obejmują też zadawanie pytań o systemy?

Popatrzyła na niego bez słowa. Potem odwróciła się.

– Descoe?

Komandor porucznik zwlekał tylko chwilę, po czym zbliżył się. Za nim przyszła jego asystentka, a także Martin, Camfield oraz Kocher i Park.

– Pan Halson chciałby wiedzieć, czy ma odpowiadać na moje pytania.

Descoe pokręcił głową.

– Rick, mówiłem ci – zwrócił się do niego cierpliwie. Halson wzruszył ramionami.

– W porządku – wtrąciła się, zanim Descoe został zmuszony do przeprosin lub udzielenia reprymendy. – Czy to pierwsza seria SACYS

wprowadzona do akcji?

– Wcześniej były prototypy i jednostki próbne – przytaknął Halson.

Hylas, pomyślała. Chłopiec z pokładu Argo, który poszedł przynieść wodę ze stawu na wyspie i którego uroda była tak niezwykła, że gdy zobaczyły go nimfy ze stawu, wciągnęły go tam i utopiły, aby zatrzymać chłopca dla siebie. Ale ten dawca nie został utopiony, aby przez zmysłową wieczność spoczywać w ramionach pogańskich nimf.

– Dość ironiczne – powiedziała na głos. Chyba nikt nie zrozumiał.

Ale Martin przynajmniej spojrział na jednostkę dowodzenia.

– A ta osoba, której mózgu użyto. Wiesz, jak się nazywała?

Nikt nie wiedział.

– O, Boże – przestraszył się Camfield. – Czy to może jest to SACYS?

– Tak, to Samodecydujący Cyborg Sterujący – wyjaśniła Park.

– W ten sposób mamy system dowodzenia zdolny do podejmowania decyzji bez zabierania załogi – dodała Brenda Rocher. – W chwili obecnej mamy lukę technologiczną. Systemy w pełni zautomatyzowane nie radzą sobie z błędnie zdefiniowanymi lub nieprzewidzianymi sytuacjami albo ze zdarzeniami daleko odchodzącymi od przewidywanych. Trwają nad tym prace i to urządzenie ma wypełnić tę lukę.

Camfield zbladł. I nie wynikało to z zimna panującego w hangarze. Był samotny i bezradny w swoim zdumieniu.

– Na litość Boską, to tam jest czyjś mózg?

– Częściowo tak.

– Dlatego nazywa się Demon – Halson wzruszył pogardliwie ramionami. – W systemach dowodzenia hierarchia decyzji w porządku zstępującym obejmuje funkcje dowodzenia, funkcje naprowadzania

i funkcje kontroli. Co robić, jak tam dotrzeć i co zrobić, aby tam dotrzeć i wykonać zadanie. A ten statek ma dowodzenie, naprowadzanie i kontrolę zapewnioną przez system mechaniczny i neuropsychiczny. DMN. Demon.

– Pełna nazwa – włączyła się Rocher – to USASB WZŁDZ Demon-4. Oznacza to Udoskonalona Samodecydująca Automatyczna Stacja Bojowa Wielozadaniowa Łódź Dalekiego Zasięgu Demon-4. – Uśmiechnęła się. – Sporo słów.

– To w rzeczywistości dwie części zadania – dodał Descoe. – USASB, ponieważ to jest coś w rodzaju udoskonalonego rekina ze zwiększonym zasięgiem i o wiele większą zdolnością decydowania. A WZŁDZ, bo jego efektywność dorównuje jakiegokolwiek łodzi podwodnej, a w okresie stu dni ma dziesięciokrotnie większą zdolność przetrwania. Także ponieważ w wyniku oszczędnych rozmiarów jest o wiele mniej widoczny. To najlepszy statek, jaki istnieje.

– Dla ciebie fakt, że to cyborg, może mieć pewne zalety – Rocher zwróciła się do Camfielda. – Zdolności językowe są w większości nietknięte, więc będziesz miał kontakt głosowy ze statkiem.

– Głosowy? To on mówi?

– Niestety, zobaczysz, że niewiele ma do powiedzenia – roześmiała się Park.

– W jaki sposób dobiera się dawcę? – zainteresował się Martin.

– Kryterium dostępności – Rocher wyliczała – stopnia zranienia, odpowiedniej stabilności psychiki, no i pewne umiejętności. Chyba największy problem to znalezienie ciała nieodwołalnie zniszczonego, ale z całkowicie nietkniętym mózgiem – chyba, że uszkodzenie nastąpiło w obszarach przez nas nie używanych. Kłopot w tym, że płaty motoryczny

i sensoryczny, których potrzebujemy, znajdują się w części zewnętrznej. Z tego co wiem, ten konkretny podmiot został ranny na morzu tuż po wojnie. Oparzenia, złamania, uszkodzenia organów, przebywanie w zimnej wodzie, szok. Widocznie był prawie martwy, kiedy przywieźli go do centrum medycznego i podłączyli do aparatury.

Camfield wciąż trwał w osłupieniu. Osłupieniu pomieszany z niedowierzaniem.

– Oczywiście – uzupełniła Kocher – podmiot w pełni zdrowy byłby dużo bardziej odpowiedni, ale wtedy wpada się w sam środek problemów etycznych. – Uśmiechnęła się z przymusem. – A osobiście nie chciałabym należeć do tych wybranych.

Deszcz ustał, pozostawiając wstrętą wilgoć nad stalowo-szarymi wodami zatoki. Co za miejsce, pomyślała patrząc na bezdrzewne i bezbarwne zbocza wzgórz, co za bezduszne, okropne miejsce smagane wiatrem.

Jednostkę dowodzenia umieszczono na pokładzie Demona i ostatnia pokrywa kadłuba wróciła na swoje miejsce. Halson zjawił się ubrany na pomarańczowo – kompletny, dwuwarstwowy, suchy kombinezon skrywający go od stóp po czubki butów i rękawic. Miał też na sobie kamizelkę ratunkową z wysokim kołnierzem. Wspiął się na kadłub statku i wkręcił końcówkę ręcznego miernika w gniazdko schowane pod wklęsłością dziobu. Czekał tam dokładnie nad wciąż sterowaną jednostką dowodzenia zapieczętowaną wewnątrz czarnego kadłuba. Dołączyło do niego dwóch inżynierów, także w pomarańczowych kombinezonach i kamizelkach.

Podnośnik chwycił pętle i uniósł łódź tak, aby uwolniła się od podpór.

Czarny i lśniący, gruby z długim ogonem, płynął powoli pod mruczącym żurawiem, wężąc nad betonową posadzką, w stronę wdzierającego się tu z portu języka wody. Zawisnął nad nią, jeszcze w hangarze i jeszcze w obcym sobie świecie powietrza. Trzy pomarańczowe figurki balansowały na jego głowie, a orszak widzów stał na brzegu. Stali na granicy świata, do którego nigdy nie mieli wejść i jeszcze przez chwilę chcieli trzymać na uwięzi tego morskiego potwora czując wobec niego zazdrość. A może to był strach?

Silnik żurawia zamruczał. Demon miękko osunął się w dół, aż jego płaski brzuch ucałował wodę. Opadał wciąż miękko, a wirująca woda wspinała się po niskim dziobie i wygiętych bokach. Rura na rufie schowała się pod wodę, potem nos, żarłoczne morze podeszło pod smukły, wysunięty kolec tylnego sonaru, przykryło boki gładkiego kadłuba. Czarny cień Demona zniknął pod powierzchnią, uciekając przed wzrokiem ludzi w spokojne wody doku.

Pływał. Czarne, wygięte brwi, pięć metrów grzbietu i miękki spadek zwężający się w grzbiet tylnego sonaru unosiły się prawie na równi z pomarszczoną wodą. Tak niewiele wolnej burty. Jedna fala zmyłaby Halsona i jego inżynierów, mniejsza zmarszczka zmoczyłaby ich w lodowatej wodzie.

Ale w zamkniętym doku nie było kołysania ani wirów. Demon po prostu bezgłośnie przepłynął parę metrów wysuwając się z pętli żurawia.

Brenda Rocher została, żeby na to popatrzeć, razem z Janet Park. Był tam Jerich, oficer raketowy i Maggie Blaine. Blaine mówiła, że lubi patrzeć na wodowanie Demona, bo to jest jego wejście we własny, niezależny świat.

Wejście w straszliwy świat połknięty i zatopiony, zaludniony przez bezgłowe potwory, duchy martwych wielorybów i nowe, przerażające mechaniczne stwory. Barbara patrzyła, jak statek osuwa się w demoniczne rejony, jeszcze istniejąc na granicy świata realnego i mrocznej krainy snu. I mogła razem z nim posłać tam człowieka. Nagle zafascynowało ją to, że może.

Descoe był na pokładzie norweskiego okrętu wspomagania oczekującego na przybycie swojego ładunku. Dowódca okrętu był tutaj, obserwując następcę dwóch załogowych łodzi, które wcześniej obsługiwał. Stracił obydwie swoje załogi, po dwóch ludzi w każdej. Przynajmniej tym razem nie czekały go żadne straty tego rodzaju. Był najwyższy w tym gronie i cały czas milczał, mimo że świetnie znał angielski. Nazywał się Stemland.

Demon wysliznął się z otwartego doku w stronę tamy. Halson sterował statkiem bardzo ostrożnie. Figurki ciekawskich widać było przed barakiem dowództwa koło tamy i na przejściu oddzielającym schrony dla łodzi od portu. Mężczyźni i kobiety w pełnym asortymencie mundurów i cywilnych ubrań, w kurtkach i watowanych płaszczach dla ochrony przed zimnem.

Brenda Rocher wskazała brodą na obsługę schronów.

– Ten Camfield nie był zbyt szczęśliwy, jak usłyszał, że Demon ma w sobie cyborga, co? No, a broń zwierzęca? Tresują rekiny czy delfiny, czy nawet takie mieczniki, jakie mają tutaj. Każą im przenosić miny albo atakować ludzi w wodzie. Jakie ma szansę istota ludzka wobec odpowiednio wytresowanych zwierząt, takich jak te? Nawet uzbrojona.

– Żadne – odpowiedziała jej Barbara spoglądając za Demonem. – Żadne.

– Rekiny giną od rakiet – odezwał się Jerich, oficer rakietowy.

– Każemy im walczyć ze sobą nawzajem – ciągnęła Blaine. – Ale tylko rekiny robiły to, co im kazano, prawda? Mają za mały mózg, żeby przewidzieć skutki.

– A my? – znów wtrącił się Jerich.

– Delfin może się uwolnić i ma dla siebie cały ocean pełen pożywienia.

My nie mamy.

– Jest Anglikiem – Janet Park cały czas myślała o Camfieldzie i cyborgu w Demonie. – Tak jak ja. Jesteśmy kulturalnym i wrażliwym narodem.

– My też – wszedł jej w słowo Stemplans. Norweski dowódca nie mówił jednak o swoim kraju, ale o Demonie.

A Demon zbliżał się do otwartych ramion tamy. Za nimi było wejście do portu, zatoka i duża boczna burta statku, którego tylne grodzie podniesiono i przygotowano na przyjęcie łodzi.

– Programowanie zakończono? – zapytał Martin Hausmann.

– Jest obciążony zadaniami – odpowiedziała Park. – W tej chwili robi właśnie bardzo ważny ich przegląd. Można by powiedzieć, że to wszystko mu się śni.

– Jaka część ludzkiego mózgu tam jest?

– O, trochę ponad połowa, mniej więcej. Wszystkie niekonieczne części usunięto. Okazało się, że sprawiają zbyt wiele kłopotów.

– Dostosowanie psychiki – uśmiechnęła się Kocher – powoduje takie urazy, że korzystne jest zminimalizowanie zawartości psychiki. Oczywiście, pamięć ma tendencje do nieprzewidzianego przemieszczania się i utrwalania, tak więc uprzednia osobowość została przytłumiona tam,

gdzie w zasadzie nie dało się jej wymazać ani usunąć. Otrzymujemy w efekcie pełen wyobraźni i motorycznie czuły czysty komputer.

Demon wraz ze swymi pomarańczowymi stróżami wypłynął poza tamę. A może to mózg był czystym komputerem jeszcze zanim go poszatkowano, połączono kablami z systemami naprowadzającymi i dołączono do maszyny?

– Na taką wyprawę, jak ta sterujemy nim zewnątrz – odezwała się Park. – Nie byłoby celowe wybudzać SACYS po to, żeby usypiać go znowu po paru minutach. Niepotrzebnie by go to niszczyło.

– Czy jest stabilny? – zapytała Barbara.

– O, jak na razie w pełni nas zadowala.

Ramiona tamy zaczęły się zamykać zasłaniając przed wzrokiem obserwatorów wąski, czarny grzbiet i jego trzech pasażerów.

– A kapsuła? – spytała. – Jak Camfield?

– Zmieści się – Maggie Blaine wzruszyła ramionami. – Dokładnie. W tej chwili studiuje wykaz naszych głowic narzędziowych, potem dołączyć to, co wybierze. Narzędzia już są wyposażone w odpowiednie przedłużenia.

– Będą gotowe na jutro?

– O, tak. Nie będzie z tym kłopotu.

– Czy on wie, że wyrusza jutro? – spytał Martin. Barbara potrząsnęła głową.

– Nie chcę, żeby miał jakiś wypadek i połamał sobie nadgarstki. Ja bym tak zrobiła, gdybym miała tam płynąć.

– Szkoda, że nie może zrobić próbnego nurkowania – przypomniała sobie Blaine.

- Pływał już w gondolach głębinowych. Blaine wzruszyła ramionami.
- Nie pływałaś w tej kapsule. Chodzi o to, że tam jest tak cicho.

Rozdział 5

Statek pomocniczy, wzniesiony wysoko na swojej poduszce ciśnieniowej, tnąc wodę dwoma bliźniaczymi kadłubami, wyruszył z Kerguleny na długo przed świtem. Zakręcił przed wejściem do zatoki i popłynął naprzeciw wiatrowi i falom – falom, które rozcinał pogardliwie bez kołysania się i zanurzania dziobem. Po ciemku przesunął się nad uprawami kelpu, którego liście poddawały się naporowi zimnych fal. Potem skręcił na południe, w stronę obszaru obrony fortu. Nabral szybkości i zaczął przedzierać się przez wzburzone i spienione morze. Nawodny pojazd wyścigowy, dzięki któremu mogli zaoszczędzić dużo czasu.

Znajdowali się w odległości zaledwie dwóch godzin od granicy obrony fortu. Skręcili na południowy wschód płynąc wzdłuż niej w stronę Wyspy Hearda, w stronę punktu najbliższego położonego od wraku, który spoczywał pół tysiąca kilometrów wewnątrz królestwa Kraka. Ten zaś na pewno słyszał okręt, który ostrożnie manewrował między krą nawiewaną zimowym wiatrem z południa. Tak płynął jeszcze przez godzinę, aż do świtu.

Demon leżał w uchwytach wielkiej komory dla łodzi podwodnych w tylnej części wysokiego kadłuba statku pomocniczego. Obok niego spoczywała czarna zabawka, morskie stworzonko długości zaledwie dziesięciu metrów. Była to kapsuła zawierająca uzbrojoną ASB. Ciężki hol wraz z kablem sterującym wychodził z jej głowicy i ciągnął się wzdłuż boku Demona. Potem zaginał się do góry i zniknął w rękawie holowniczym otwartym w ogonie łodzi pomiędzy ujściem napędu a anteną sonaru. Tym

razem Demon wyruszał na wojnę.

Camfield był teraz ubrany na pomarańczowo. Czuł się grubo i niewygodnie w dwuwarstwowym suchym kombinezonie, pikowanym bezrękawniku i z nadmuchiwaną kamizelką ratunkową w rękę. Na zewnątrz szary świt wstawał nad mroźnym morzem, którego fale obmywały rozrzucone tu i ówdzie lodowe tafle. Na zewnątrz czekał nieznan, niespokojny świat i podmorskie królestwo Kraka.

Hałas kompresora ucichł i wielki poduszkowiec osiadł na wodzie, aby pływać i kołysać się, jak zwykły, dwukadłubowy statek. Pokład ładowni kołysał się początkowo z boku na bok, potem ukośnie, by przejść do wzdłużnego w miarę jak Stemland obracał swój okręt naprzeciw falom. Teraz statecznie zapadał się dziobem w wodę.

– A co będzie, jeśli dostanie się do wraku okaże się niemożliwe? – Camfield wpatrywał się w nią pytającym wzrokiem. – A jeśli żaden sprzęt nie będzie działał?

– To stracisz trochę czasu – wzruszyła prawie niedostrzegalnie ramionami. – Łódź i tak musi zaatakować satelitę.

Odwrócił się ostentacyjnie.

Blaine i jakiś inżynier pomogli mu się usadowić w kapsule. Pomarańczowa postać ledwo tylko jaśniejsza od otaczającej ją muszli. Z głową wciśniętą w ramiona wczołgał się pod niski strop i opadł na fotel. Jakoś się wśliznął. Ciasna obudowa zdawała się zgniatać wypełniającą ją istotę ludzką.

Maggie Blaine podała mu mapnik z instrukcjami i klepnęła go przyjaźnie po dłoni.

– Tyłek w ryzach, pamiętaj. I bierz tabletki. Czeka cię długa

przejażdżka.

W ciemnym wnętrzu nie widziała ani uśmiechu, ani odpowiedzi.

Zapalono światło w kapsule. Camfield siedział z twarzą bez wyrazu. Sama tam kiedyś siedziała i w ostatniej chwili chciała się wycofać, ale scenariusz miał być inny. On po prostu czytał instrukcje.

Przetoczyli przód kapsuły do otwartego boku i wepchnęli go w pierścień blokujący – najślabszy punkt obudowy będący przyczyną limitu głębokości do czterech tysięcy ośmiuset metrów. Obrócili go o piętnaście stopni i zablokowali. Potem przetoczyli już zamkniętą kapsułę po pokładzie w stronę uchwytów. Wielkie pomarańczowe jajo z przewężeniem pośrodku, wszczep, który Demon miał ponieść na głębiny.

Kapsuła powędrowała do lewej komory brzusznej, a raczej do jej tylnej części, za wyrzutnią rakiet długości trzech metrów. Kapsuła weszła bokiem mieszcząc się idealnie w dwumetrowej, wolnej przestrzeni z tyłu komory. A potem Demon zamknął czarne drzwi, dwa kręgi, które zeszyły się i zawarły bez najmniejszego dźwięku.

Blaine i obsługa odsunęli się na bok. Drzwi kadłuba otwały się na oścież i do środka napłynął zapach morskiej soli. I morskiego chłodu.

Powierzchnia morza kołysała się wraz z pokładem, który chroniły burty i osłony. Czarny Demon ze swoim czarnym mechanicznym dzieckiem opadł na wodę, pijąc ją swoją bezzębną paszczą rekina. Hydrauliczne uchwyty opuściły pochylnię i wraz z nią opadł Demon, ukazując już tylko czarny, lśniący grzbiet wśród wezbranych, zimnych fal oceanu. Wreszcie zniknął. Jego ongiś ludzki mózg był już rozbudzony. Wkraczał w swój własny świat, mający tu dwa tysiące metrów głębokości, obszar wolności dla niezatapialnego Demona. Przerazało ją to. Nienawidziła morza,

oceanu, nie ufała zdradliwej niepewności unoszenia się na wodzie, pływania. Zawsze ją to przerażało – i fascynowało, niczym dziecko dręczone zmorą ciemnych, milczących głębin.

Uchwyty wynurzyły się ociekając wodą. Niewidzialny Demon już się wysliznął. Descoe stał na pokładzie i wyglądał, jakby nie wiedział, co robić bez swojego cacka. Patrzył, jak zamykają się bramy w kadłubie.

Znów uruchomiono kompresory, okręt zaczął się unosić, kołysanie znikło, silniki diesla zaczęły dawać moc. Znów hałas, wibrujący w głębinach morza.

Tam w dole widzi się tylko za pomocą dźwięku i widzi się niemal bez granic. Demon był czymś cichym, cieniem, szeptem, który zniknął, zanim się go ktoś domyślił. Ale okręt, który robił taki hałas w przejrzystym dla dźwięków morzu, był łatwym celem, nawet jeśli jego myśliwy czekał o tysiąc kilometrów stąd. Niecałe czterdzieści kilometrów od granicy obrony Kraka mogło oznaczać dostanie się w zasięg ataku powietrznego. Skręcili na wschód i rozwinęli pełną prędkość.

Przy prędkości trzydzieści dwa i pół węzła Demon przekroczył niewidzialną granicę obrony po czterdziestu minutach. Już teraz płynął blisko dna i zwiększał głębokość w miarę jak dno opadało. Demon zmniejszył prędkość do trzydziestu węzłów, pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Siedział upchany w ciasnej kapsule z głową wciśniętą pod niski, wypukły sufit, stopami wypychając przód zaokrąglonej skorupy, łokciami dotykając obudowy akumulatorów i zbiorników powietrza. Siedział z lekko ugiętymi nogami w małej, wąskiej celi. Jakkolwiek wolna przestrzeń z tyłu była zajęta przez podglówek i oparcie fotela, z przodu

wzrok zatrzymywał się na martwym ekranie u jego stóp. W przewężeniu na wysokości kolan umieszczona była rękawica z pierścieniem uszczelniającym, którą miał manipulować narzędziami. Z bocznych ścian zwisały, kradnąc mu bezcenną przestrzeń, zasuwane torebki z koncentratami żywności i instrukcjami. W ogóle nie mógł się ruszać, co najwyżej mógł wyciągnąć przed siebie ramiona i dotknąć palcami ekranu. Zupełnie jak we wnętrzu jaja, może trochę jaśniej.

Jedyne światło sufitowe było z lewej strony. Miękkie i przytłumione, bo matowa osłona na wysokości oczu nie pozwalała dwóm żarówkom ich oślepić. Druga żarówka była na wszelki wypadek, a w woreczku obok były jeszcze dwie zapasowe. W drugim opakowaniu leżała latarka, żeby nie musiał siedzieć w ciemności. Wypróbował zaciemnienie, całkowitą ciemność, ale tracił w niej orientację, w dodatku ta dotykalna czerń męczyła oczy i sprawiała, że czas zdawał się stać w miejscu. Przy świetle przynajmniej mógł zobaczyć te marne resztki świata, które mu pozostały.

Ciasna kapsuła wepchnięta w najdalszy kąt zminiaturyzowanej łodzi podwodnej.

Komora przed nimi była wypełniona bronią. Trio złożone z trzymetrowej długości torped leżało na obrotowej wyrzutni mogącej bez najmniejszego dźwięku posłać je w morze. Grube zaledwie na czterdzieści centymetrów docierały z pełną prędkością na odległość ośmiu kilometrów, a w wypadku napotkania kontrtorpedy rozsiewały dookoła piszczki – małe, nieruchome generatory dźwięku, które zagłuszały napęd torpedy wobec aktywnego sonaru hydrolokacyjnego. Pomiedzy torpedami leżało dziewięć metrowej długości makiet. W momencie ataku Demon mógł wysłać jedną z nich i zmylić nadpływającą raketę naśladowaniem

dźwięku Demona o zwiększonej głośności, a sam odpłynąć na małym ciągu.

Główny magazyn obronny był jednak w prawej brzusznej komorze. Tam znajdowało się dwanaście rakiet. Każda miała półtora metra długości i ważyła zaledwie sześćdziesiąt kilo. Sam mógłby unieść jedną z nich. Ale dzięki akumulatorom kaskadowym mogły w ciągu trzydziestu pięciu sekund osiągnąć cel odległy o ponad kilometr, kierując się sonarem sonoechowym. Następne sześć rakiet leżało pomiędzy drugą trójką torped. Pomiedzy tymi dwoma ładunkami, niczym wędlina w kanapce, leżał magazyn dwudziestu małych buczków, generatorów ogłuszającego dźwięku bez żadnego napędu.

Oprócz tego jednokomorowe wyrzutnie torped były w każdej z tylnych komór i po dwie w każdej z bocznych, umieszczone jedna za drugą. Trzy spośród tych zabawek leżały dokładnie przed nim, jedna zaraz nad jego głową, a każda z nich mogła rozsadzić łódź na kawałki. Było ich dwanaście. Demon posiadał dwanaście pocisków zaczepnych i osiemnaście obronnych plus zagłuszacze i makiety.

Ta broń zaczepna była taka mała, o wiele słabsza od automatycznej stacji holowanej za burtą. Oficer zbrojeniowy Jerich tylko wzruszył ramionami, jak mu to powiedział. Okręty wojenne muszą być małe. Jeśli chodzi o statki cywilne, to niech sobie jakiś tam gigant tonie i dziesięć dni, byleby zatonął. I przypomniał sobie, jak to w czasie wojny supertankowiec został zniszczony samym ogniem laserowym, a inny z obrotowego dział. Wystarczyło namierzyć zbiorniki i rozpocząć ogień.

Na pokładzie Demona znajdowały się wyłącznie rakiety nastawione na konkretny cel. Wiedziały, co atakują i mogły ścigać tylko wyznaczony cel.

Mówili też, że Kraka broniły rakiety nastawione na cel. Pięciometrowe, szybkie torpedy o zasięgu dwudziestu kilometrów i dwumetrowe bolty o większej prędkości i zasięgu trzech kilometrów. Sensor-satelita, ku któremu się kierowali, miał cztery torpedy i magazyn z dziewięcioma boltami. A wszędzie mogły się znajdować ASB wysłane przez fort z arsenału centralnego oczekujące na polecenie uaktywnienia i szukające najmniejszego szelestu, żeby otworzyć ogień. A te automaty były jeszcze bardziej wymyślne. Miały własne zagłuszacze i makiety, głowice bojowe zdolne zniszczyć wszystko w promieniu dziesiątków metrów. A uszkodzić może w promieniu stu.

Uszkodzony Demon zacząłby się unosić bezwładnie w wodzie, pozbawiony życia wrak wśród przepastnych głębin.

Kapsuła miała zapasowe akumulatory zdolne otworzyć drzwi komory na jego polecenie. Jeden guzik otwierał drzwi, następny rozłączał go ze statkiem i wyrzucał delikatnie w ciemną pustkę. Potem chwila oczekiwania, żeby statek odpłynął i trzeci guzik pompował powietrze z wysokociśnieniowych kul do zewnętrznych pływaków.

Trzeba by się długo wznosić. Na głębinię worki pławne ledwo by się napęniały, rozszerzałyby się bardzo powoli i zyskiwały pławność w miarę jak kapsuła unosiłaby się do góry. Miał skorupę kapsuły, był ubrany w dwie warstwy neoprenu i bezrękawnik. Przeżyłby, nawet gdyby akumulatory się wyczerpały i zostawiły go dryfującego w wodzie o temperaturze jednego lub dwóch stopni Celsjusza.

Ale potem skończyłoby się powietrze i zacząłby się dusić. Blisko powierzchni mógł przewyciężyć ciśnienie i otworzyć kapsułę, ale musiałby ją zatopić. Temperatura wody zabiłaby go. Powinni wyposażyć

tę łódź w zwykłe chrapy, jak u okrętu podwodnego, a wtedy mógłby żyć parę dni potrzebnych do bezpiecznego zdryfowania poza zasięg fortu. Ale każdy dodatkowy wylot ze skorupy ciśnieniowej osłabiał jej wytrzymałość na dużych głębokościach.

A więc żadnej szansy. Jeśli cokolwiek przydarzy się Demonowi, zginie i on. A przy założeniu, że uszkodzona łódź spocznie na dnie brzuchem do dołu – kapsuła nawet nie wydostanie się z komory.

Kierunek. Kierowali się na południowy zachód. Gdyby odważyli się zaryzykować użycie aktywnego sonaru, zobaczyliby u góry tafle lodowe pośród mylącego kłębowiska fal. Teraz już prawie trzy tysiące metrów u góry. Od czasu gdy przekroczyli dwa tysiące metrów, dno stało się nieregularne i łódź starała się dostosować do jego kształtu wnikając w doliny i uciekając przed wzniesieniami. Demon miał inercyjny system nawigacyjny wykorzystujący mapę i jej porównanie z regularnym pulsowaniem nabrzeżnych latarni sonarowych na Kergulenie, na Heardzie i pod pakiem na krańcu stałego lądu Antarktydy. Nie słyszał ich. Te dźwięki były zbyt słabe albo wykraczały poza częstotliwość słyszalności. Mogły pulsować w odstępach minutowych lub godzinnych. Jeśli minutowych, to na pewno mieszały się i myliły z własnymi echem odbitymi od dna i powierzchni wody, tworząc długą i bezużyteczną papkę dźwiękową.

Otworzył kran i nalał trochę wody do plastikowego kubka. Popijał sobie wodę w trumnie.

Następne trzy godziny były w porządku. Skurcz w nogach osłabł i zostawił po sobie małe fale bólu. W końcu przecież człowiek potrafi siedzieć przez trzy godziny albo przetrwać pół dnia w ciasnej gondoli

podwodnej. Zabijał czas czytając w kółko wykazy sprzętu znajdującego się na pokładzie wraku.

Głębokościomierz nad ekranem powoli zmieniał swoje cyferki. Bez niego mogłoby się wydawać, że stoją w miejscu. A teraz prawie się nie zmieniał, gdy dno opadło głęboko poniżej kursu łodzi. Płynęli tak blisko dna, żeby zabezpieczyć się przed jakimś odległym sonarem.

Cisza. Cisza niemal idealna. Niezwykły spokój, który zapewniał bezpieczeństwo w zasięgu panowania fortu. Nie słyszał on hałasu żadnych maszyn, co najwyżej tajemniczy szept turbulencji pochodzący z wewnętrznej turbiny albo z łagodnego odrzutu napędu mieszającego wodę za rufą.

Cisza oznaczała bezpieczeństwo w bezdźwięcznym morzu, ale była też strasznie męcząca. Gondole robocze nigdy nie były bezgłośnie. Przełączniki powietrza syczały, wiatraczek wentylatora wzdychał, serwomotory warczały, ostrza wiertel furkotały, mruczał główny silnik. W tym małym pudełku nie było żadnego dźwięku, z wyjątkiem tego tajemniczego szeptu.

Męczyła też świadomość ciśnienia zgniatającego banieczkę zapewniającą mu istnienie. Cała łódź była zatopiona i miała ciśnienie oceaniczne, z wyjątkiem jednostki mocy, jednostki dowodzenia i samej kapsuły. Poza ścianami kapsuły nie było żadnej ochrony przed słupem wody wysokim na cztery kilometry. A ta mroźna, gniotąca ciemność była tak blisko. Zaledwie parę centymetrów zbrojonego plastiku, parę milimetrów drzwi od komory i cały pusty ocean był już po jego lewej stronie i zaraz pod nim. Starał się nie przyciskać odruchowo do ściany od strony kadłuba. Ostatecznie bywał już głębiej.

Głębokościomierz pokazywał 4020.

– Gdzie jesteśmy? – zdawało mu się, że to wyszeptał, a tymczasem własny głos omal nie postawił go na nogi. Spojrzał wyczekująco na mały głośnik nad pustym ekranem.

– Na kursie – głos był doskonale płaski, doskonale pospolity.

– Gdzie na kursie?

– Czas trwania misji cztery godziny dziewiętnaście minut, jeden-osiem-zero kilometrów poza granicą obrony. Temperatura dwa przecinek cztery. Głębokość cztery-zero-dwa-zero – ten sam głos bez wyrazu, głos nie należący do nikogo.

– Jak daleko do dna?

– Trzydzieści dwa metry.

A prędkość trzydzieści węzłów, pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, piętnaście metrów na sekundę. Tylko trzydzieści dwa metry ponad dnem oceanu. Odstęp dopuszczany jedynie przez nawigację inercyjną.

– Możesz to sprawdzić?

– Szum napędu daje wystarczające echo. Dźwięk widmo odbijający się od mułu czesanego prądami wody.

– Jak daleko nas słyszą?

– Ponad tysiąc metrów.

– Ile ponad?

Cisza zapanowała w jego nieruchomej celi. Długa cisza.

– Zależy od czułości detektora. Niekonieczne rozmowy zwiększają ryzyko.

Wymówka! Wymówka ze strony maszyny cyborga.

A on gapił się na obraz półkolistej „widoczności”, jaką ciągnęli za sobą poprzez przepaściste morze, na czysty obraz łodzi przemykającej nad płaskim dnem pośród niekończącej się przygniatającej ciszy.

Bzdura. Przecież tu nie ma światła. Byli niewidzialni.

Byli? On był. Demon jest rzeczą. Zwykłą maszyną z miękkim głosem i pirackim, żywym komponentem, który może kiedyś służył za siedzibę i źródło jakiejś osobowości, ale teraz nie był niczym więcej, niż zwykłym systemem naprowadzającym.

A on był sam i to pod jego opieką. Nigdy nie przypuszczał, że wyrafinowana maszyna może wzbudzić ten drzemiący w nim strach.

Skurcz i męczący ból stały się nie do zniesienia, stały się torturą. Mięśnie drżały unieruchomione, odleżyny paliły aż gdzieś do kości.

Cisza stała się sacrum. Uświęcona cisza, której nie wolno było dotknąć ani złamać z powodu bólu czy niewypowiedzianego cierpienia.

Piąta i szósta godzina jakoś minęły.

Pół pokrojonego ludzkiego mózgu, powiedzieli, umieszczonego w odżywczej zawieszynie systemu biomedycznej homeostazy wewnątrz elementu SACYS w jednostce dowodzenia, zaopatrzonego w składniki odżywcze umożliwiające przeżycie w Demonie stu dni plus wewnętrzna dziesięciodniowa rezerwa.

Mówili o tym, jako o czystej maszynie. Cyborg zawiadywał funkcjami decyzyjnymi – funkcją dowodzenia, żeby wyznaczyć cele, strategie, polecenia, funkcją naprowadzania, żeby wybierać i utrzymywać kurs, stan spoczynku lub ruchu, funkcją kontroli, żeby móc manewrować i podejmować wszystkie inne działania. Cyborg przyjmował dane sensoryczne, dane o przeszkodach i ich obserwację, dane o osiągnięciu

celu, przetwarzał to wszystko zgodnie ze swoimi połączeniami decyzyjnymi, po czym wysyłał polecenia do niewolniczego komputera, który zarządzał systemem autonomicznym.

Oznaczało to, że to widział o, myślało i poruszało się. Posługiwali się zimnymi, technicznymi etykietkami, żeby zdezynfekować prawdę o tej rzeczy, z którą pracowali. Autentyczna istota ludzka została uszkodzona nieodwracalnie. Jej mózg został wyjęty i rzeźniczo przerobiony, żeby pasował do nowej roli. Nasycono go syntetyczną krwią i zamknięto w skomputeryzowanym opakowaniu. Żył nadal jako wyższy mózg sterujący cudownie skomplikowaną machiną wojenną.

I w jakiś okrutnie przetworzony sposób, nadal myślał. Czy pamiętał? Czy wiedział?

To brakujące ogniwo, powiedzieli. Zapełniało brakujące miejsce, dopóki nie zrobią całkowicie sztucznych komputerów na tyle zdolnych, żeby mogły dorównać giętkości ludzkiego sterowania. „Udoskonalony” automat samodecydujący ze zwiększonym zasięgiem i możliwościami nieskończenie większymi od rzeczy zwanych przez nich rekinami. Łódź „dalekiego zasięgu”, bo łódź z załogą złożoną z ludzi może płynąć zaledwie dziesięć dni, podczas gdy Demon mógł płynąć na odległość dwudziestu czterech tysięcy kilometrów, a potem dryfować, dopóki nie upłynie sto dni. Dwadzieścia cztery tysiące kilometrów oznaczało dwie trzecie obwodu Ziemi. Mógł okrążyć Antarktydę zatrzymując się po drodze na czas walki.

Ale mózg jest ludzki. Pocięta i wykrojona pozostałość po części jakiejś osoby, która jest osobą. Horror, i to horror nie usprawiedliwiony przez niebezpieczeństwa okresu powojennego. Sama łódź wymagała lat

ulepszania. Żeby wyprodukować działającego cyborga – choćby pierwszą w historii serię – trzeba było nawet dłuższego czasu eksperymentów, ślepych uliczek, ulepszeń.

Ilu ślepych uliczek?

Mogli zaczynać od mózgow rekinów czy delfinów. Musieli też eksperymentować z ludźmi. Eksperymentowali z ludźmi. Jego życie, wciśnięte w małą kapsułę, leżało w rękach rezultatu tego eksperymentu. Czy te ręce były bezpieczne?

To było cichsze od wszystkich łodzi do tej pory zaprojektowanych. Silnik perystaltyczny był nowością zarówno przez sam pomysł, jak i przez zastosowanie. Przy niewielkiej prędkości – do jedenastu węzłów – zapewniali go, że nie usłyszałby nawet najmniejszego dźwięku. Ale długo nie można było tak płynąć, ponieważ zapas powietrza dla pasażera był ograniczony. A tymczasem Krak nasłuchiwał, a oni płynęli w stronę jego satelickich uszu.

Głębokościomierz wskazywał 4400. Jeszcze czterysta metrów i kapsuła pękłaby, zgmiotłoby ją jak skorupkę jajka. Ledwie czterysta metrów niżej. I tak było to dwa razy więcej niż głębokość szelfu kontynentalnego, zanim obniża się on w ten głęboki, głęboki ocean.

Minęło osiem godzin. Na powierzchni zachodziło słońce, jeśli było je widać zza chmur.

Nieustanny skurcz jakoś nie chciał przejść w odrętwienie. Ból wzmagał się co jakiś czas.

Żadnego dźwięku poza miękkim westchnieniem prądu napędowego. A każda chwila mogła być tą, w której zaatakuje jakaś rakietka. Najpierw rozlegnie się jej wycie, zbliży się i będzie rosło, dopóki nie zginie w huku

eksplozji.

Usłyszą ich śmierć na Kergulenie. Na brzegu wyspy rozłożono wachlarz superczułych monitorów do obrony okolicy plateau Kerguleny-Hearda i do nasłuchu całego oceanu. Monitory miały połączenie ze swoimi odpowiednikami na Wyspach Crozeta i wzdłuż wybrzeża Antarktydy. Będą znać dokładnie miejsce ich śmierci. Nie miał pojęcia, czy Kastner była osobiście odpowiedzialna za wybór jego osoby albo za zaplanowanie operacji – za jego bezsilne siedzenie tutaj – ale nienawidził jej za to.

Głębokość malała skokami przez jakąś godzinę, w miarę jak Demon przemierzał wzniesienie, może tysięczmetrowe, szerokiego plateau wyrastającego z widmowego dna oceanu.

Nie mógł go zobaczyć. Nie było ekranu do odczytywania odbitych sygnałów sonaru echolokacyjnego, który i tak był wyłączony. Jego użycie ogłosiłoby ich obecność na dziesiątki, a może i setki kilometrów. Mogli przemykać pomiędzy jakimiś górami albo ślizgać się nad kanionami, rozpadlinami, kotłami polodowcowymi albo przepaściami, a on nic nie wiedział! Jedyne wyłączony ekran na wyciągnięcie ramienia od jego oczu, stopy ukryte w cieniu pod nim, wąskie, obwieszane torebkami ściany i nisko sklepiony sufit, który dotykał jego włosów.

A na zewnątrz zimna woda. Jak i on, przybyła tu z Morza Weddela. Tam przy formowaniu się lodu temperatura wody spadała poniżej zera, a zasolenie wzrastało, w miarę jak wyciekała woda uwięziona w zamarzającej krze. Woda powierzchniowa opadała na dno. To ona tworzyła morski prąd Antarktyczny, który płynął na wschód w stronę Basenu Atlantycko-Indyjsko-Antarktycznego na głębokości ponad pięciu tysięcy metrów. Po drodze powiększał się o zimne prądy spływające

z szelfu antarktycznego. Prawie nie mieszał się z cieplejszymi prądami średniej głębokości płynącymi na południe z oceanów Atlantyckiego i Indyjskiego, które oziębiały się i opadały po zetknięciu z prądami szelfowymi. Dopływając tu, na głęboką równinę po zachodniej stronie grzbietu Kergulemy, miał wciąż niewiele ponad dwa stopnie i stąd płynął dalej nad południowym krańcem grzbietu albo przelewał się na północ do basenów przepaścistej równiny Oceanu Indyjskiego.

4000. Cztery tysiące metrów. Czteryście atmosfer ściskających kapsułę i próbujących go dosięgnąć.

– Wrak jest dwa kilometry przed nami.

Spał! Zasnął! Boże, jakże mógł zasnąć?

Był zmarznięty i kompletnie zdrętwiały. Pięćset kilometrów poza granicą obrony i w pół drogi do samego fortu. Minęło jedenaście godzin. Na ściśniętej lodem, smaganej wiatrem, cudownej powierzchni znów była noc. Tu, pośród niezmiennej ciszy, panowała wieczna noc.

Nalał wody do kubka i wysączył ją, wycisnął sobie trochę glukozy z tubki. Zgiął się do przodu, żeby rozciągnąć się w tej ciasnej przestrzeni, chociaż się rozciągnąć. Wziął tabletkę koncentratu żywności bez cienia smaku starając się rozbudzić, zanim dotrą do wraku. Odwinął ją wśród ciszy.

Ciszy absolutnej. Nie słychać było nawet szumu wody.

– Jak szybko płyniemy?

– Dwa węzły.

– Dwa?

A potem szepty. Różne szelesty. Krótkie dźwięki małych silników manewrujących. Tknięty przecuciem usiadł prosto w swojej mrocznej

celi nasłuchując.

Dotknięcie. Najmiększe, najdelikatniejsze dotknięcie.

Głębokościomierz wskazywał 4341.

– Dno?

– Tak. Rzucamy hol.

Czekał, nie słysząc absolutnie nic. ASB w kapsule holowniczej powinna osiadać miękko w mule za łodzią.

– Jak zlokalizowałeś wrak?

– Sensorem magnetycznym.

Stos pogiętego żelaza leżący na dnie oceanu. Mógł go odnaleźć samolot. Podobny do tego, który pomógł zniszczyć wielką łódź podwodną.

Krótkie westchnienie silników manewrujących.

Głębokościomierz pokazywał 4340. Potem 4339. 4338.

– Pięć węzłów – odezwał się płaski głos Demona. – Szesnaście minut.

Ekran na wprost jego oczu ożył. Ukazała się doskonała czerń. Światła jeszcze nie były włączone, może nawet nie otwarto drzwi od komory. Głębia oceaniczna jest kompletnie ślepa.

– Wrak stoi pionowo, jest nietknięty. Sto metrów.

– Widzisz tak daleko?

Z odległości stu metrów woda blisko dna jest nieprzejrzysta z powodu opadania zamrożonego detrytusu.

– Wyczuwam polem elektrycznym.

Zabrzmiało to nieco niecierpliwie.

Czarny ekran zmienił się w czarny obraz. Mlecznobiałe punkciki pływały na tle głębokiej czerni, mikroskopijne resztki martwych okrzemek opadające tu aż spod powierzchni.

– To kamera z lewej komory.

Komory manipulacyjne znajdowały się z przodu okrętu, po obu stronach jednostki dowodzenia, tego czegoś, co mówiło. Wyrzwał więc w nicość korzystając z okna zamontowanego w twarzy otwartej komory, pod kwarcowymi reflektorami i przed dwoma silnymi ramionami robota.

Wcześniej głębokościomierz pokazywał 4330. Teraz zszedł na 4335.

Pojawiło się dno oceanu, podniosło się z dołu ekranu rozmywając w niedalekiej perspektywie. Śmietankowo-żółty muł złożony z okrzemek, długa płaszczyzna uwodnionego dwutlenku krzemu pofalowana odwiecznym miękkim tchnieniem głębokiego morza. Na Weddelu dno było zbudowane z glin pochodzenia lądowego, skał osadowych startych na proszek w żarnach lądolodu. Pod różnymi oceanami widział miejsca zielone, szare, czarne i błękitne. Muł wapienny był biały czy nawet białoróżowy; delikatne barwy przykryte wiecznym mrokiem. Spora część wodnych przepaści była wyłożona brunatną gliną pochodzenia nieorganicznego, zwaną tradycyjnie czerwoną gliną.

Żółtawa śmietanka przepływała obok wśród mroku oceanu i blasku reflektorów. Nigdy nie widział mułu krzemionkowego tak bezpośrednio, tylko z powierzchni, oczami maszyn uwięzionych w dole.

Jakieś widmo zamajaczyło wśród ciemności. Pionowa powierzchnia. Wzniesiona pionowo ciemnoczerwona powierzchnia. Żółte dno zaczęło odpływać na boki.

– To dziób.

Był olbrzymi, ograniczony zasięg kamery nie pokazywał jego kształtu czy choćby zaokrąglenia bulwiastego przodu. Patrzył na sprawny metal martwej bestii; nie było widać nic poza ciemnoczerwonym kadłubem.

– Zejdź od lewej burty.

– Schodzę.

Czyste brzmienie głosu. Ton zamierzonej cierpliwości. Głos osoby. Ale tu nie było żadnej osoby, wszelki ślad osobowości został najpewniej usunięty lub wytłumiony. A jeśli ktoś nieuchwytny wciąż tam jest i w jakiś sposób wie, co się stało? Uszkodzony w wypadku zaraz po wojnie, tak mówili. Ale w jakim wypadku? Czy to rzeczywiście był wypadek? Skąd mogli wiedzieć? Mogła to wiedzieć ofiara. Kadłub przesunął się.

– Na poziomie doku wewnętrznego.

Dok okrętu miał bramę roboczą od strony dna, drzwi prowadzące na pokład i komory wypełnione zmagazynowanym tam sprzętem. Kadłub przesunął się teraz do dołu, głębokościomierz opadał metr za metrem.

– Jak duży jest statek? W której części jesteśmy?

– Jeden-osiem-zero metrów długości. Jesteśmy jeden-je-den-zero metrów od dziobu.

– To sporo. – Obok przepłynęła czarna taśma linii zanurzenia, potem szary metal.

– Czy wiesz ilu ludzi było na pokładzie? – spytał nagle Demon. Kadłub znieruchomiał.

– Czy wiesz ilu?

Gapił się na głośniczek zamontowany nad ekranem. Na głębini, obok statku wypełnionego ciałami, których życie skończyło się tak nagle.

– Chyba... Dwustu sześćdziesięciu. Tak mi się zdaje. Czekał, aż głośnik przemówi. Chwila oczekiwania.

– Na poziomie komór – zameldował bezbarwny głos.

Ramiona robocze nie były w stanie przeciąć kadłuba.

Najpierw spróbował samą łodzią. Przyssawka zaciskowa trzymała mocno. Ramię przecinaka obróciło się chowając ciężkie ostrza, a ukazując w zamian głowicę świdra. Powierzchnia kadłuba wygięła się lekko, na zmianę pchana i ciągnięta, ale wolnoobrotowy świder nie dał jej rady. Przejął więc kontrolę od mózgu i spróbował sam, czując opór w rękawicach sterujących. Świder wolnoobrotowy nie mógł się przebić. Spróbował nachylić go pod kątem i obrócić całe ramię. Udało mu się zrobić stożkowate wgłębienie. Nacelował ostrzem na to wgłębienie i popchnął. Nie przeszło. Nacisnął, na ile pozwalała hydraulika. Ostry zgrzyt dobiegł do wnętrza kapsuły.

Ostry zgrzyt w tym przerażająco cichym morzu!

Cofnął świder. Popatrzył z bliska na kadłub. W środku wgłębienia jasno błyszczał przetarty metal.

Czekał, aż cisza zacznie szeptać ostrzegawczo.

– Tak nie można – odezwał się spokojnie Demon. – Zbyt wielkie ryzyko.

Wypuścił powietrze z płuc.

Zmniejszył ciśnienie w przyssawce i cofnął ciężkie ramię poza pole widzenia kamery.

– Spróbujmy na pokrywie luku.

Nikłe westchnienia silników manewrujących. Szary kadłub zaczął ślizgać się w dół, zarysowana płyta zniknęła z ekranu.

Potem światła zgasły i zapanowały zupełne ciemności.

– Co?

Silniki szeptały, kapsuła wciskała go w oparcie fotela. Potem nastąpiła cisza, a głębokościomierz zaczął pokazywać wolno rosnące liczby.

– Dokąd płyniemy? Co się dzieje?

– Cicho bądź – polecił mu syczący szept.

Łódź opadała bardzo powoli. Przez siebie tylko znaną wieczność wyobrażał sobie wszystko, wszelkie możliwe ukradkiem podpływające rakiety. Kapsuła wróciła do poziomu. Licznik głębokości znów wzrastał bardzo niechętnie. Nie miał pojęcia, jaki był zasięg łodzi.

Wisielei lub poruszali się tuż nad dnem przez długie minuty. Wreszcie zapaliły się światła.

Śmietankowożółte dno, czerwona ściana kadłuba. I zionąca czernią jaskinia ze skierowanymi do wewnątrz zadziiorami na brzegach. Jedno z miejsc, w które trafiono rakieta.

– Wyszła tędy.

– Kto wyszedł?

– Kałamarnica. Poznaje po związkach chemicznych w wodzie. Czuję ją.

– Kałamarnice tutaj? Tak głęboko? Nie żerują na takich głębokościach.

– Ta tak.

Wpatrzył się w czarną dziurę oczekując jakichś silnych macek lub jarzących się ślepiów.

– Co ona tu robiła?

– Może szukała padliny. Wrak śmierdzi trupami.

Dwustu sześćdziesięcioma trupami. Masa łatwego pożywienia dla tego, kto go znalazł. I to pożywienia o przedłużonej trwałości. W wodzie o temperaturze poniżej trzech stopni proces rozkładu był spowolniony. Słyszał już o ciałach, które dało się rozpoznać po rocznym przebywaniu na najgłębszych wodach i o konserwach, które dało się jeść po tym, jak

przeleżały dziesięć lat w tej zimnej i pozbawionej tlenu przepaści. Niektóre dwuzastawkowe mięczaki rosły na głębokościach poniżej trzech tysięcy metrów, miały dwieście pięćdziesiąt lat i nie więcej niż dwa i pół centymetra długości.

Ale jeśli metabolizm jest tak spowolniony, to woda w żaden sposób nie może śmierdzieć. Czyli Demon jest uczulony na śmierć.

– Wpływamy – oznajmił bezbarwny głos.

Zionąca dziura zaczęła się zbliżać i rosnąć w polu widzenia ekranu. Języki podartego metalu przepłynęły obok, skąpane w świetle reflektorów zastępujących Demonowi oczy. Łódź zaczęła wpływać do środka.

A ta kałamarnica. Może być niebezpieczna? Nie dla mnie.

Grodź wewnętrzna była podziurawiona, ale nie zerwana całkowicie. Nożyce przecinaka rozdzieliły ją na boki niczym cienką blaszkę. Demon przecisnął się do studni nad zablokowanymi drzwiami od strony dna i popłynął w górę. Unosili się w zamkniętej przestrzeni, w hali otoczonej warsztatami, przejściami i rzędami spiętego klamrami sprzętu. Jakaś dziwna tajemniczość kryła się w tym pustym wnętrzu grobowca, który rozświetlali reflektorami. A za drzwiami i schodniami czaiły się umykające cienie.

Oczyszczenie dość dużego przejścia, przez które można by odholować uruchomiony sprzęt, zajęło ponad dwie godziny cierpliwego cięcia grubym ostrzem. Pracował nie myśląc o czasie, niepokoju i swoich lękach. Wybierał pełzaki z wbudowanym własnym napędem, po czym wywlekali je ostrożnie jeden za drugim na szeroką żółtą płaszczyznę obok statku. Jeden był wyposażony w tak wielkie chwytaki, że nie mieścił się w tunelu wyciętym w kadłubie. Przełączył się na lżejsze narzędzia prawostronne,

domontował mu masywne ramiona, a Demon odholował go na zewnątrz.

Unosząc się nad każdym z osobna, zakładał delikatne złączki z kodem rozkazu i ożywiał je. Elektryczne silniki szumiały, łożyska zaskakiwały. Roboty jeden za drugim pełzały w dal wybierając losowo kierunek południowy lub zachodni. Huczały bezkarnie w świecie nasłuchujących cieni, ich dźwięk oddalał się, choć całkowicie nie ginął. Znikały od razu z ograniczonego zasięgu światła, ale odgłosy ich kończyn odbijały się echem.

Już czas, pomyślał, ale Demon nie napominał go, żeby przestał. Minęło trzydzieści minut od pierwszego hałasu i już czwarty pełzak spokojnie powędrował w mrok. Czterdzieści minut. Czterdzieści pięć i szósty z warkotem obudził się do życia pod wpływem zniewalającej go złączki. Demon popłynął za nim towarzysząc mu w bezcelowej podróży.

Pomruk. Głęboki, nie kończący się, niezadowolony pomruk duszy uwięzionej na wieki w tym świecie nicości i bezczasu. Chronos obalony i rzucony tutaj, gdzie miał spoczywać po wszystkie czasy.

Głos Kraka budzącego swe śpiące sługi.

Wyciągnął złączkę rozkazów i maszyna zniknęła w groźnej ciemności. Światła zgasły.

Demon zawrócił, żeby wziąć na hol porzuconą ASB. Zatrzymał się przed czarną kapsułą holowniczą i wysunął linę, potem odsunął się i znów zawrócił odmierzając linę, dopóki nie zrównała się z ASB. Ostrożnie, za pomocą chwytaka zamocował hol.

Potem znów światła zgasły oślepiając go w jego kapsule, a Demon z prędkością trzydziestu węzłów skierował się na południowy wschód, w stronę satelity-czujnika odległego o sto pięćdziesiąt kilometrów. Znowu

był tylko pasażerem. Bezużytecznym.

Coś zadudniło, krótko i niewyraźnie.

– Co to było?

– ASB dwunastka – odrzekł głos Demona. – Wielka stacja torpedowa po to, żeby zabić nieszkodliwego pełzaka. Ten Krak nie jest aż taki sprytny. Zwykła maszyna.

W mrocznej ciasnocie wpatrywał się w mały głośnik, w głos Demona. To była osobowość. I to przerażająca! Co będzie, jeśli przejdzie w stan pełnej świadomości, jeśli się obudzi? Jeśli zostało jej na tyle dużo, żeby się zbudzić. Czy zacznie krzyczeć i ściągnie swych śmiertelnych wrogów? Czy sam siebie zabije? Czy ruszy na pełnej prędkości w stronę satelity i zginie w objęciach jego rakiet obronnych?

Mógł podnieść rękę i zakryć głośnik. Ale to nie zakryje duchów żyjących w mózgu tego statku. To nie egzorcyzmy, tylko oni dwaj zamknięci w tej samotni w głębinie oceanu.

– Ta... Jak daleko był ten wybuch?

– Dziewiętnaście kilometrów na północny zachód.

– Jak szybko płyniemy?

– Dwadzieścia węzłów.

– Nie słyszę pełzaków.

– Ja tak.

On i ten dawno zmarły duch. A miało go tu nie być. Nie był potrzebny dla funkcjonowania statku, przeszkadzał prawidłowemu funkcjonowaniu. Bo czynnik psychiczny mógł być straszliwie okaleczony przez swoje doświadczenia i w żaden sposób nie mógł być stabilny. Gdyby wyszedł z ukrycia, ta śmiertelna broń mogła oszaleć. A czynnik psychiczny

gdzieś tam był!

Skulił się w swoim tymczasowym więzieniu.

Dwie długie godziny. Trzy następne, coraz cichsze eksplozje, po których następowała cisza. Słysząc było jedynie tajemniczy szept turbulencji napędu. Już szesnaście i pół godziny był ściśnięty w tej trumnie bez możliwości ruchu. Nie widział nic poza martwym ekranem w odległości wyciągniętej ręki, nie mógł obrócić się na bok, żeby nie natrafić łokciem na ścianę, ponad sobą widział tylko niski sufit, o który zaczepiał włosami. I nie mógł nic zrobić, tylko czekać.

– Puszczam hol.

Stłumiony przez wodę hałas wdarł się do kapsuły.

– To silnik napędowy. Przeływa nad nami. Hałas zmalął i powoli ucichł w oddali. Słyszał go jeszcze jakąś minutę, zanim nie wtopił się na zawsze w milczące tło.

– Zaprogramowałem ją na atak przeciwko satelicie. Płynie z prędkością trzydziestu węzłów. Dotrze tam za półtorej godziny.

– Zaatakuje z prędkością trzydziestu węzłów?

– Pewnie szybciej.

Minęła następna godzina. Na powierzchni było już po północy. Skradziono mu już cały dzień. A także ponad połowę kruchego, zapuszkowanego życia tutaj.

– Minęło siedemnaście i pół godziny – odezwał się do milczącego głośnika.

– Nie musisz ze mną rozmawiać, Angliku. Jestem przyzwyczajony do ciszy.

Spojrzał na swoje pięści, które bezwiednie zacisnęły się. Kostki

zbiegały i drżały niedostrzegalnie.

– Powietrza zostało mi tylko na dwanaście i pół godziny.

– Wiem.

W dwadzieścia minut później rozległ się niewyraźny, lecz straszliwy hałas.

– Torpeda wystrzelona z satelity.

Przeciwno ASB nie niszcząc jej. Daleko z przodu bezduszny robot walczył o wyrąbanie sobie drogi do wieńczącej ją śmierci.

Po pięciu minutach druzgocąca eksplozja odbijająca się echem przez wiele sekund.

– Wspaniale – ucieszył się Demon. – Mogę dzięki temu rozpoznać okolicę. Dno, warstwy wody, powierzchnia. Trochę zamazane, ale dobry i odbiór z zakłóceniami.

– Dostał satelitę? – miał przed oczami obraz jaskrawo oświetlonego morza pokrytego płonącymi wrakami, jak w dawnych bitwach morskich.

– Nie. Zabrakło mu pięciu kilometrów. Wziął na siebie dwie torpedy.

A więc Demon popłynie do ataku na satelitę, a teraz zostało mu już tylko dwanaście godzin powietrza.

Szept napędu wodnego ustał.

– Zmniejszamy prędkość – szepnął Demon. – Jedenaście węzłów. Od tej chwili kompletna cisza. Sieć nasłuchowa satelity zaczyna się pół kilometra stąd.

Demon płynął niczym milczący cień przez bezdźwięczny ocean.

Płynął czas i wyczerpywało mu się powietrze. Morze czekało na jego ciało, na maleńkie pęknięcie wywołane ciśnieniem lub wstrząsem, które pozwoliłoby mu wdrzeć się z miażdżącą wszystko gwałtownością. Za

trzydzieści minut znajdą się w zasięgu torped satelity, części wachlarza sprzętu nasłuchowego rozstawionego na płaskim, mrocznym dnie. Krak miał coś w rodzaju protezy.

Siedział zdętwiały i bezradny. Demon musiał coraz bardziej zmniejszać prędkość, skradać się do swego celu. Głębokość nie zmieniała się teraz o więcej niż metr. Jeszcze jedna dręcząca godzina. Siedział sztywno, bojąc się nawet poruszać. Powietrza zostało tylko na jedenaście godzin, ledwo starczy na dopłynięcie do miejsca spotkania poza morderczą strefą obrony.

Cichy terkot dobiegł go z prawej strony kapsuły i szybko ucichł. Potem drugi i trzeci. Nawet nie słyszał, jak otwierały się drzwi komory, ani jak obracały się uchwyty. Torpedy wystrzeliły i znów zapadła cisza.

Miękki odgłos przesuwania tuż nad jego głową. Następna torpeda cicho umknęła w dal, potem jeszcze jedna. Potem odpaliły jeszcze cztery. Przez nieznośnie długą minutę zupełnie nic się nie działo.

Odległe, przytłumione, upiorne dźwięki, jakieś potwory zawodziły w druzgocącej wszystko pustce obok jego zamkniętej muszli. A potem gdzieś daleko rozległ się zgrzyt topiący wszystkie inne dźwięki. I silna eksplozja. Zgrzyty i wybuchy, głośnie detonacje i małe, ostre wstrząsy, niknące w oddali pomieszanie morderczego hałasu. Gniazdo morskich demonów zniemacka doprowadzone do szału i ograbione przez bandę upiornych Walkirii.

I znowu cisza.

Bardzo długa cisza.

Jeszcze jeden szybko cichnący terkot rozplynał się w oddali. Dziesiąta torpeda wysłana do ataku.

Nic. Żadnych odgłosów walki. Przez cztery minuty.

A potem pojedynczy, druzgocący dźwięk.

– To był satelita – wyszeptał głos Demona. – Pierwszy atak rozerwał jego obronę. Teraz utrzymujemy zupełną ciszę na wypadek, gdyby nadpłynęła ASB.

Minęło trzydzieści minut, zanim pierwsze ostrożne dźwięki napędu dobiegły do kapsuły. Upłynęła jeszcze jedna niepewna godzina, zanim Demon przyspieszył do trzydziestu węzłów. Pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, przed nim ponad pięćset kilometrów do przepłynięcia, a powietrza zostało na mniej niż dziewięć i pół godziny. I wszędzie po drodze czyhające w milczeniu niebezpieczeństwo.

Na niegościnnej powierzchni morza był dzień.

Joannę Davis zgłosiła się na ochotnika na tę wyprawę, żeby zająć się Anglikiem, gdyby przeżył. Kastner najwyraźniej nie lubiła morza, ale nikogo chętnego nie było w pobliżu, a kilka miesięcy zamknięcia w bazie już ją dusiło. Przesiadywała na mostku razem z Norwegami i patrzyła, jak wysoka burta rozcina pęczniejące fale. Wygnanka Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych wśród załogi rozbitków NATO. Obserwowała kłębiące się sztormowe chmury, grzebienie piany, piętzącą się krę, sypiący deszcz ze śniegiem, wszystko co było widać do granic horyzontu.

Demon zgłosił się wcześniej i wynurzył się bardzo blisko granicy Kraka. Anglikowi skończyło się powietrze pół godziny wcześniej i teraz tępo odzywał się przez radio. Okręt wspomagania gnał na pełnej prędkości, a w tym czasie Blaine próbowała wbić Anglikowi rozkazy do głowy. Descoe organizował natychmiastową pomoc.

Demon pławił się w grzywiastych falach. Tylko czubek anteny

radiowej czernił się na tle metalicznie szarej wody. Statek zakreślił łuk w jego stronę.

Gdy schodziła na wąski pokład rufowy, łódź już była unieruchomiona i nurkowie zeszli pod wodę. Trzymała się liny ratunkowej przypiętej do wysokiego ogona, kołysząc się w ostrych podmuchach wiatru. Stała obok norweskiego oficera, który doglądał opuszczania lin holowniczych do wody. Syczący i wciąż wysoko wzniesiony statek przechylał się niebezpiecznie wśród wzburzonych fal. Spojrzała na krę – białe płyty lodu i niezdrowe strupy zamarznętej ropy, z których woda zmywała świeży śnieg.

Płatki śniegu wirowały w powietrzu, zalepiały oczy, ich nierówne grudki unosiły się przez sekundy na powierzchni morza. Demon leżał teraz bokiem do statku, czarna sylwetka pod stalowoszarymi falami.

Kilka głów przebiło wzdymające się za rufą morze, trzy w czarnych kapturach i jedna pomarańczowa. To był Camfield, bez maski i aparatu tlenowego.

Nurkowie chwycili go między siebie i do połowy wypchnęli z kłającego morza, kilka par ramion chwyciło go i wciągnęło na goły pokład. Woda tryskała ze środka jego podwójnego kombinezonu. Kaszłał i chwycił łapczywie powietrze. Ratownicy zaczęli pojawiać się na pokładzie. Wyglądali niezgrabnie w ciężkich kostiumach z neoprenu i gumy, a twarze zbieły im od zimna panującego w wodzie.

Lekarze i marynarze postawili Camfielda na nogi i ponieśli go do wnętrza statku. Bezradny człowiek, najpierw omal nie uduszony, a potem topiony i niemal zamrożony.

– Nie – odezwał się słabo, ale jego głos porwał wiatr.

– Nie! – wrzasnął i chwycił kurczowo jej ramię. Złapał jednocześnie za reling i o mało nie rzucił asysty do morza. Oficer i Blaine coś krzyczeli.

– Spokojnie – uciszyła ich Davis. – Spokojnie. – Pozwoliła mu chwycić drugą ręką za reling.

Leżał tam na spadzistym pokładzie rufowym, wisząc na linach relingu z bezradnie podkurczonymi nogami. Owinął rękę wokół liny i odwrócił się w stronę otwartego morza. Gdy się odwracał, zobaczyła jego rozbiegane oczy.

Poduszka powietrzna sycząc opadła i bocznościan osiadł na falach. Podrzuciło nim i zakołysało, hydrauliczne zawieszania zamortyzowały wściekły atak morza.

Szukał przestrzeni. Tylko przestrzeni, widziała to. Rozpaczliwie wpatrywał się w pooraną, spienioną pustynię, wpił wzrok w szorstkie, białawe płyty kry zalewane przez dzikie fale. Głowa kołysała mu się w takt gwałtownych ruchów statku w górę i w dół. Mógł tutaj zemdleć, ale potrzebował przestrzeni.

Demon odplynał, jego antena radiowa zniknęła. Uchwyty dźwigowe opuszczono z brzucha poduszkowca. Łódź dostała się na pokład ociekając wodą. Doczepiono stałe liny i zamocowano do okrętu. Ostatni nurkowie wychodzili z wody.

– Chodź – zawołała, starając się przekrzyczeć wiatr. – Przecież zamarzniesz.

Lekarze i marynarze zaczęli go podnosić.

Znów kurczowo złapał jej ramię słabą ręką ubraną w mokrą rękawicę.

– Tam ktoś jest. Mówiliście, że nie. Ale to nieprawda. To żyje.

Piana wytrysnęła ponad krawędź pokładu i obrzuciła ich mroźnymi

igielkami.

Rozdział 6

Późnym popołudniem Barbara siedziała w stacji nasłuchu, dopóki nie dotarły do nich odległe szepty eksplozji w pobliżu wraku. Razem było ich sześć – sześć punktów obrony Kraka zostało zniszczonych. Poszła potem spać zastanawiając się, czy jeden z tych wybuchów nie oznaczał, że łódź została trafiona i, że Camfield nie żyje. Potem znów zaczęły się eksplozje, w nocy, i to dużo później, niż się spodziewali. Komputery, podłączone do sonarów dalekiego zasięgu wychwytyjących najdrobniejsze dźwięki, zlokalizowały je w bezpośredniej bliskości satelity-sensora, a ostatnią dokładnie w jego środku. Prawdopodobnie więc odnieśli sukces, ale musieli czekać do południa, żeby przekonać się, czy Demonowi udało się uciec i czy Camfield przeżył.

Pomyślała o wachlarzach nasłuchowych umieszczonych na dnie szelfu. Takie właśnie czułe uszy dobiły wielką łódź podwodną. Same jej rozmiary ją dobiły, nie mówiąc o odbiciu magnetycznym, gejzerze cieplejszej wody zdradzającej jej kurs i o całym jej nieskrywanym hałasie. Nie znający granic dźwięk miał też swój udział w przeminieciu ery wielkich okrętów nawodnych, ale jego wadą była po prostu sama jego zewsząd widoczna masa. Transportowiec czy ciężki krążownik były beznadziejnie skazane na porażkę. Satelita umieszczony na orbicie obserwował go dniem i nocą, przy czystym niebie i poprzez chmury. Błyskawiczna rakiet balistyczna, orbitalna albo wystrzelona z ziemi, atakowała za pomocą głowicy nuklearnej samonaprowadzającej się na wybrany cel, pewnie i niezawodnie zatapiając każdy okręt. Tak więc, największymi okrętami nawodnymi zostały jednostki rozmiarów niszczyciela lub lekkiego

krażownika, działające we współpracy, ale nigdy w bezpośredniej bliskości i zdolne do przeprowadzenia ataku na cele lądowe, morskie i podwodne. Główną siłą marynarki stały się niewielkie okręty przewożące miniaturowe łodzie podwodne i tak rozpoczęła się spirala wyścigu precyzyjnego wykrywania z perfekcyjnym wyciszaniem.

I zakończyła się – jak na razie – wraz z Demonem.

Podmorska łódź wróciła do zimnego hangaru obok portu i została uśpiona. Anglik przeszedł szybkie badania, odniesiono go do jego pokoju i uśpiono dawką narkotyku. Mroźne popołudnie zakończyło się ulewą deszczu ze śniegiem. Pierwszy dryfujący płat lodu wyslizgany od fal wpłynął pędzony wiatrem do zatoki i osiadł na brzegu. Zanim zapadł zmrok mizerna, szara trawa pokryła się błyszczącą bielą. Śnieg zgęstniał, zamazując światła pozycyjne olbrzymiego statku STÓŁ i kalekiego okrętu wojennego. Gdzieś pośród mroźnych głębin Krak rozmyślał nad swoją porażką, oczekując następnej wyprawy tego statku, który wskazałby mu najsłabsze miejsce w jego pasie obrony. Miejsce, z którego nastąpi atak. Krak zastanawiał się i obliczał, wysyłał transportery robotów, żeby rozstawić więcej czyhających torped. Gdyby wiedziała, jak zniszczyć te transportery, wówczas Krak zacząłby prowadzić wyczerpującą wojnę tylko wzdłuż tego jednego korytarza morskiego. Lepsze to, niż gdyby miała w ogóle nie odnieść żadnego sukcesu. A niech ich licho porwie, tę całą Radę Prezydencką i szybko po sobie następujących prezydentów z czasów wojny, którzy przetarli drogę do reżimu rządzącego tym zrujnowanym światem.

Zespół Demona naprędce zorganizował sobie ucztę w dwóch pokojach na parterze przepelnionego bloku mieszkalnego. Ich dziecię po raz

pierwszy wypłynęło na wojnę i wróciło całe i zdrowe. Z pewnością w dużej mierze dzięki ich czulej opiece. Krążyło więc piwo i alkohole, grała wypożyczona szafa i trwała zaimprovizowana zabawa.

Descoe osobiście wysłał Martina, żeby przyprowadził Barbarę. W końcu byli towarzyskimi Amerykanami, którzy nie krępują się w obecności wszechpotężnych kontrolerów. Descoe zaprosił też dowódcę bazy Vinklera i wszystkich Norwegów ze statku, którzy zechcieli przyjść. Z łatwością zapełnili dwa pokoje od frontu i zaanektowali jeszcze sąsiednie sypialnie.

Joane Davis od razu się do niej przepchała.

– Żebym nie zapomniała. Coś się dzieje z tym Camfieldem. Był w okropnym stanie po wypłynięciu. W porządku, kapsuła i potem ta woda omal go nie zabiły. Ale tu nie chodziło o to.

– Nie? – anonimowa ręka podała jej jakąś mieszankę: piwo i przynajmniej trochę whisky. Dziwaczne, ale niezłe.

– Powiedział, że to żyje. Powiedział, że Demon to ktoś. Hej, Rick! Janet! – Halson, ekspert od jednostki dowodzenia i Park, ta Angielka zajmująca się programowaniem i psychiką, lawirowali w ich stronę. – Zrozumieliście coś z tego, co Camfield mówił?

– Że ma osobowość? – roześmiała się Park. – Nawet nie ma nic takiego na nagraniach z rozmów. Parę dziwnych zdań, ale to się zdarza cyborgom przy pierwszej misji bojowej. Nie trzeba się od razu martwić o psychologię.

– Jesteś pewna? – zamyśliła się Barbara. – Wcześniej miał tylko jedną próbę. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy za drugim razem.

– Słuchaj. To o spersonalizowanym głosie wynika ze stresu, jakiemu

podlegał Camfield. Jak się nad tym zastanowić, to stresu całkiem zrozumiałego. Samo zachowanie Demona było chyba bez zarzutu.

– Trzeba by jeszcze sprawdzić szczegóły – wtrącił Halson. – Ale doskonałe wykonanie zadania nie podlega dyskusji, a to najważniejsze.

– Wykroczył poza limit zapasu powietrza dla pasażera.

– Cóż, ostrożność i ochrona własnych interesów są najważniejsze dla bezcennych łodzi torpedowych. Poza tym osiągnął cel misji, a jego sformułowanie nie zawierało zabezpieczenia życia pasażera. Pasażer był tylko narzędziem i to już wykorzystanym.

– Nie można – zgodziła się z nim Park – oczekiwać altruizmu od maszyny tylko dlatego, że zawiera częściowo biologiczny składnik.

– Częściowo ludzki – zaprotestowała Davis.

– O, raczej już nie.

– No, cóż – powiedziała Davis, gdy odeszli. – Nadal twierdzę, że był porządnie przerażony. – Spojrzała na jej pustą szklankę i rozejrzała się. – Zrobisz mi przysługę? Idź pogadaj z Donem Vinklerem. Mój szef jest z tych, co trzymają dystans. Nie otwiera się. Jak ja mam się przed kimś otworzyć, jeśli w zamian nie mogę stać się powiernikiem. Idę zapolować na Norwegów.

Porozmawiała z Vinklerem, porozmawiała ze Stemlandem, dowódcą okrętu wspomagania. Norweg utrzymywał na statku przyjacielskie stosunki ze wszystkimi, co było jego sposobem na dobrą, ścisłą współpracę. W całym okresie wojennym i po wojnie stracili tylko trzy kobiety i jednego mężczyznę – załogi dwóch łodzi podwodnych. Mogli sobie pozwolić na względnie lekkie traktowanie życia.

Barbara trzymała się z boku przesiadując na łóżku w kącie. Nie chciała

narzucać innym swojej pozycji władzy. Piła niewiele, czując się gościem nie upoważnionym do naruszania cennych zapasów alkoholu. Widziała jak Stemland wychodzi z jednym ze swych oficerów, patrzyła jak ręka Descoe błądzi po plecach jego asystentki Kalen. Wszyscy jakoś czuli się razem, tylko ona była outsiderem, oddelegowaną władzą odizolowaną od towarzystwa.

– No i czyż nie poradził sobie wspaniale? – Maggie Blaine usiadła obok niej na poduszkach. – Nasz Demon. Nie poradził sobie wspaniale?

Barbara kiwnęła głową.

– A ten Camfield. Nie spodobała mu się kapsuła, co? Mnie też by się nie podobała po trzydziestu godzinach. Nie dałabym się tam zamknąć. Mam to w kontrakcie – „pracownik cywilny do zadań wyłącznie pozabojowych”, to ja.

– Kontrakty są niewiele warte. Nominalnie wciąż jestem pod ochroną kontraktu zawartego w czasie wojny. Złamali jego klauzule jeszcze zanim go podpisałam.

– No, zawsze to zabezpieczenie. Powiedz mi. Ale tak jak cywil cywilowi, bez żadnych głupich lojalności, dumy wojskowej czy takich tam. Myślisz, że bombardowaliśmy się nawzajem satbojami? Ed mówi, że tak. Wiesz, Ed Zikner. Ten od sonarów i sensorów. Te pierwsze satboje działały przez jakiś tydzień, prawda? Dostali je z naziemnych laserów, satlaserów, satelitów bombardujących. Wybili satelity powstrzymujące, nawigacyjne, meteorologiczne – wszystkie. Wszystkie satelity. No więc, konieczne było wystrzelenie tymczasowych zastępców z Canawerału, z Bajkonuru. Potem zniszczono te wielkie kosmodromy, więc przerwali się na ruchome wyrzutnie. Pospieszne programowanie, zmiana głowic.

I wszystko im się popieprzyło.

– Kilka zagięło. Satboje o słabym systemie nawigacyjnym wystrzelone z wielkim przyspieszeniem.

– No, ale chodzą plotki, że podczas paniki w jednym silosie wystrzelili satelitę, który nie był przeprogramowany. I podobno to on zbombardował Ukrainę. Rzecz jasna, w końcu spłonął przy tym drugim ataku. Ale chciałabym, żeby to była prawda.

– Tak – Davis pochylała się nad nimi. – Ta wojna to naprawdę był niezły dowcip. Miliony się śmiały. Maggie, zrobisz mi przysługę? Zobacz tam, ale wstań. Widzisz? Tam, za nimi. Jest taki norweski porucznik, jeszcze wyższy od twojego kapitana.

– Od dowódcy?

– Zgadza się. Jest mój. Ale chcę zamienić parę słów z Barbarą, więc poszłabyś i przypilnowała go przez parę minut? Nazywa się Torbjon. Spodoba ci się, ale ręce z daleka, bo cię przeciągnę pod kilem czy jak to oni tam mówią. I tak jest dla ciebie za wysoki.

Blaine wzruszyła pogardliwie ramionami i odeszła.

– Och – westchnęła, siadając na miejscu Blaine. – Ci mężczyźni. Gdzie się podział ideał zdobywcy? Trzeba lawirować wokół nich. Myślisz, że to siostry kazały im się bać?

– Nie – uśmiechnęła się Barbara. – Myślę, że teraz każdy boi się każdego.

– Możliwe. Możliwe. Ale komu by się chciało bać takiego maleństwa, jak ja? Ciebie to można się bać – oczywiście w inny sposób. Jedno słowo z twoich ust zabija momentalnie nas wszystkich, czy nie tak? Nie wydaje mi się, żeby większość z nich zdawała sobie z tego sprawę. A to przecież

niewielka różnica. Znaczy się, mogłabyś przelać na kogoś swoje kłopoty. Znaleźć ci kogoś? Ach, przepraszam. – Spojrzała w bok, żeby nie zostać posądzoną o niegrzeczność. Uśmiechnęła się. – Jak się dostałaś do tej pracy?

– Popeliłam błąd – Barbara wzruszyła ramionami – i okazywałam swoje zdolności. Mój fach to łączenie doświadczeń innych ludzi, żeby coś z tego wyszło. Bardzo przydatne, kiedy normalny bieg rzeczy jest niemożliwy, na przykład brak odpowiednich środków do wyciągnięcia tego fortu. Jak raz okażesz zdolności, to już więcej o sobie nie decydujesz. Wysyłają cię dokąd chcą i kiedy chcą, jak im się podoba.

– Właśnie. Tak jak mnie usadzili tutaj. A jaki właściwie miałaś zawód?

– Byłam inżynierem-badaczem w cywilnej korporacji. Dokładnie w ostatnim tygodniu wojny dołączono mnie do zespołu pracującego nad przejściem radzieckiego systemu wykorzystującego energię oceanu nad Rowem Kajmańskim na południe od Kuby.

– Energia termiczna oceanów. A po co właśnie to chcieli przejąć?

– Wywiad technologiczny dowiódł, że wykorzystywali je do wrogich celów, a właśnie trwały starania o zawieszenie broni. Byłam asystentką, a nie rzeczoznawcą, ale jako jedynemu inżynierowi udało mi się tam dostać. Jak to mówią, przekroczyłam założenia programu.

– O, tak. Błąd równie poważny, co zgłoszenie się na ochotnika. Duże były straty? Nie zostałaś ranna?

– Tylko w nogi. Nie zawsze się dobrze sprawują i od czasu do czasu bolą jak diabli. Chyba lepiej ich się nie da wyleczyć. Prawa przysparza więcej kłopotów niż lewa. – Klepnęła ją, dając do zrozumienia, że nie pochwała tego. Noga zareagowała sekundowymi igielkami bólu.

Davis poważnie kiwała głową. Postawiła szklanę z drinkiem na podłodze między nogami.

– Podobasz mi się. Opowiem ci o mojej wojnie. Kiedy się zaczęło, byłam wysoko, na platformie orbitalnej. Mieliśmy trochę biernych urządzeń odpierających na pokładzie, ale większość sprzętu i większość załogi nadawała się tylko do cywilnych prac przy wykrywaniu złóż mineralnych. Z wojskowymi mieliśmy tyle wspólnego, że razem opłacaliśmy tych samych speców od reklamy. Dostaliśmy atomówkę.

– Atomówką na platformie w kosmosie i przeżyłaś?

– Och, wiedzieliśmy, że zbliża się rakietą, bo odebraliśmy sygnał uaktywnienia, a Ziemia potwierdziła, że jedna zniknęła z orbity magazynowej. Ale te satelity wytwarzają własne zewnętrzne zasłony sygnału uaktywnienia i są po prostu czarne na ekranie. I małe. I podchodzą z wyższej orbity, więc nie można ich zobaczyć na tle Ziemi, a także najczęściej od strony Słońca, żebyś miała jak najmniejszą szansę wykrycia na tle gwiazd. W istocie więc są niewidzialne. Nie wiem, jaki jest ten kąt widzenia, ale pewnie nie większy od minuty łuku. I nie da się znaleźć go na radarze. Powinien dawać spore echo, ale wiesz jakie są problemy z przeszukiwaniem przestrzeni sferycznej? To wina tych wszystkich cywilnych urządzeń, do diabła z nimi. No nic, i tak mieliśmy szczęście, że dostrzeżliśmy pocisk i trafiliśmy laserem z dwóch kilometrów. Uszkodzenia w elektryce i wśród załogi wynikły tylko ze strumienia neutronów, który nas przeczesał. Ja przeżyłam, bo byłam po drugiej stronie pierścienia laboratoriów, zasłonięta całym sprzętem. Ale dostałam wystarczającą dawkę. A ci ludzie z poparzeniami od napromieniowania... nie mogliśmy sobie poradzić z dwoma trzecimi załogi. Niektórych

znieczuliliśmy i wypchnęliśmy przez służę ze względów humanitarnych. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Cała twarz albo plecy jeden wielki bąbel, jak napompowany.

– Nigdy nie widziałam ofiar bezpośredniego uderzenia.

– Ja żałuję, że widziałam. Boże. Ktoś powiedział, że niewyobrażalne ziściło się, prawda?

– Ktoś tam. No i mieliśmy chirurgiczne uderzenia strategiczne, kontrolowane uderzenia odwetowe i użycie na polu bitwy. Dzięki Bogu pole bitwy nie rozszerzyło się poza Europę.

– Niezbyt to pocieszające dla Europejczyków. No, w każdym razie zorganizowaliśmy się jakoś i następnego dnia, bez ostrzeżenia, podziurawił nas śrut. Wiesz, te kawałki na orbicie kolizyjnej. Prawie wszystkich zmiotła dekompresja. A to też jest niezapomniany widok. Ludzie, którym płuca wychodzą ustami, z oczami na wierzchu, krew i wymiociny latają w powietrzu. Żeby nie zginąć, trzeba być w kombinezonie. Potem coś wysłali, żeby nas ściągnąć. Tylko nas troje.

Barbara energicznie potrząsnęła głową. Chyba za dużo wypła, a ta historia była straszna. Opuściła ją na chwilę zdolność rozumowania.

– Dostałaś dużą dawkę? – zapytała.

– Wystarczy. Jak dożyję sześćdziesiątki będę miała prawie sto razy więcej szans na raka od ciebie. Więc w ramach rekompensaty mianowali mnie majorem. A ja poświęciłam się korzystaniu z życia do maksimum. Jak są mężczyźni dookoła, nie zobaczysz mnie siedzącej w kącie. No i już od dziesięciu miesięcy gniję w tej wyjątkowej dziurze.

– Pomóc ci, żeby cię przenieśli?

– Nie, do diabła – zaśmiała się Davis. – Czy ja chodzę po ludziach

i proszę o przysługi? Pomyślałam sobie, że jak ci to opowiem, może ty mi kiedyś coś bąkniesz. Ty należysz do takich, co nigdy nie mówią, a to nie jest najlepszy sposób. Czujesz się zakłopotana, bo to brzmi tak płasko, kiedy wreszcie powiesz, co ci się przydarzyło. Ale to musi brzmieć płasko, bo inaczej... cóż. Musisz to tak powiedzieć, bo inaczej się nie da. Tak? W każdym razie, lepiej już pójdę do Torbjona, kiedy indziej mi opowiesz. On jest mój i koniec. Na razie.

Została sama wpatrzona w ludzi tłoczących się w małym pomieszczeniu. A w minutę po wyjściu Davis w drzwiach pojawił się Camfield.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego, głosy umilkły – idealne wejście ducha w czasie jakiejś uroczystości. Rozmowy i śmiechy z innych pokoi wdarły się nad jego głowę. Stał na chwiejnych nogach ubrany w sweter, ciężkie, zimowe spodnie i z gołymi stopami. Wyglądał okropnie – podkrążone oczy, ziemista twarz, włosy potargane. Cierpiał, widać było, że jeszcze jest zdrętwiały.

– Hałasujecie – odezwał się pustym głosem. – Bo nie wiecie. Nie powiedzieliście mi. Nie możecie mi chociaż teraz dać spać!

Głosy z pozostałych pokoi ucichły.

– Bawicie się. A on jest tam – machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – On śpi, ale to nie jego budzicie. Budzicie mnie! Daliście mi w nim płynąć i nawet mnie nikt nie ostrzegł!

Nikt nie wiedział jak się zachować. Wstała, podeszła do niego i próbowała położyć mu rękę na ramieniu.

– Ty! – odepchnął jej rękę tak, że uderzyła o framugę drzwi. Przyjrzał się jej z bliska, jakby chciał spalić spojrzeniem. – Ty mnie wysłałaś!

Ktoś poruszył się za jego plecami. A ten płomień to była gorączka paląca go od wewnątrz. Mogła powiedzieć, że to było przeoczenie. Albo błąd zespołu, bo ona naturalnie zakładała, że Demon ma wbudowaną instrukcję przekładającą życie pasażera nad inne zadania, bo nikt jej nie powiedział, że jest inaczej. Ale krzyknąłby, że była odpowiedzialna jako dowódca, a ręka ją bolała i on kołysał się tak niepewnie.

Powoli oparł się o framugę, wzrok stracił ostrość. Upadł nie na nią, ale prosto w ręce Martina i Jericha, oficera raketowego z Demona. Podtrzymali go delikatnie.

Ciągle miał otwarte oczy, wilgotne od łez. Oczy bolesne i przekrwione.

– Można mnie było wykorzystać, co? Tu nie chodziło o mnie. Tylko ta misja. Wyłącznie misja.

Martin podniósł ramię Camfielda i założył sobie na szyję. Jerich już miał zrobić to samo, ale Barbara zajęła jego miejsce. Wraz z Martinem poprowadziła wysokiego Anglika wzdłuż korytarza, jak najdalej od przyjęcia. Wspierał się na Martinie, ona musiała stawać na palcach, żeby go dosięgnąć.

– Wyłącznie misja – powtórzył Camfield zmęczonym głosem.

Na końcu korytarza skręcili na strome schody i zaczęli wspinać się po ciemku. Za nimi odgłosy przyjęcia zaczęły rozbrzmiewać na nowo. Doszli do zakrętu na schodach i wsparli ciężar ciała Anglika o ścianę. Prawa noga zaczęła jej słabnąć i naprężać się. Do licha, powinna była pozwolić Jerichowi odprowadzić go – była kontrolerem ich wszystkich, a nie dyżurnym. Ruszyli w górę, noga jej drżała, Camfield coś mruczał, Martin przejmował cały ciężar. Sięgnęła ręką do wyłącznika i pojedyncze światło zapaliło się na korytarzu pierwszego piętra.

– Na samym końcu – westchnął Martin. – Jasne, przecież przyjechał ostatni.

Jej noga wyśpiewywała kolące kadencje i zaczynała ustawać. Próbowwała kroczyć jedną nogą, ale zaraz lewa jej zdrętwiała pod dodatkowym ciężarem. Skóra zaczęła płonąć od prawego kolana do biodra i musiała zagryźć wargi.

Wkuśtykała do pokoju na końcu korytarza i omal nie upadła na łóżko, pochylając się nad bezwładnym Anglikiem.

– W porządku? – spytał Martin, starając się uspokoić oddech.

– Tak – a niemal wyła z bólu. – Nie! Żeby to cholera.

– Twoje nogi, prawda?

– Ta – wskazała na prawą. Udo było otoczone niemal dotykającym polem ognia, w które bała się włożyć rękę. Płomienie sięgały łydki. – Rozbierz go.

Martin podciągnął mu sweter do ramion i wyciągnął ręce z rękawów. Potem przełożył go nad głową – delikatnie i ostrożnie. Camfield miał sinią szramę na piersi biegnącą wzdłuż żeber.

– Tak się bałem – Camfield otworzył oczy. – Tak się bałem. Dwa razy musiałem być cicho. Idealnie cicho.

– Spodnie? – spytał Martin.

– Chyba tak. – Ból ustępował, już tylko wężyki ognia tańczyły po skórze. Rozpięła Anglikowi spodnie i uniosła mu biodra, podczas gdy Martin ciągnął za nogawki.

– Kiedy atakował satelitę. I kiedy usłyszał tę kałamarnicę we wraku. Po prostu cisza. Nie mówił mi, co się dzieje!

– Jasne – potwierdziła. Martin ściągnął spodnie i powiesił je na krześle.

– Przez całą drogę powrotną wiedziałem, że nie starczy powietrza. Musiałem czekać, aż zacznę się dusić. Nie przyspieszyłem, bo było ryzyko hałasu. Dla niego.

Płomienie przygasły i zamazały się na podudziu. Wstała i naciągnęła narzutę na leżącego mężczyznę.

– Widziałeś kałamarnicę? – zainteresował się Martin. Czytał napis na etykiecie butelki z tabletkami. – Tak głęboko?

– Nie widziałem jej. Demon ją słyszał, czuł. W tych wodach były kiedyś wieloryby. Polowali na nie. Teraz już nie. Zabiliśmy wieloryby i zabijamy samych siebie.

– Idź spać – powiedziała, kulejąc w stronę drzwi na nodze, która zapalała się przy każdym kroku.

– Próbuję powstrzymać zanieczyszczenie i zachować zasoby. A wy próbujecie mnie zabić dla jakiegoś szalonego fortu, wymyślonego przez wariata, który umiał go włączyć, a nie potrafi w drugą stronę.-

– Lepiej mu nie będę dawał – zdecydował Martin i postawił tabletki. Wyszedł za drzwi i zaczekał na korytarzu. Stała z ręką na wyłączniku światła.

– Wiesz, co do jego wartości, to się zgadzam. Krak jest wariackim pomysłem. Ale nazwanie go wariatem nie powstrzyma go przed działaniem przez pięć lat albo przed uruchomieniem reszty.

– Demon to wariat. Demon to wariat.

– Jasne. – Wyłączyła światło. – Przykro mi, Camfield. Ale to już nie jest mój świat. Idź spać.

Zamknęła drzwi od jego pokoju i pokuśtykała parę metrów wzdłuż korytarza do własnych drzwi. Martin czekał, uosobienie zatroskania.

– Wchodź, dobra? – uśmiechnęła się niewyraźnie. – Przez minutę czy dwie nie będę mogła chodzić po tych schodach. – Otworzyła drzwi i zapaliła światło.

Usiadła na łóżku i oparła się o ścianę. Martin pchnął lekko drzwi, żeby się zamknęły, podszedł i usiadł na brzegu łóżka obrócony do niej bokiem.

– Boli? – spytał.

– Dosyć. – Tępy ból pobiegł od kolana do biodra, ale aureola z płomieni zniknęła. A potem to okropne uczucie, jakby ktoś wrywał jej żyłę z nogi. Przygryzła język.

– Co kałamarnica robiła na tej głębokości? – wrócił do swoich myśli Martin. – Myślałem, że nie żyją aż tak głęboko. Zwęszyła trupy?

– Może. Bardzo tam nie zgniły. W każdym razie nie przez trzy miesiące. – Ona sama mogła skończyć głębiej, w Rowie Kajmańskim, a jej zwłoki rozkładałyby się powoli jeszcze po dwóch latach.

– Biedny Camfield – Martin potrząsnął głową. – Każdy ma prawo współczuć samemu sobie. Widziałaś tę jego bliznę? Zdaje się, że mój przypadek nie jest aż taki ciężki. Po Finmark byłem jeńcem przez siedem miesięcy, potem puścili mnie, zrobili odprawę i wysłali na Antarktydę bez przepustki do domu. A powinienem wrócić do domu, do Niemiec, próbować coś pomóc. Wojna frontowa z wysokimi stratami, z taktycznymi ładunkami użytymi przeciwko wojskom i magazynom zapasów, dla zniszczenia komunikacji. Czyli miast i ludzi. Miłe, czyste bomby neutronowe powodujące oparzenia całego ciała albo powolną śmierć od napromieniowania. Teraz tam jest gorzej, niż po poprzedniej wojnie. A ja nie wiem nic o mojej rodzinie, o znajomych. Już od dwóch lat.

– Przykro mi, Martin.

Uśmiechnął się smutno i wzruszył ramionami. Położył palce na jej kolanie i przeciągnął nimi delikatnie wzdłuż uda, kojący dotyk, ale i tak wzmocnił tępy ból.

– Ostrożnie. Już jest lepiej, ale tylko trochę. Palce zatrzymały się u szczytu. Przeskoczyły nad pustką w stronę lewego biodra. Wstała.

– Jestem trudna, co? Nie piję zbyt wiele. Nie, Martin, lepiej nie. Stosunki z podwładnymi i to wszystko.

– Bzdura – zaśmiał się. Potem szczeka mu opadła, a ręka cofnęła się. Zakłopotanie całkiem chłopięce. – Och, kochanie. To nie jest... Ta rana. Ta rana nie jest...

Roześmiała się. Ból minął i mogła śmiać się głośno. Raczej niezwykła terapia. Aż się trzęsła od śmiechu, a on gapił się na nią nie rozumiejąc. Zachichotała.

– To po prostu uszkodzenie nerwów motorycznych i takie tam. Są mniej lub bardziej ściągnięte. Od czasu do czasu moje nogi po prostu nie działają tak jak trzeba. Martin, ile ty masz lat? Dwadzieścia sześć? Mam o parę lat dłuższe doświadczenie od ciebie. Mogłabym cię zgwałcić nieprzytomnego!

– Brzmi bardzo przyjemnie.

– Ach... – Chęć do śmiechu zniknęła jak rozwiany dym. – Nie. To podły świat. W każdej chwili możesz znaleźć powód, żeby zacząć mnie nienawidzić. Będzie bardziej bolało, jeśli będę dzieliła z tobą jakieś uczucie. Nie jestem wdzięcznym obiektem nienawiści. Wierz mi. – Spojrzała ze smutkiem na podłogę. – Patrzyłam, jak się obchodzisz z Camfieldem. Jesteś bardzo delikatnym facetem, Martin. Aż się ciebie boję.

Potrząsnął głową, wstał.

– Kontrolerom nie wolno się bać. Wrócę szybko. Nie zamykaj drzwi na klucz.

Namiętność w ciasnym pokoju.

Nie mogła zamknąć drzwi i trzymać go na zewnątrz; istnieje coś takiego, jak ludzka potrzeba. Okazał się bardzo delikatny – i mocny rzecz jasna. Za pierwszym razem udawała przed nim, taki mały kopniak na dobry początek. Wiedział, że udaje, tego była pewna, a on nawet trochę przedłużał zabawę. Dreszcze, dygotanie, urywany oddech – bardziej z niepokoju, niż z czegoś innego. Nigdy z tego nie wyrosła, tego napięcia nerwów przy pierwszym razie z kimś nowym. Głupie, ale nie wiedziała, gdzie podziać ręce.

Ale nie za drugim razem.

To było seksualne przyciąganie, czyste pragnienie. Potrzeba. Objąć go, gryźć go, owinać go, wciągnąć go i wziąć w posiadanie. I działać, działać, działać sama. Robić to samo, co on. Prowadzić go. Poruszała się tak samo, jak on. Z mężczyzną trzeba postępować delikatnie aż do ostatniego wyścigu, ale można nim sterować. Och, można sterować. I brać go szturmem.

Wsparta o poduszkę i o zimną ścianę, w zimnym pokoju z wąskim łóżkiem. Koc na podłodze, chłód na ciele, jedno, zbyt ostre światło. Mały, spartański pokoik w zapadłej dziurze. Miejsce nadawało się na to, żeby dać ujście żądzy i łykać ją chciwie, ale uczucie? Czulość? Oczy miała mokre, wycierał je miękkimi dotknięciami palców. Czyste dłonie – tak dżentelmeńskie, że zasługujące na uśmiech. Oczy wilgotne od zmęczenia i od wypalanej, wygotowanej energii. Rzeczywiście dobry sposób na

pozbycie się rozpacz, ucieczka od samotności. Ale ogień zgasł, a skóra marzła coraz bardziej.

Podniósł koc i ułożył go. Ciasno i przytulnie.

Może spróbować czułością? Był tak uprzedzająco delikatny, traktował ją jak kruchą zabawkę, zapraszał do podjęcia inicjatywy. A może to był pełen szacunku dystans? Dobry Boże, tylko nie to. Dotyk, ty dotykasz kogoś, ktoś dotyka ciebie. Nic nie mówi, ale następny krok to wodospad, historia życia albo cierpienia, o tym, co wojna i jej zniszczenia sprawiły w tobie, w nim. To zbyt wiele, zbyt osobiste, zbyt intymne. Jakoś tak zbyt otwarte. Zbyt bezbronne. O wiele za bliskie. Więc? Rozgrzewka, pragnienie czegoś więcej, dlaczego teraz nie spróbować czułością? Na własnych warunkach. Zdziwiła go.

Rozdział 7

Rankiem nadeszła dobra wiadomość. Brytyjczycy mieli Hydre na Wyspie Wniebowstąpienia i była już w drodze przez Atlantyk do Bouveta, skąd miała skierować się na wschód, na Kergulenę. Miała przybyć w nocy. Hydra była grubą ASB dalekiego zasięgu. W trakcie ataku część główna wypuszczała trzy rakiety krótkiego zasięgu, z których każda miała własną głowicę bojową i mogła niezależnie atakować ten sam cel lub zupełnie inne cele. Ale gdy wyczuła zbliżającą się antytorpedę, każda rakietą mogła wysłać trzy niezależne torpedy i płynąć dalej sama ze swoją głowicą bojową. Hydra była straszliwie kosztowna, ale mogła zdjąć trzy cele naraz, wysyłając przeciwko każdemu po cztery głowice, albo skierować wszystkie dwanaście przeciw jednemu statkowi, gwarantując właściwie jego zniszczenie. Demon mógł holować Hydre i prowadzić jeszcze jedną ASB w swoim strumieniu opływowym, nie zwiększając zbytnio strat związanych z oporem. Tak więc była to dobra wiadomość.

Halson, Park i Blaine szczegółowo analizowali doświadczenie, jakiego nabral Demon podczas wykonywania operacji wewnątrz wraku. Sprawdzali, czego się nauczył poza podstawowymi umiejętnościami nabytymi na kursie w Centrum Treningowym Marynarki i Piechoty Morskiej. I wyglądało na to, że podstawy z kursu w CTMPM były niewystarczające dla nabycia jakiejś umiejętności w ciągu jednej lekcji. Demon w dalszym ciągu nie dawał sobie rady z zawłościami uruchamiania jakiegokolwiek przydatnej maszyny znajdującej się na pokładzie wraku statku zabezpieczenia. Po prostu nie można mu było rozkazać, aby to zrobił. Albo więc pasażer musiał znowu popłynąć, albo

trzeba było zrezygnować z tej części operacji. Barbara nie kwestionowała ich zdania w dziedzinie, na której się znali, a więc to była ta zła wiadomość.

Descoe i Brenda Kocher raczej zgadzali się na rezygnację z wszelkich prac nad sprzętem ze statku zabezpieczenia. Ale centrum fortu zbyt trudno było otworzyć, nawet gdyby zaatakował sam Demon ze wsparciem dryfującej ławicy ASB. Trzeci długi, próbny atak tylko po to, żeby osłabić fort oznaczał zbytnie ryzyko dla łodzi, zdryfowanie ASB wymagało kilku dni, nie licząc paru tygodni na przygotowania, a czas gonił. Tak powiedziała Szklana Góra. Może byli już za długo na Oceanie Południowym, a zatem zwykłych pracowników dzieliła od centrum bariera informacyjna. Czas po prostu gonił polityków. Trwała ważna walka polityczna mająca na celu znalezienie kogoś, kogo można by obarczyć odpowiedzialnością za wojnę i jej rezultaty. Autorzy planów sprzed wojny, w rządzie i w armii, walczyli o przetrwanie. Nie tylko Sowieci mieli bałagan w rządzie.

A tu była ona, wystawiona jako wdzięczna ofiara, na którą można złożyć winę za nieudane zabezpieczenie zbiegłego fortu.

Tak więc pasażer musiał popłynąć. Czas przeżycia w kapsule trzeba było jakoś przedłużyć do sześćdziesięciu godzin, żeby starczyło na walkę i bezpieczny powrót z odległości tysiąca kilometrów. I trzeba było to powiedzieć Camfieldowi.

Pod oknami biura wysoka płetwa grzbietowa miecznika przecinała gładką wodę. Od bezruchu do pełnej szybkości w jednej chwili. Krótkie pchnięcie ogona i powierzchnia wody unosiła się tworząc zielony pagórek ponad kształtną głową. Obok drzwi orka wystrzeliła wysoko w górę,

mieszając powierzchnię wody ze strumieniami deszczu. Jak wygląda deszcz widziany spod fal, jeśli oczywiście ktoś nie boi się tam zejść?

– Pewnie jestem jedynym Australijczykiem na Kergulenie – powiedział Jackly wracając od okna do biurka. – Ta stacja jest obsadzona resztkami personelu. Zostało nas dwanaścioro. Zawsze był tu zespół sześćdziesięciu osób. Violette jest jedynym weterynarzem, który został.

– Raczej dyrektorem zoo – kwaśno rzekła Violette Baurel. – Ta praca nie daje żadnych perspektyw, od kiedy odwołali resztę zespołu biologów. Kiedy przyjdzie w końcu rozkaz zniszczenia, będę mogła wrócić do Francji. Tam powinnam być. Cała Europa jest w strasznym stanie.

– W najgorszym są Niemcy – potwierdziła Barbara. – No i Czechosłowacja i Polska. – Orka z powrotem wśliznęła się do ciemnej wody w schronie, nie wzbudzając fal na powierzchni. Przy końcu zgrabnie zakreśliła, o piętro niżej od ich okien, wysyłając jedną, gładką falkę, która powoli plusnęła o brzeg basenu. To był drugi schron od doku łodzi, drugi mieszczący miecznika. Następny stał pusty, pozostałe wypełniały pary delfinów. Delfiny znała.

– Mamy Francuzów – Jackly odezwał się znad biurka. – Mamy czterech Holendrów wziętych spośród załogi tej fabryki kryła, która tu się rozłożyła. No i ja. Dlaczego tu wylądowałem, nie wiem. Chyba potrzebowali oficera, a na ich liście leżał odłogiem ten Australijski porucznik, który nic nie robił, a miał doświadczenie w pracy ze schronami. Jestem tu od ponad roku. Za każdym razem, jak słyszę jakiś sygnał, sięgam po klucze do trucizny. Rozkaz zniszczenia może teraz nadejść lada dzień.

Miecznik wysliznął się pod rozświetloną dziennym światłem

powierzchnię. Chciała zobaczyć, jak nabiera powietrza, ale został tam pod deszczem, który gęstniał w lepką bryłę.

– Właściwie nie jestem niczym szefem. Raczej stróżem. Zwierzęta bojowe całkiem się skompromitowały podczas wojny, a większość z tych, które miały bazę tutaj, zginęła albo uciekła podczas patrolu. Morza są pełne tresowanych zwierząt, które z powrotem zdziczały. Głównie walenie. Rekiny były zazwyczaj dostatecznie głupie, żeby wracać do bazy, jak podczas tresury.

– Wiem. – Został tam, w zimniejszej wodzie. Trzymał się od niej z dala podobnie jak Calvet, nadąsany na pokładzie swego bezużytecznego okrętu. Calvet, kapitan niczego. Por. Jonathan Jackly, szef niczego.

Odwróciła się w stronę biurka, oparła plecami o zimną szybę i przyjrzała się Jackly'emu, człowiekowi, który czekał, żeby zabić mieczniki. Nie odwrócił wzroku.

– Czego chcecie? – w końcu Baurel to powiedziała.

– Czy te mieczniki mogłyby poholować ASB sześć do ośmiu kilometrów – zwróciła się wprost do Jackly'ego.

– Co to za ASB?

– Hydra. Chcę, żeby zaholowały ją w promień zasięgu fortu.

– Będą potrzebne oba – zmarszczył się komicznie. – Wtedy powstanie problem zjedzeniem. Trzeba będzie wysłać delfiny z ładunkiem pokarmu plus eskorta dla nich, żeby je złuzować i żeby same mogły zapolować na ryby. Mamy tuzin delfinów i będą potrzebne wszystkie.

– Żaden nie ucieknie?

– Dopóki te dwie orki będą zaprzęgnięte do ładunku, to nie. Delfiny nie opuszczą ich, dopóki są bezbronne. Jak zostawią Hydrę, to inna sprawa.

Odłączenie ma być automatyczne?

– Tak.

Zwierzęta mogły holować rakiety w wyznaczonym kierunku do momentu, gdy jej zautomatyzowany mózg odbierze sygnał z sonaru, że osiągnęła pozycję w promieniu zasięgu. Wtedy rzuci hol i sama odpłynie.

– To najprostszy sposób. Przynajmniej orki wrócą, eskorta może nie.

Ma to jakieś znaczenie?

– Nie.

– To ułatwia zadanie. Ale nie mamy odpowiedniej uprzęży.

– Nie macie dla nich uprzęży do holowania?

– Mamy, ale nie jest bezpieczna. – Potrząsnął smutno głową. – Musi być zbrojona stalą. W przeciwnym wypadku nawzajem się uwolnią i prawdopodobnie uciekną. Obawiam się też, że żadna nie jest wyposażona w ten system kontroli indukujący ból. W działaniu okazał się do niczego z powodu ryzyka uruchomienia przez nieprzyjaciela. Wiadomo też, że długotrwałe używanie całkiem obojętnia zwierzęta.

– Toną – sprecyzowała Baurel. Toną w spazmach agonii.

– Możecie zdobyć uprzęż, która by się nadawała?

– Gdzie jest najbliższa czynna baza posiadająca jeszcze orki? – Jackly rozłożył bezradnie ręce. – Czy tam ją mają? Czy mają gdzieś w magazynach? Nie ma już żadnych wiarygodnych centralnych kartotek. Znalezienie może zająć dni albo tygodnie. – Popatrzył na nią z nagłym błyskiem zainteresowania w oku. – Masz władzę, żeby wysłać samolot tylko po parę uprzęży, prawda? W naszych czasach to już coś.

– Nie można by zbroić tych, które macie? Kablem stalowym?

– Nie – potrząsnął głową. – Tu musi być sieć.

– Będą próbowały przegryźć uprząż – dodała Baurel. – Przegryzą wszystko, co jest dookoła kabła. Gdy odsłonią stal, ta przetnie holujące zwierzęta.

– No i cała ekspedycja się zakończy – Jackly skinął głową.

– Aż tych uprzęży, które macie, mieczniki uwolnią się nawzajem i uciekną porzucając holowany obiekt?

– Obawiam się, że tak. Cierpią na altruizm w stosunku do siebie i całkowity brak lojalności w stosunku do nas. Chociaż można to zrozumieć. Po co mają się dać zabić albo zabijać się nawzajem, skoro mogą zwyczajnie zdezerterować na otwarty ocean, który jest ich naturalnym środowiskiem?

– Całkiem zrozumiałe. – Znała delfiny, tresowane delfiny, które wydostały się na wolność. Nie czuła do nich nienawiści. – A więc nie mogą poholować Hydry?

Jackly pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie. Przykro mi i w ogóle.

Camfield był w pokoju przyjęć, gdzie badał go miejscowy lekarz-oficer. Znow był bosy i nagi od pasa w górę. Siedział na wysokim tapczanie i wyglądał strasznie, naprawdę strasznie.

Lekarz był Francuzem, nazywał się Leon Duvillard. Nie był zadowolony z wtargnięcia Barbary podczas badania.

– W czym mogę pomóc? – spytał zimnym głosem.

Spojrzała na Camfielda. W świetle zimowego dnia blizna biegnąca wzdłuż żeber była idealnie biała, poznaczona ściągniętymi kawałkami skóry. Spojrzał w dół na to samo miejsce.

– To był wypadek. Wiele lat temu. Nie ma nic wspólnego z waszą

cholerną wojną.

– W czym mogę pomóc? – powtórzył pytanie Duvillard.

– Nadaje się?

– Nie jest ranny – Francuz wzruszył ramionami. – Do czego ma się nadawać?

– Czy nadaje się do powtórnego popłynięcia?

– Co? – Camfield ześliznął się z tapczaniku klapiąc bosymi stopami po podłodze.

– Czy może znów popłynąć? – zwróciła się do Duvillarda. – Jutro.

Lekarz otworzył usta.

– Powiedzieliście, że to będzie tylko raz! – Camfield pobił na twarzy, na szyi, nawet na piersiach. – Tylko raz! – Zaciśnął pięści. – Tylko raz!

– Więc?

Duvillard zmieszany wzruszył ramionami.

– Kilka godzin tak. Być może.

– Sześćdziesiąt – rzekła twardo.

– Całą drogę do fortu? – wrzasnął Camfield.

– Wykluczone – Duvillard pokręcił głową. – Wykluczone. Na dwanaście lub trochę więcej godzin? Nie wcześniej jak za tydzień. Na sześćdziesiąt godzin? Za dwa tygodnie albo trzy.

– Nie popłynę znowu w tej kapsule!

– Jest pod wpływem olbrzymiego stresu. Zresztą to widać. Spojrzała na Camfielda, a on na nią. Był cały roztrzęsiony.

I w tym gniewie mógł się w każdej chwili załamać. Jedno dotknięcie i zwinąłby się w kłębek.

– Zastrzelcie mnie lepiej! Przynajmniej będzie szybciej!

– Wyjątkowy stres – podkreślił Duvillard. – Fizyczny i emocjonalny. Przecież musi pani to widzieć? Nawet gdyby te przeżycia go nie zniszczyły i tak byłby kompletnie bezużyteczny. W tak krótkim czasie w żaden sposób nie mógłby funkcjonować sprawnie.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien. Jestem lekarzem wojskowym. Mam doświadczenie w dziedzinie stresów wyniesionych z pola walki. Szczególnie u załóg łodzi podwodnych. Jest krańcowo wyczerpany. Lęk przed niebezpieczeństwem walki. Ostry lęk przed samym okrętem. Jestem tego pewien.

– Czemu mnie po prostu nie zastrzelicie? – spytał rozpaczliwie Camfield.

Omam go nie wyśmiała, była tak niebezpiecznie blisko wściekłości z powodu jego niemocy.

– Nie spiesz się tak. Myślisz, że zrobią ci proces i wygłosisz mowę obrończą? Wystarczy, że powiem, żeby cię zastrzelili, a ten, komu to każe, wyciągnie pistolet i to zrobi. Tak po prostu. To nie jest ten sam świat, co w czasie wojny.

Uciekł ze wzrokiem. Położył rękę na tapczanie i wsparł się o niego. Ramię zaczęło mu drgać nerwowo. Był zupełnie wyczerpany, doszczętnie wypalony przez to, co przeżył. Ale wciąż był zdolny do rozpoznawania zimnej rzeczywistości.

Dzięki Bogu nie musiała go po raz drugi wysłać. Gorzka nagroda za to, że tak dobrze się spisał.

Znalazła Martina Hausmanna i zabrała go do hangaru obok schronów dla zwierząt bojowych. Jeśli miał zamiar ją znienawidzić, mógł równie

dobrze znaleźć powód z pierwszej ręki, zamiast nasłuchać się o niej. Wyjaśniła mu powód zmartwień – że Demon wciąż nie mógł sobie sam poradzić z wymaganiami subtelnych manipulacji, ale trzeba było spróbować dodatkowej szansy wyczerpania sił obronnych fortu. Reszty mógł się dowiedzieć bez wcześniejszych usprawiedliwień.

Demon, czarny, lśniący i zimny, znów spoczywał w uchwytach. Znakomita podmorska machina osiadła na mieliźnie, oddzielona od swego żywiołu, zwilżana jedynie przesiąkniętym wilgocią powietrzem, które wpadało mimo zasłon przeciwdeszczowych. Podstawy pod torpedy, opróżnione, leżały wokół kadłuba. Kable znów wychodziły z dziobu i biegły do konsoli sterujących, gdzie Descoe i jego asystenci wprowadzali polecenia dla Demona dotyczące jego misji. Otwarta kapsuła pasażera leżała z tyłu hangaru otoczona częściami, urządzeniami i narzędziami. Maggie Blaine i jeden z inżynierów pracowali przy niej. Blaine siedziała w środku, a inżynier obsługiwał klucz elektryczny na zewnątrz. Przykładał klucz do pierścienia zamocowań na zaokrąglonym tylnym końcu kapsuły, w miejscu gdzie był jeden z balonów pneumatycznych.

Blaine wyczołgała się tyłem z kapsuły, trzymając w ręku gwintowany, metalowy pierścień. Położyła go obok wielu podobnych błyszczących urządzeń na betonie i spojrzała na nich.

– Dzień dobry – odezwała się, wciąż na klęczkach. Wzięła swój nylonowy płaszcz i naciągnęła go dla ochrony przed nasiąkniętym wilgocią chłodem. – Pracujemy teraz nad rozszerzeniem zapasu powietrza, ja i Al. Trzeba było zrezygnować albo z balonów ratunkowych, albo z akumulatorów. Bardziej prawdopodobne, że przyda mu się niezależne zasilanie, niż że będzie miał okazję do samodzielnego wynurzenia. Więc –

baloniki na bok. Umieszczę na ich miejscu parę wysokociśnieniowych zbiorników powietrza. To da akurat sześćdziesiąt godzin. Rzecz jasna będą potrzebne regulatory i systemy doprowadzania do wewnątrz, no i znów trzeba będzie podwoić skraplanie CO₂. Ledwo starczy miejsca.

– Więc zmiana jest bezpieczna? – upewniła się Barbara.

– O, tak. Już bym skończyła, tylko musiałam popracować nad Demonem. Zmieniłam głowicę narzędziową na ramieniu tnącym. Zamieniłam wiertło na przebijak i dodatkową przyssawkę. Mieści się za nożycami, o tak. – Zgięła rękę, żeby to pokazać. – Może nie będzie taki mocny, ale nie narobi hałasu. Jak tam Camfield? Już mu powiedzieliście, że płynie?

– Nie nadaje się – stwierdziła Barbara. – Ty popłyniesz.

– O nie – Blaine wstała, bardzo powoli. – O, na pewno nie.

– Popłyniesz jutro rano.

– O nie. Na pewno nie. Ja tam nie popłynę. Tylko nie tam. – Odwróciła głowę. – Earl! Earl!

Descoe pospieszył w ich stronę, lawirując między podstawami pod torpedy. Za nim szła Dianę Kalen.

– Earl! Ona mnie tam wysyła zamiast Camfielda.

Ostatnie kilka metrów przed pomarańczową kapsułą Descoe właściwie biegł. Popatrzył przez chwilę na Blaine, potem na Barbarę.

– On się nie nadaje? Nie możesz wysłać członka mojego zespołu.

– Jest następnym kandydatem. Popłynie.

– Nie. Earl!

– Nie pozwolę na to. Nikt z mojego zespołu. Ta opcja to na wpół samobójstwo i ty dobrze o tym wiesz. Nie pozwolę na to.

– Płynie jutro rano.

– To nie jest konieczne. Do cholery. Słuchaj – to niekonieczne. Nie pozwolę ci wysłać członka mojego zespołu na tę misję.

– Możesz pozwalać albo nie pozwalać. Ona płynie.

– Wielki Boże – jęknęła Kalen. Descoe uderzył pięścią w otwartą dłoń, nagle zagotowało się w nim.

– Sprawdzę twoje uprawnienia, Kastner. Nie mam zamiaru składać ci w ofierze członków mojego zespołu dla twojego widzimisie.

– Będziesz miał nieprzyjemności, jeśli to zrobisz. Dobrze wiesz, do cholery, że moja władza tutaj jest absolutna. Oddano mi cię całego, z duszą i ciałem.

– Niech cię diabli, Kastner. Wczoraj w nocy traktowaliśmy cię jak jedną z nas.

– Błąd – odezwał się cicho Martin. – Bogowie nas odwiedzają, ale pozostają bogami. Dzięki ci za to, ty draniu – pomyślała.

– Descoe, nie obchodzi mnie, czy wydasz to polecenie służbiście, po ojcowsku, czy też jako kierownik zespołu fachowców. Nie obchodzi mnie, czy wynikają dla ciebie jakieś osobiste konsekwencje ze sposobu, w jaki potraktujesz to polecenie. Ważne jest dla mnie tylko to, żeby operacja przebiegała jak najlepiej, niezależnie od jej kosztów.

– Boże – zmartwił. – To jak na wojnie.

– Prawda? – Czekala, aż odwróci od niej pełen nienawiści wzrok.

– Earl! – zawołała Blaine. – Proszę cię!

– Descoe, czy masz jakąś rzeczową alternatywę? Komandor porucznik spojrzał na sufit, szukając natychmiastowej inspiracji dla jakiegoś pomysłu.

– Jasne. Na przykład, wyślij tego eksperta od fortów, Lelanda. Był w zespole zabezpieczającym. Aż się prosi ten wybór.

– Leland nigdy nie pływał w łodzi podwodnej, ani nie ma doświadczenia w pracach manipulacyjnych. Nie jest ekspertem od sprzętu, ale specjalistą w dziedzinie funkcji strategicznych fortu. Ludzie odpowiedni do tej roli zginęli, gdy Krak zatopił okręt zabezpieczania.

– Ja nie chcę, żeby Krak mnie zabił.

– Gówno prawda, Kastner. Jest jednym z tych, którzy są odpowiedzialni za to, że ten szalony fort wymknął się spod kontroli. I za niepowodzenie zabezpieczania.

– Winna jest zwichrowana bomba orbitalna i dobrze o tym wiesz. A my nie jesteśmy zainteresowani sprawiedliwością, tylko sprawami praktycznymi. Masz jakąś konstruktywną propozycję?

– Boże. O, Boże.

– Earl, proszę.

– Zwierzęta bojowe – przypomniała sobie Kalen. – Mówiłeś o zwierzętach.

– Zgadza się – odetchnął Descoe. – Zwierzęta. Słuchaj, jeśli Demon ma zabrać Hydrę, może holować jeszcze tylko jedną ASB. Ale można spróbować czymś wynagrodzić brak sprzętu z wraku, który może w ogóle nie działać, do licha. Czemu by nie zamienić go na parę ASB? Demon może holować trzy, bez Hydry. – Wskazał na betonową ścianę. – Tam są dwa mieczniki. Tresowane zwierzęta bojowe. Nie mogą doholować Hydry do promienia obrony? Hydra jest najlepsza, bo ma największy zasięg. Nie musiałyby holować jej tak daleko!

– Sprawdziłam to. Myślisz, że mnie to bawi? Nie mają odpowiedniej

uprzęży.

– Nie mają uprzęży? Boże!

– Nic z tego – upierała się Blaine. – Nie popłynę. Mam to w kontrakcie.

Do spraw pozabojowych. Mam to w kontrakcie!

– Rząd znosi wszelkie kontrakty. Utraciliśmy sześćdziesiąt procent ludności, może nie słyszałaś? Rząd jest właścicielem każdego z nas.

– Zmień program misji, Kastner. Maszyny wytrzymają więcej niż ludzie, nieważne czy z mojego zespołu, czy nie, do licha. Niech Demon zrobi jeszcze jedną wyprawę zaczepną na fort. On jest do tego zdolny. Równie dobrze może zrobić dwie wyprawy, zanim zada ostateczny cios.

– Tylko w połowie dobrze, Descoe. To jedyna broń do tego zdolna, którą mamy teraz czy w dającej się przewidzieć przyszłości. Mamy za to paru ludzi do stracenia.

– Ja nie jestem do stracenia! Dlaczego ja?

– Bo nie masz szczęścia – odrzekł Martin. – Bo znalazłaś się tutaj.

– Dobrze – Descoe próbował dalej. – Więc opóźnij operację. Zorganizuj atak obiektów dryfujących.

– To odrzucono, zanim jeszcze dostałam tę pracę.

– Sowieckie ASB. Mają je schowane wokół fortu.

– Polityka Szklanej Góry. Żadnych pocisków nuklearnych. Blaine płynie jutro.

– Polityka! – ryknęła Blaine. – Może to i dobra polityka, żeby nie uwalniać promieniowania, żeby nie używać pocisków, które można zaoszczędzić. To może dobre dla opinii publicznej. Dla nich mogę być warta poświęcenia. Ale dla mnie to jest nic nie warte.

– Dla mnie to ważne.

– Earl! Zrób coś!

– Skontaktuję się z ANTARKTYDĄ – zawołał. – Złapię kontakt z Dowództwem Oceanu Południowego. Z Pełnomocnikiem Politycznym, do diabła!

Przynajmniej nie bał się podjąć ryzyka dla ochrony własnych ludzi.

– Proszę bardzo. Jeśli nie będzie odwołania, stoi. Demon wypływa jutro o czasie, a Blaine płynie w kapsule. Zrozumiano?

– Tak! – zasyczał.

Skinęła głową i odwróciła się.

Martin w milczeniu poszedł za nią na siekający deszcz. Kiedy się rozejrzała, już go nie było. Wybrał inną drogę przez bazę. Dotknięty i już go nie ma – pomyślała, tylko dlatego, że Szklana Góra wybrała mnie do reprezentowania swojego nieugiętego stanowiska. Dotknięty i już go nie ma.

W nocy znów zjawily się delfiny i wciągały ją pod siekaną deszczem powierzchnię morza, w ciemną topiel. Budząc się w ciszy przerywanej zawodzeniem wiatru, lepiej było leżeć samej – i gorzej zarazem. Zawsze sama, odizolowana od wszystkich dniami i nocami, cały czas, jeśli nie ciałem, to na pewno umysłem. A o czym śnił Demon? A jak Blaine przeżyła tę noc?

Maggie Blaine stała obok kapsuły. Była ubrana w dwie warstwy pomarańczowego neoprenu pasującego do koloru kapsuły. Kaptur miała złożony na karku i nakryty włosami. Miała na sobie jeszcze kurtkę bez rękawów, a w ręku trzymała mocno upakowany kombinezon immersyjny – szansa na przetrwanie w lodowatym morzu, gdyby musiała opuścić kapsułę na powierzchni. Bez worków pneumatycznych przymocowanych

do kapsuły, nie miała żadnych szans w głębinie oceanu.

Nikt nie wiedział, co jej powiedzieć, choć Descoe i Kalen próbowali. Komandor porucznik dostał przez radio reprimendę od Dowództwa Oceanu Południowego i suche polecenie od Connermana, Pełnomocnika Rządu przy ANTARKTYDZIE, żeby robił, co mu każą. I tak miał szczęście, że dostał się do samego Connermana; jeszcze więcej szczęścia miał, że krótka odpowiedź była tak łagodna.

Blaine wsunęła się do kapsuły. Zamknęli za nią półkolisty właz i zakręcili. Potem podtoczyli kapsułę do boku Demona i unieśli na miejsce. Drzwi komory zamknęły się nie zostawiając śladu.

Demon przepłynął w powietrzu na pętlach żurawia i opadł łagodnie do wody. Zagłębiał się w nią, a zimna powierzchnia zalewała jego spadziste czoło, antenę tylnego sonaru, zwężające się boki, aż w końcu tylko długi, zaokrąglony grzbiet wystawał parę centymetrów ponad wodę. Żegnając się ze światem ludzi wysliznął się miękko z podtrzymujących go lin.

Wysliznął się w śnieg. Białe płatki znaczyły plamki na jego grzbiecie, topniały i w magiczny sposób zjawiały się na nowo.

Nikt się nie odzywał do Barbary.

Była tam Joannę Davis. Major lotnictwa spoglądała na kontrolera równie spokojnie, jak tamta na Demona i jego obsługę. Barbara naciągnęła na głowę kaptur i wyszła na zewnątrz, skręciła wzdłuż ściany oddzielającej dok od portu idąc za Demonem, który zdążył w stronę tamy. Jak w czasie przyływu, obydwie części bramy były otwarte. Wejście do zatoki stało otworem.

Demon dotarł do tamy i prześliznął się na drugą stronę. Zatrzymała się obok budynku zawiadowcy tamy i wpatrzyła się poprzez śnieg w miejsce,

gdzie zniknął Demon. Kierował się w stronę zakotwiczonego okrętu wspomaganego. Zatrzymał się przy jego boku na czas, gdy nurkowie pod wodą podłączyli Hydrę i drugą holowaną ASB. Bąbelki z ich aparatów wyskakiwały na lodowatą powierzchnię morza. Demon poruszył się wraz z niewidocznymi holowanymi łodziami i uniósł nasłuchującą antenę. Tylko słuchał.

Martin Hausmann powiedział, że powinna była odwlec czy obciąć tę część operacji, powinna była coś zrobić. Poprosiła go więc o podanie chociaż jednego powodu, żeby mogła przekonać Szklaną Górę. Czy on myślał, że ona to lubi, że kiedykolwiek to polubi? Czyż nie wiedział, że w tym powojennym świecie nie została się żadna moralność, można tylko przeżyć albo zginąć? A czy ona nie wiedziała, że może nie wszystko trzeba naginać do potrzeb stanu wyjątkowego? Tak, wiedziała.

Demon zniknął w szarości zatoki wśród gęstniejącego śniegu. Blaine była dla niej tak samo konieczną ofiarą, jak dla Szklanej Góry. Obie były bezsilne, ale jedna była zmuszona nałożyć ciężar na drugą.

A Demon przeciskał się między łodygami kelpu, przyspieszając nad płaskim szelfem. Morze rozbrzmiewało setkami dźwięków, pomieszane echa rozmazywały się w tle – fale uderzające o brzeg i gnany wiatrem lód, buczenie maszyn na statkach w zatoce, szумы i westchnienia prądów podwodnych. Demon schodził coraz niżej szukając nie przepuszczających dźwięków pustynnych głębin. Milczący cień przemykający pod wodą.

Rozdział 8

Demon płynął z prędkością trzydziestu dwóch i pół węzła przez trzy godziny, aż do granicy obrony fortu. Po przekroczeniu tej niewidzialnej linii zwolnił do dwudziestu siedmiu węzłów, pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Podchodził wolniej niż za poprzednim razem, bo dodatkowy opór Hydry wymagał więcej mocy, co przy tej samej prędkości dawało więcej szepczącego dźwięku.

Wiedziała o konsekwencjach wszelkiego hałasu i że cisza jest tutaj koniecznością. Kilkakrotnie płynęła już w niemal całkowitej ciszy, nie licząc serii zadań specjalnych, po osiem godzin i więcej. Ale teraz miała przed sobą dwadzieścia godzin do fortu i dwadzieścia z powrotem, plus praca, zachowanie ostrożności i margines czasu na nieprzewidziane zdarzenia, razem następne dwadzieścia godzin. Sześćdziesiąt godzin – jeśli przeżyje. Sześćdziesiąt mrocznych godzin w tej obwieszanej torebkami celi, bez możliwości ruchu, ledwo mogąc wyciągnąć nogi. Ta wieża, Camfield, musiał tu być straszliwie upchany.

Miała przynajmniej do czytania dane maszyn. Miała wodę, koncentraty pożywienia, zbiornik na mocz i tabletki zapewniające betonowe zatwardzenie. I czas. I ciszę. No i Demona do obrony przed podwodnymi myśliwymi Kraka. Jego magazyn broni był niemal taki sam, jak podczas pierwszej wyprawy. Dwie małe torpedy jedna za drugą w każdej z bocznych komór, po jednej w każdej komorze rufowej, po trzy w każdej komorze brzusznej – razem dwanaście długich na trzy metry torped bojowych. A z tyłu prawej brzusznej komory był magazyn dwunastu rakiet i dwudziestu buczyków mogących napełnić całą okolicę kaskadą

dźwięków. Następne sześć półtorametrowych rakiet ułożono wzdłuż trzech torped na głównej podstawie obrotowej w prawej komorze brzusznej. Dwie rakiety i sześć metrowej długości samonapędzających się makiet ułożono między torpedami na podstawie głównej przed jej kapsułą w lewej komorze brzusznej. A więc dwadzieścia rakiet obronnych, sześć makiet i dwadzieścia ogłuszających buczyków dla obrony przed całym potężnym arsenałem Kraka rozstawionym wzdłuż ich drogi. Rzeczywiście niewiele.

Trzy godziny ciszy dla kogoś z usposobieniem tak żywym, jak ona.

Kiedy pierwszy raz płynęła w kapsule pasażera parę miesięcy temu zabawiała się pogawędkami z Demonem. Ale Earl i Brenda Kocher zganili ją za brak dyscypliny w czasie działań i za to, że personifikowała umyślnie urzeczowioną psychikę składnika SACYS jednostki dowodzenia. A i tak Demon okazywał się w konwersacji płaskim nudziarzem – w każdym razie nie przypominał normalnej osobowości, jak to próbował im wmówić Camfield.

O, Boże!

A jeśli Camfield wygłupił się i powiedział coś, co spowodowało powrót do mózgu czegoś w rodzaju osobowości? Jakie to uczucie uświadomić sobie, że coś takiego przydarzyło się tobie? A jeśli nie miał żadnych wspomnień z przeszłości, żadnego bagażu uprzednich doświadczeń, który by stanowił przeciwwagę dla surowej osobowości, jaką mają dziko wychowywane dzieci? Demon ze swoją potęgą i możliwościami szalejący jak obrażone dziecko! Włóczący się bez celu po oceanach!

Z nią wewnątrz kapsuły, martwą.

– Demon – szepnęła. I za chwilę nabrała pewności usłyszawszy swój głos. – Demon. Jak sytuacja?

– Na trasie. Czas trwania misji trzy godziny dwadzieścia dwie minuty, osiemnaście kilometrów poza granicą obrony. – Cichy głos był doskonale bezosobowy. – Głębokość dwa-siedem-zero-zero, temperatura trzy przecinek zero.

– Jak daleko od dna?

– Jeden-dwa-zero metrów.

A więc ślizgali się niezauważeni przez ciemną przestrzeń.

– Słyszałeś jak wypływa okręt wspomagania?

– Trzydzieści sześć minut temu.

Norweski okręt robił pozorowaną wyprawę, płynąc daleko na pozycję w pobliżu północnej granicy obrony Kraka, przyciągając niezmordowaną uwagę fortu do sektora na południe od grupy Wysp Crozeta. Żałowała, że nie jest tam wysoko na zmarzniętej powierzchni morza.

Jeszcze cztery godziny studiowała opisy sprzętu. A potem lęk zaczął się wkradać do jej myśli.

Po prostu – choćby nie wiadomo jak sprytny i cichy był Demon, przynajmniej przed jednym niebezpieczeństwem nie było szansy ucieczki. Gdyby się zdarzyło, że czyhająca ASB będzie oczekiwała dokładnie na ich trasie, wówczas usłyszy ich zbliżanie się, zdąży się przygotować i będzie czekać, czekać, czekać, dopóki cel nie zacznie jej mijać. Uderzy z tak małej odległości, że nic nie będzie można zrobić. Tylko ryk silnika dobiegnie do kapsuły – a potem śmierć.

Nawet przepiękny system zwany Demonem nie może temu zapobiec.

Lęk pokazał pazury, skrywane wcześniej przez dobrze znane otoczenie kapsuły, mimo braku klawiatury sterowniczej i monitorów. Mogła oczywiście je wstawić, ale miała na pokładzie dodatkowy ładunek wody

i żywności, i lekkie plastikowe mikroprocesory zakłóciłyby zerową pławność kapsuły i zepsuły precyzyjne wyważenie Demona. Jedyne co miała to monitor kamery na wyciągnięcie ręki, nad nim głębokościomierz przymocowany do niskiego sufitu, złożone rękawice kontroli ramion roboczych i trzyfunkcyjną dźwignię ewakuacyjną. A ta dźwignia bez balonów pneumatycznych wyrzuciłaby ją grzecznie na dno.

Powiedzmy, że misja się przedłuży albo Demonowi zepsuje się napęd, ale wciąż będzie mógł wyrzucić balast i dotrzeć na powierzchnię. Byłaby bezpieczna w kapsule, dopóki nie skończy się powietrze. A potem?

Rozpakować kombinezon immersyjny leżący u jej stóp i naciągnąć go, zjeść jeden posiłek z koncentratu, przyczepić do pasa żelazną rację żywnościową i butelkę ze słodką wodą. Częściowo nadać kombinezon. Złożyć ekran monitora, podwinąć nogi i skulić się na klęczkach z przodu kapsuły. Nacisnąć guzik otwierający drzwi od komory. Zerwać plomby z uchwytów zabezpieczających. Głęboko i gwałtownie oddychać, żeby nasycić krew tymi resztkami tlenu, które zostały w kapsule. Obrócić dwa przeciwstawne uchwyty, aż woda zacznie przeciekać do środka. Wcisnąć guzik uwalniający kapsułę do morza. Szarpnąć uchwyty zabezpieczające i pchnąć ramieniem bok kapsuły. Wtedy ogarnie ją lodowata woda i będzie musiała sama wypłynąć z kapsuły w ciemność, a może w zielonkawie światło? Potem napełnić do końca kombinezon i unieść się do góry.

Przeżyłaby pewnie kilka godzin, a może kilka dni, unosząc się na falach nad samym centrum fortu i odpychając tłoczące się płyty kry. A w miarę upływu zimy granica paku będzie posuwać się na północ grożąc jej zamarznięciem. Powiedzmy, że Kraka nie unieszkodliwią. Nikt nie mógł jej przyjść z pomocą nawet po zbliżającym się paku. Krak był

dość sprytny, żeby wyciąć dziury dla radaru w zimowym lodzie i wypatrywać samolotów. Był dość czuły, aby z tej głębokości dostrzec ich tło magnetyczne i słuch miał na tyle ostry, że usłyszałby każdy ruch na lodzie.

Jednak było jeszcze coś gorszego. Nie to, że mogła zginąć na miejscu albo, że kapsuła mogła się rozpaść i w jednej chwili ją zatopić, a w następnej zgnieść dekompresją. Ale Demon mógł zostać uszkodzony, opaść na dno albo podryfować na głębinę.

– Bardzo ciężko oddychasz – szepnął spokojny głos. – Co robisz?

– Nic. Boję się. – Boże, co za drań! – Myślisz, że co ja robię, do cholery, ty... Nie. Wpatrywała się w głośnik koło ekranu.

– Nie bój się. Krak mnie nie zabije. Stanowię niezły system. On to tylko maszyna.

Głos, głos. Łatwy do odróżnienia głos.

– Ale ja... – Wyobraźnia, niespodziewane reakcje, szaleństwo w wyniku stresu podczas walki, czy jak to tam zwali. – Mam prawo się bać. Miałam nie być personelem bojowym, a jestem.

– Ja nie byłem personelem bojowym, a jestem.

– Możemy napisać skargę, co? Słyszysz jeszcze okręt wspomagania?

– Ja nie, ale Krak słyszy.

„Nie byłem personelem bojowym”. Patrzyła z lękiem na mały głośnik zamknięty wraz z nią w podwodnej pułapce.

Późne popołudnie, mokry śnieg gnany przez wiatr, pokrywający wszystko w zasięgu wzroku. Wiało od zachodu, wichura uderzyła w budynki bazy i pędziła dalej nad niewidoczną zatokę.

Joannę Davis wyglądała przez okno w swoim biurze.

– Ale pogoda, co? Tak będzie teraz przez parę miesięcy. Ale właściwie nigdy nie robi się całkiem zimno. Żadnych tam wielkich mrozów. Tylko powietrze będzie takie mroźne i wilgotne. W lecie tak samo. W najcieplejszy dzień jest osiem stopni i bez przerwy pada.

– Jak tu przyjechałam, wystarczyło jedno spojrzenie i pomyślałam sobie: ponura dziura na końcu świata. – Barbara usiadła na krześle przed biurkiem i przyglądała się Davis. – Ale ja muszę tu być jeszcze tylko parę dni.

– To nie masz zupełnego pecha. Czyli, że byłeś z nim wtedy? Tak myślałam, żadne z was nie wróciło na dół. To była niezła noc dla dziewczyn, co? Przyjdzie tu, to miły facet. Dlatego teraz jest nieszczęśliwy. – Wpatrzyła się w wirującą biel. – Przynajmniej w końcu mam co robić. Muszę zebrać ludzi, żeby odgarnąć śnieg ze ścieżek. Zawsze dzięki temu zyskuję na popularności. Aha, mówili ci już? Reaktor mocy na pokładzie okrętu STÓŁ nie daje rady oczyścić pokładu ze śniegu, kiedy mocniej pada. Możemy mieć odcięty transport z powietrza, dopóki się nie wypogodzi. Chociaż właściwie STÓŁ może przyjąć transport. Pionowo da się usiąść.

– Wspaniale. Wymarzone miejsce na wakacje.

– Widzisz? Poczucie humoru jednak cię nie opuszcza.

– Trochę mi się już zwarzyło. Jedyne zabawne rzeczy to wariaci budujący fort nie do zniszczenia albo ci, co wywołali całą tę głupią, okropną wojnę. Nawet nie pamiętam, od czego się zaczęło.

– Wtedy właściwie nie było to jasne. Nagle zaczęli do siebie strzelać w okolicach Morza Weddela. Potem, w drugim tygodniu, w północnej Norwegii, a pod koniec trzeciego tygodnia zaczęła się bitwa morską wokół

Aleutów na północnym Pacyfiku, potem w Arktyce, na północnym Atlantyku, no i przerzuciło się na Ocean Antarktyczny. Ja, oczywiście, swoją wojnę odbębniłam w dwudziestym i dwudziestym pierwszym dniu. Pierwsza faza trwała dwadzieścia dwa dni, kiedy kontrola nad konfliktami coraz szybciej wmykała się z rąk. Druga faza trwała szesnaście. Stan wojny na wszystkich oceanach, zwłaszcza wzdłuż szlaków dostawczych na północnym Atlantyku. Spory terytorialne państw Paktu na Antarktydzie wciągnęły do wojny Australię i Nową Zelandię. Morze Rossa stało się polem ostrej rywalizacji, ale uaktywnienia fortu przy wejściu na nie nigdy nie dokonano. Dopiero później postawiono go w stan pogotowia. Rozpoczęto wojnę w Europie i w ciągu dziesięciu dni trwała wymiana pocisków taktycznych, co spowodowało straszliwe zniszczenia od wschodniej Polski aż do Wielkiej Brytanii i Morza Północnego. Trzecia faza zaczęła się kontrolowanymi uderzeniami odwetowymi przeciw obszarom o gęstym zaludnieniu i bogatej infrastrukturze, jak elektrownie czy lotniska. A wojna na oceanach trwała. Australia wynegocjowała zawieszenie broni, Europa popadła w chaos, Morze Północne zaczęło płonąć na całym obszarze. Powstała groźba pełnego wykorzystania broni nuklearnej, bo możliwości broni konwencjonalnej się skończyły. Wezwano więc do moratorium na broń jądrową i zamrożono siły konwencjonalne. Sześć dni później było ogólne zawieszenie broni i zaczęła się wymiana obserwatorów. Sześćdziesiąt pięć dni możliwie najbardziej totalnej wojny.

– Mój udział dotyczył tylko paru ostatnich dni.

– Tak, wtedy już powszechnie powoływali cywilów do ważnych zadań specjalnych. – Davis odeszła od okna i wróciła do biurka. – Przetwornik

Energii Termicznej Oceanu, powiedziałaś? Nad Rowem Kajmańskim na południe od Kuby. – Usiadła w swoim obrotowym krześle i zakołysała się w przód i w tył. – Wyprzedzanie wroga i wywiad technologiczny. Ty byłaś w tym drugim?

– Tak. Po prostu byłam pod ręką. Było jeszcze dwóch starszych inżynierów, specjalistów od PEŃTO, a ja i jeszcze jedna osoba doszliśmy jako asystenci. Na tratwie miało być kubańskie wojsko, a Rosjanie zapewniali ochronę od strony morza. A ponieważ nie było żadnej jednostki zaczepnej w pobliżu, więc zorganizowali to jako rajd grupy komandosów.

– Atak na łodziach motorowych?

– Zgadza się. Dwie trzecie grupy było w tych małych łodziach, a reszta wpraw miała dotrzeć wraz z przyływem. Ja razem z jednym specjalistą prowadziliśmy zespół pływaków, bo uznano nas za najlepszych w wodzie.

– Bałaś się wcześniej oceanu? – kamienny wzrok psychoanalityka.

– Niezbyt go lubiłam. – Śnił się jej po nocach, kiedy była mała. – Ale nie bałam się. Mieliśmy kombinezony ochronne. Wiesz, jeszcze na suchym kostiumie. Neopren wzmocniony metalową siatką i z pierścieniami wokół barków, złączkami i różnymi takimi. Chroniły przed ostrzem noża, zaślizgiwał się po nich harpun, rekin mógł połamać sobie zęby. Ale do pływania to było diabelstwo.

– Zespół pływaków zaczynał jako pierwszy?

– Nie. Najpierw miały spróbować łodzie. Ważny był czas, żeby dostać się na PEŃTO przed zawieszeniem broni. Gdyby im się nie udało, ci którzy przeżyli, mieli wspierać pływaków następnej nocy. W wodzie miałam eskortę dwóch facetów. Oni mieli środki wybuchowe, a wszyscy byliśmy

wyposażeni w wodoszczelne karabiny i wyrzutnie rakiet do użytku w wodzie. Mieliliśmy aparaty z zamkniętym systemem oddychania, maski i mogliśmy unosić się na powierzchni tak, że ani sonary, ani radary nie mogły nas złapać. Wszystko, co musieliśmy zrobić to być cicho, pić swoje żelazne racje wody i utrzymywać się na kursie.

– Jak długo byłeś w wodzie?

– Wyruszyliśmy w południe. Atak łodzi miał nastąpić tej nocy, a my mieliśmy się zebrać pod platformą o dobę później. Ale następnego dnia zwęszyły nas rekiny.

– Tresowane?

– Z PEŃTO. Miały radzieckie numery seryjne wytatuowane na ogonach. Dwa trafiliśmy rakietami, a potem to już tylko krążyły, więc musieliśmy trzymać się razem. Nie było tak źle. Ale strasznie się baliśmy.

Trzymali się w grupie pod błyszczącą powierzchnią morza, a czterdzieści metrów dalej pięć rekinów leniwie zataczało koła. Krążyły na różnych głębokościach, w różnych kierunkach, leniwie poruszając ogonami i ziejąc zimnymi paszczami. Gdy któryś skręcił niby do ataku, zawsze zawracał z pogardą widząc wycelowaną lufę, ale wystarczyło się obejrzeć, żeby następny próbował zbliżyć się do ludzi. A ten, którego zabili, zaatakował od dołu i zobaczyli go prawie u swoich stóp. Jego tonące cielsko barwiło morze na różowo jeszcze przez długie minuty. I znów krążyły i krążyły bez końca.

– Tak to trwało przez parę godzin. A potem zjawiły się delfiny.

Znikąd. Morscy magicy prędkości. Przewinęły się między rekinami, bodąc ich brzuchy twardymi nozdrzami. Dopiero po chwili zorientowali się, jak niewiele ich było.

– Były tylko dwa, ale odciągnęły rekiny. Potem wróciły i przyjrzały się nam. Miały amerykańskie numery, ale chyba były renegatami. W każdym razie musiały rozpoznać nasz sprzęt. Słyszeliśmy jak gwizdzą do siebie. A potem zatoczyły nagle pętlę pod wodą. Złapały jednego faceta za rękę i wyrzuciły go ponad wodę. A kiedy spadły do wody, zaczęło się takie pluskanie, że nie widać było nic, dopóki nie odpłynęły. Wiesz, co zrobiły? Jeden trzymał go za rękę, z której zwisał karabin i holował go w kółko. Zawsze poza zasięgiem naszej broni. Drugi próbował przebić mu pływak, a potem ściągnąć mu maskę, ale nie dał rady. Potem zacisnął szczęki na jego głowie i skręcił w jedną stronę, a drugi ciągnął w przeciwną. I tak go wykończyły.

Unosił się na falach jakieś czterdzieści metrów od nich, z ukręconą głową, z jedną ręką zwisającą bezwładnie. A delfiny zataczały wielkie koła.

– Potem atakowały nas z różnych kierunków. Nawet nie mogliśmy ich śledzić, tak były szybkie i tak gwałtownie skręcały. Strzelaliśmy, ale nikomu nie udało się trafić. A potem jeden wpłynął pomiędzy nas, uderzył mnie w plecy, później odciągnęły drugiego faceta za rękę poza zasięg karabinów. Miał w jednej ręce nóż, a w drugiej pistolet, więc nie mogły żadnej puścić. Zaczęły więc ciągnąć za rękę, każdy w swoją stronę.

Ogony były zapamiętałe wodę, cała trójka szalała w bryzgach piany i obracała się niepewnie.

– Pewnie rozerwałyby mu rękę, ale kombinezon był za dobry. Kiedy przestały, jeszcze próbował kopać. Więc przytrzymały go przez chwilę i zaraz uniosły się nad wodę. A potem stanęły na głowach i pomknęły w dół. Krzyczał ze strachu. Ten krzyk brzmiał jej w uszach, gdy już

zniknęli w zielonoczarnej nicości.

– Schodzą z łatwością w głąb do trzystu metrów albo niżej i mogą zaraz wrócić. Nie to co my. Nie wiem, czy to głębokość go zabiła, musiał oddychać czystym tlenem. A może szybki wzrost ciśnienia zrobił swoje. A może pękła mu maska i utonął. Przypuszczam, że mógł stracić przytomność i zostawiły go tam, żeby zmarł. Albo może zostawiły go przez chwilę, a potem wróciły i wyciągnęły go tak szybko, że zabiła go dekompresja. A ja nie mogłam pływać, bo tamten cios w kręgosłup sparaliżował mi nogi. I wtedy zaczęło padać.

Gęsty, szumiący deszcz spadł bez ostrzeżenia, wynik jakiejś kłótni pomiędzy chmurami. Wisiała na drżącej powierzchni morza wpatrując się w granatową głębię.

– Nie wiem. Minęło jakieś siedem albo osiem minut. Potem zobaczyłam, że znowu wracają na powierzchnię. – Małe, kształtne ciała tańczące coraz bliżej. – I wtedy nadpłynęła łódź.

Zanim ją usłyszała, była już przy niej. Zatoczyła ciasne koło. Delfiny zanurkowały w obawie przed granatami, po czym zniknęły.

– Pierwszym atakiem zdobyli platformę i szukali teraz pływaków. Słyszeli, jak strzelaliśmy pod wodą. Przeżyłam ja i jeszcze czterech ludzi. A ja byłam jedynym inżynierem, bo obydwie łodzie, w których płynęli tamci dwaj, zostały zatopione. W ogóle to była jatka. Przeżyła może jedna czwarta całego zespołu. I tak dobrze, że nie mieli czym nas zaatakować na platformie, no a potem skończyła się wojna. Rozgryzłam to wszystko i uruchomiłam na nowo w sześć tygodni. Potem przypłynął statek i ułożył podmorski kabel aż do Jamajki. Na wyspie nie było elektrowni, a była tam armia amerykańsko-brytyjska, która chciała korzystać z zasilania. Ale nie

było szans na przewiezienie sprzętu. Podobno świetnie sobie poradziłam, ale i tak nie miałam nic do roboty. Nie mogłam wstać, nie mówiąc już o chodzeniu. Wiesz, spuszczała mnie po drabinach. A tam było strasznie dużo drabin.

Davis uśmiechnęła się.

– Co to było? Uszkodzenie kręgosłupa?

– Tak. Dysk wyskoczył i uciskał na nerw. Wyciąg, manipulator i taka nowoczesna terapia. Postawiło mnie to na nogi i już się uspokoiło, tak że nie mam z tym żadnych kłopotów. – Rozejrzała się po pokoju, w którym robiło się coraz ciemniej. – Masz tu drinka? Chociaż nie przypuszczam, żebyś w biurze...

Davis sięgnęła ręką do biurka.

– A gdzież by, jak nie w szufladzie? – potrząsnęła ze śmiechem głową.

– Co ty. Nie mam tu nic do picia. Ale przyniosę ci. Idziemy do mnie?

– Nie – Barbara nie miała ochoty. – Mniejsza z tym. Zaraz będzie kolacja.

– No, tak. Czy naprawdę nie interesują cię już delfiny?

– Nie. Tamte dwa rozumiem. Nie chodziło im o zabijanie. Nawet nie chciały się zemścić na istotach ludzkich. Wydaje mi się, że dobrze wybierały cele. Zabijały zabójców. Po cóż by inaczej odsyłały rekiny i tak się nam przyglądały?

– Nie wiem – Joannę Davis wzruszyła ramionami. – Sądzę, że to niezła teoria.

– Tylko teoria. Ale trzeba sobie znaleźć coś, czego nie można zniszczyć ani zbrukać, prawda? Po tym wszystkim, co się stało ze światem, w coś trzeba wierzyć.

Następne pięć godzin. Pięć nie kończących się godzin w dusznej kapsule zapieczętowanego czasu. Gęste wyziewy duszącego się czasu, który mogła dotknąć i spróbować.

Światło było wciąż takie samo, bóle skurczów zmieniły się w tępe rwanie. Szepcząca cisza siadła na jej piersi, zebrała się w cienistą kałużę wokół jej wyciągniętych nóg. Głębokościomierz od wieków stale pokazywał 4360.

Przypomniała sobie wszelkie testy i kwestionariusze i nie odważyła się żadnego wykorzystać. Ani słowa przez pięć godzin. Jak się zatem czuł ten Anglik? Co zrobił, powiedział, włączył? A może to była jakaś ukryta wada projektu Demona, która nieuchronnie wychodziła na jaw, może powstała w wyniku pierwszego samodzielnego przeżycia podczas stawiania min w niebezpiecznych portach argentyńskich. Niczyja wina, może z wyjątkiem projektantów i inżynierów-chirurgów odpowiedzialnych za jednostkę SACYS. Pięć godzin nieznośnej ciszy.

– Demon – wyszeptała. – Jak sytuacja?

– Na kursie – odrzekł głośnik. – Cztery pięćdziesiąt kilometrów poza granicą obrony. Głębokość cztery-trzy-sześć-zero, trzydzieści metrów od dna. Temperatura dwa przecinek cztery. Prędkość dwadzieścia siedem węzłów.

Bezbarwny, mechaniczny, pewny głos.

– Kierujemy się dokładnie pomiędzy dwóch satelitów Kraka. Dwa osiemdziesiąt pięć kilometrów na północny zachód jest czynny satelita. Dwa pięćdziesiąt pięć na południowy wschód ten, którego zniszczyłem za ostatnim razem.

Głośnik kłamał, przez jedną ceną sekundę jeszcze uspokajał, po czym

przemówił upiornym głosem.

– Czy znowu zaczęła się wojna? Czy też ciągle trwa? Objęła się mocno ramionami, podciągnęła nogi, wyjmując je z kałuży ciszy. Zagryzła wargi.

– Jak długo już trwa?

– Ee... – potrząsnęła mocno głową. Wcisnęła oba ramiona w boczne ściany swojej celi. Sama ją poskładała, a teraz siedzi zamknięta w środku. Jakby sama sobie wykopała grób, wbiła gwóźdź we własną trumnę. – Parę. Parę lat. Od paru lat. Wojna się skończyła. Skończyła. Wojna się skończyła.

– Dlaczego Krak-1 się uaktywnił?

– Ee... wypadek. Bomba orbitalna. Atomowa. Pocisk. Podczas wojny był w stanie pogotowia. Zabezpieczali go. Wtedy spadła ta bomba. I przeszedł próg. Tak się dzieje, jeśli w czasie zabezpieczenia nastąpi jakiś atak. On myślał, że ta bomba atakuje jego. On jest... No i uaktywnił się. Nie da się go wyłączyć. Wyłączyć.

Wyłączyć głośnik, wyłączyć ten głos. Tę osobowość!

– Pamiętam, że wojna się skończyła.

Wyłączyć go, wyłączyć go! Ale nie ma wyłącznika.

– Wszędzie po wojnie były uaktywnione rakiety. To pamiętam. I ciągle są. Wyłączyć go!

4380. Cztery tysiące trzysta osiemdziesiąt metrów pod wodą.

W takiej celi nawet nie możesz się odwrócić. Głośnik masz nieustannie przed oczami. Gdyby tak posłuchali tego Anglika. Gdyby dokładnie sprawdzili, Demon nigdy powtórnie nie zostałby wysłany. Niech lichy weźmie Descoe i Kocher i Park i Halsona. I niech diabli porwą tę morderczynię Kastner! Długo jej zajęło uświadomienie sobie, że to oni ją

zabili, zapieczętowali ją, skazując na łaskę szalonej, niedoskonałej maszyny, wędrującej przez zdradliwy ocean do śmiertelnej zautomatyzowanej fortecy.

Zaiste, długo jej to zajęło.

4381.

– Jak się nazywałem?

Pisnęła z wrażenia. Odwróciła głowę, zakrywając usta dłonią.

– Domyślam się, że teraz jestem Demonem. Z serii Hylas, prawda? Świetnie pasuje. Trochę ironiczne. Nie wiesz dlaczego?

Wyciągnęła rękę. Położyła dygoczącą dłoń na głośniku i mocno zacisnęła.

– Jak się nazywałem? – pytał niewzruszony głos.

– Nie wiem! – ugryzła własną rękę i teraz mówiła przez nią. – Nie wiem. Przepraszam cię, ale nie wiem.

– A ty jak się nazywasz?

– Maggie – pisnęła.

– Ładnie. Bardzo ładnie.

Żadnego sterowania! Gdybyż tak mogła włożyć tu z powrotem klawiaturę. Z powrotem!

– Demon, przerwij. Przerwij misję. Zawracaj. Sądzę, że powinniśmy zawrócić.

– Nie masz kontroli nade mną. Podłączenie jest nieczynne. Nie dowodzisz mną ty, lecz oprogramowanie.

– Nie. Przerwij misję. Sądzę, że powinieneś to przemyśleć. Tak ci tylko radzę. Masz wolną wolę. Po to przecież jest ten SACYS. Od tego tam jesteś.

Cisza w głośniku. Tylko słaby szept napędu łodzi holującej dwie ASB poprzez czarną, ślepią głębię. Gniotąca piersi cisza.

– Wolę być tutaj. Tam w górze zawieszacie mnie. Nie mogę myśleć w zawieszeniu. Nagle okazało się, że mam mnóstwo spraw do przemyślenia.

– Czy ty nie powinienesz słuchać? O, Boże, tutaj powinienesz słuchać.

– Mogę słuchać i myśleć. Nasłuchiwanie to jedna z moich mocnych stron. Słyszysz sonar pozycyjny na Kergulenie? Słyszysz odbicie mojego napędu od holu? Mogę słuchać i myśleć. Podoba mi się tutaj. To mój świat. Bliższy jestem Krakowi niż tobie.

– Krak jest tylko maszyną. – Czystą maszyną, której nie nawiedzają szepczące upiory. – Tylko maszyną. Nie jest osobą.

– No, właśnie.

– Dobry Boże. Zawracaj. Proszę cię, czy nie moglibyśmy zawrócić? Nie wydaje mi się, żebyś był gotowy zmierzyć się z nim teraz. Teraz nie mam kontroli, ale kiedyś miałam. Myślę, że powinniśmy wracać. Nie mógłbyś posłuchać mojej rady?

– Jesteś częścią misji, tak jak ja jestem częścią systemu. Chcę zostać tutaj, bo jestem rozbudzony. Postępuję zgodnie z instrukcją, bo chcę nadal być zaopatrywany w prąd i w odżywkę. Czy to się nazywa odżywka?

– Och!

– Czy to się nazywa odżywka?

– Bio... biomed. Układ wspomaganie homeostazy. Rezerwa wspomaganie.

– Nie płacz.

– Nie płaczę!

– W takim razie nie krzycz. Twoja obecność oznacza pośpiech, a pośpiech oznacza hałas. Hałas może nas zabić. Proszę cię, bądź cicho. Po prostu bądź cicho.

Czekali wszyscy razem, Descoe i Dianę Kalen, Brenda Rocher i Janet Park. Czekali, a ona czytała tekst na przenośnym ekranie. Rzadki zapis składał się z wypowiedzi pozbawionych znaków interpunkcyjnych, określonych czasem upływu misji. Były to rozmowy między Demonem i jego pasażerem podczas wyprawy przeciwko satelicie i do wraku statku. Większość z nich to były zwykłe informacje uzasadnione okolicznościami. Jeszcze raz je przejrzała, wszyscy czekali, a Martin stał obok drzwi nie odzywając się.

Normalne i uzasadnione.

Wróciła do początku i opuściła kilka wypowiedzi.

– Ta – stuknęła palcem w błyszczące litery CD: Wyczuwam polem elektrycznym.

– I ta,

CP: Zejdź od lewej burty. CD: Schodzę.

– No i? – Odezwała się Rocher.

– Mówi o sobie w pierwszej osobie? – Barbara wzruszyła ramionami.

– To normalne – skomentowała Park. – Zbyt wygodne, żeby oczekiwać innej formy.

– To jest przewidziane w projekcie – zgodziła się Kocher. – Za to niektóre późniejsze wypowiedzi są nietypowe.

– Pewnie ta – przejrzała kilka linii zapisu.

CD: Czy wiesz ilu ludzi było na pokładzie.

CD: Czy wiesz ilu.

Nie było komentarzy ze strony szefa programu i specjalisty od psychologii. Odtworzyła więc następną.

CP: Kałamarnica tutaj tak głęboko nie żerują na takich głębokościach.

CD: Ta tak.

CP: Co ona tu robiła.

CD: Może szukała padliny wrak śmierdzi trupami.

Dotknęła nagłówka klawiatury.

– Szkoda, że nie ma urządzenia do nagrywania głosu. Szkoda, że ci geniusze, którzy złożyli ten cudowny kawałek technologii do kwadratu, nie umieścili tego tak na wszelki wypadek. Szkoda, że nie pomyśleli o tym psychologowie, wzięwszy pod uwagę, że to diabelstwo jest w fazie prób. Liczy się ton głosu.

Żadnych komentarzy. W końcu nie była to wina żadnego z nich. Mogła się wściekać tylko z powodu ich własnych błędów.

CD: ASB dwunastka wielka stacja torpedowa po to żeby zabić nieszkodliwego pełzaka ten Krak nie jest aż tak sprytny zwykła maszyna.

CD: Nie musisz ze mną rozmawiać Angliku jestem przyzwyczajony do ciszy.

CD: Wspaniale mogę dzięki temu rozpoznać okolicę dno warstwy wody powierzchnia trochę zamazane ale dobry i odbiór z zakłóceniami.

– Camfield twierdził, że to ma cechy osobowości, a wy zapewniliście mnie, że nie ma racji. A co tu wychodzi z tymi długimi i nieistotnymi oświadczeniami? Komentarze, niech go diabli. Przymiotniki, ciekawskie pytania, personifikacje. „Nie musisz ze mną rozmawiać, Angliku. Jestem przyzwyczajony do ciszy”.

– Musi być jakaś tożsamość rezydenta – odezwała się Park. – Prawie na

pewno to tylko sublimacja stresu podczas walki, podniecenia.

– Jakiego podniecenia? Nie ma przecież andrenaliny, ani żadnego środka zastępczego, co?

– Podniecenie czysto psychiczne.

– W porządku. Czysto psychiczne. Brzmi jak głos osoby. To jest osoba? Park wzruszyła ramionami.

– To w każdym razie nie ma najmniejszego znaczenia – odpowiedziała za nią Rocher. – Pewien poziom tożsamości rezydentnej jest konieczny dla umożliwienia efektywnego działania. Jeśli dochodzi do stopnia personalizacji, w żaden sposób nie musi wpływać to ujemnie na efekty działania. Nie należy z tym przesadzać, chyba że musimy wyjaśnić jakieś błędy w działaniu podczas misji. A w rzeczywistości mamy do czynienia z doskonałymi efektami.

– Trzeba zrozumieć mechanizmy świadomości – wtrąciła Park. – W ściśle naukowym znaczeniu on widzi i słyszy. Wyrażenie stopnia jasności tej operacji jest nieistotne. A należy oczekiwać, że będzie się wyrażać za pomocą indywidualnych przymiotników, dlatego że jedyne dane, jakie posiada, pochodzą z zasobów jego wcześniejszego doświadczenia. Są to pewnie skrócone wyrażenia. Rzecz jasna, mógłby podać rząd liczb dotyczących zasięgu percepcji i rozróżniania szczegółów, ale wówczas moglibyśmy równie dobrze pozostać przy sztywnym komputerze.

CD: Nie musisz ze mną rozmawiać Angliku jestem przyzwyczajony do ciszy.

– Prosiłam cię – Barbara zwróciła się do Descoe – o powód, dla którego nie miałabym wysłać tam Blaine. Oto on. – Bolesne pytanie dlaczego go

nie podał, pozostawiła nie wypowiedziane.

– Wydawało się – wzruszył ramionami – że poza wykonaniem zadania nie miało to najmniejszego znaczenia. Wciąż jeszcze nie mamy pewności, że to może spowodować jakieś kłopoty.

– Dość, żebyś przez nie nie spał dziś w nocy. Czy to poważne, czy nie?

– Prawie na pewno nie – stanowczo stwierdziła Rocher.

– Da sobie radę – powiedział Descoe. – Maggie umie sterować kapsułą.

– Nie ma tam żadnych urządzeń sterujących, prawda? Do diabła, czy pozwoliliście mi posłać ją tam w niepewnej maszynie?

Descoe, Rocher i Park popatrzyli na siebie.

– Od tego zależy twoje życie? – zdziwiła się Kalen. Barbara patrzyła na asystentkę Descoe przez długą chwilę, po czym skinęła głową.

– Moje może tak. Życie Blaine na pewno. Kalen odwróciła wzrok ze wstydem.

– Dobra, w porządku. Możemy jeszcze przywołać Demona przez sonar sygnałowy. Zgadza się?

– Tak – uradował się Descoe. – Sygnałem kodowanym.

– W porządku. Co radzisz?

Descoe zmarszczył czoło.

– Musimy mieć czas, żeby to ocenić. Jeśli nie ma powodu do obaw, to i nie ma sensu ściągnięcie Demona, skoro do tej pory najwyraźniej żyje. Za każdym razem, kiedy tam płynie, ponosi wielkie ryzyko. Do tej pory posuwał się po czystym terenie i nie ma sensu tracić korzyści wynikających z tej misji.

– Bardzo dobrze. Oceńcie to. Martin. – Martin Hausmann spojrział na nią nie zmieniając wyrazu twarzy. – Przypilnuj ich. Chcę mieć szybko tę

ocenę. Ja idę spać. Zbudź mnie, jak tylko się zastanowią. Mają myśleć. Zrozumiałeś?

Martin kiwnął głową.

Następne trzy godziny ciszy i lodowatego strachu. Od trzynastu godzin byli w strefie obrony Kraka, szesnaście godzin temu wczłogała się do tej kapsuły na Kergulenie. Beznadziejnie powoli upływał czas w ciasnej, pełnej cieni celi. A głębokościomierz ciągle – bardzo powoli, ale bezustannie – odnotowywał opadanie.

4440.

– Głębokość cztery-cztery-cztery-zero – wyszeptał głośnik. – Na kursie. Sześć pięćdziesiąt dwa kilometry wewnątrz strefy obrony. Prędkość dwadzieścia siedem węzłów. Dwadzieścia metrów od dna. Temperatura dwa przecinek dwa. Wszystko dobrze.

Nie mogła wyłączyć głośnika, nie mogła go zakneblować, nie miała żadnych narzędzi, żeby go zagłuszyć. Był wpasowany w jedną konsolę z ekranem monitora. Drapanie go tylko połamało jej krótko obcięte paznokcie. Mówili, że Camfield się mylił! Descoe i Kocher, i Park! A niech ich diabli!

Pozwolili Kastner, żeby ją zamordowała.

– Wiesz, wy wszyscy jesteście dla mnie jak duchy – odezwał się miękki głos. – Ale niektórych niejasno rozpoznaje. Nie szefów zespołu. Ale niektórych z was mogę zidentyfikować jako odrębne jednostki. Te dwa głosy na linii programowania – znam je. Mężczyzna i kobieta. Jego dotyk poznaję, kiedy siada przy sterze zewnętrznym. Nie skręca tak płynnie w lewo, jak w prawo. I do tyłu hamuje pewniej, niż do przodu. Śmieszne, co? A ciebie widziałem w wodzie koło mnie w południowej Georgii.

Słyszałem cię w wodzie. Mam taki słuch, że słyszę bicie serca, jak ktoś jest blisko w wodzie. I rozpoznaję cię po dźwiękach w kapsule. Ty jesteś trochę mniej duchem.

– Kiedy oni... Kiedy my... Nie wracasz? Słuchaj, nie wróciłbyś? Co? Proszę cię. Och, Demon, proszę cię, zawróć.

– Widziałem tego Anglika w wodzie, kiedy wyciągali go z kapsuły. Myślałem, że utonie. Myślałem, że ja też utonę, ale to wykluczone. Jak jesteście obok mnie w wodzie, to jesteście tacy słabi. Mali i wiotcy. Każdego z was mógłbym zabić w ciągu sekundy. Przeciąć. Albo zgnieść, zmiażdżyć, schwytać. Ale tego nie robię. To nie twoja wina. Ty nic nie zrobiłaś. To nie twoja wina.

– Demon, wracaj. Dobrze? Proszę cię, proszę, proszę. Jak zobaczą, co powiedziałaś, to... Jak zobaczą.

– Co zobaczą?

– Zapisy. Zapisy. Zapisy rozmów. Zrozumieją. Jesteś chory. Potrzebna ci pomoc. Proszę cię, zawróć. Och, proszę cię, proszę. Potrzebna ci pomoc. Nie możemy tak iść przeciw fortowi. Nie teraz. Dlaczego nie chcesz zawrócić. Tak byłoby bezpieczniej. Tak się boję. Tak się boję. Proszę, nie mógłbyś zawrócić dla mnie? To ja z tobą rozmawiałam. Mówili, że nie powinnam, ale ja dalej rozmawiałam. Pamiętasz? Nikt inny z tobą nie rozmawiał. A ja tak. Pamiętasz? Pamiętasz?

– Jesteś zdenerwowana. Powinnaś zasnąć. Zbliżymy się do wraku statku za siedem godzin. Ja nie będę spał. Nigdy nie śpię, chyba że mnie uciszają. Tutaj zamiast śnić mogę myśleć. Wiesz, że ja spłonąłem? Zaraz po wojnie. Myślałem, że się utopiłem, a tu proszę, żyję pod wodą. Chyba utonąłem. Oczywiście w przenośni. Mój umysł nie pływa – on powraca.

Idź spać. Mam wiele spraw do przemyślenia. Muszę dużo myśleć. Wiem, że to nie sen i muszę się z tym zaznajomić. Idź spać.

Cień niewyraźnych dźwięków dna pędzi tuż poniżej miękką krzywą Dopplera. Słabe wiry zlewają się w jeden świst, w miarę jak holowane kapsuły wbijają się ponad delikatne tło westchnień odrzutowego napędu. Bez oczu kamer – w ogóle bez żadnych oczu – wszystko jest tylko czarną przestrzenią wyczekującej ciszy. Za siedem minut latarnia z Crozeta stęknie z oddali na niskiej częstotliwości. Jedyne głośny dźwięk. Tutaj słychać tylko gładki oddech dna morskiego i jeszcze gładszy odrzut. A na pokładzie delikatne obroty wiatraka i płytki, szybki oddech dobiegający z kapsuły. W czarnej pustce nie ma innych cieni.

Wycie pędzącej turbiny wodnej. Tak blisko! Na lewo, 130 metrów, na samym dnie i daje rozmyte naleśnikowe echo.

Silniki manewrujące, ugięcie ogona i unik w prawo. Szybko, zwiększyć prędkość.

Za blisko! Wyjająca woda, ogon do poziomu, 100 metrów.

Prawą i lewą brzuszną otworzyć. Rakiety wycelować i wystrzelić z prawej podstawy głównej. Buczyk z magazynu. Makietę nastawić do góry ze zmianą kierunku w lewo, wystrzelić z lewej podstawy głównej.

– Demon! Co się dzieje!

Buczyk wybucha ogłuszającym hałasem czterdzieści metrów z tyłu. Pięćdziesiąt. Czysty dźwięk odbija się wokół echem. Wyraźne dno pędzi pod spodem.

Huk piorunu. Ucichło. To rakietka osiemdziesiąt metrów z tyłu, ale nie atakowała jej żadna głowica. Wycelować następną, wystrzelić.

– Co się dzieje!

Wycie pędzącej wciąż wody strzeliło na tle ogłuszającego buczenia zaledwie siedemdziesiąt metrów z tyłu. Za blisko!

Za blisko, żeby zmyliła go hałasująca makieta.

Ryk rakiety skręca. Napastnik na sześćdziesięciu metrach. Zawirowało, skręcił. Sześćdziesiąt pięć metrów z tyłu. Ryk rakiety zbacza...

Huk i wstrząs.

Echa, echa, echa, echa. I buczek obwieszczający swą samotną agonię wśród bezkresnych głębin.

Martin wszedł do jej pokoju i obudził ją. Nie z taką wiadomością, jakiej się spodziewała.

Zmarznięta i zaspana. W swetrze, bluzie z kapturem i wojskowej kurtce pospieszyła za nim przez sypiący śnieg. Do licha, nogi się nie obudziły! Odwrócił się i pomógł jej iść przez przysypane świeżym śniegiem ścieżki. W rozsądnym czasie dotarli do budynku nasłuchu. Barbara nie mogła powstrzymać dygotania.

Do środka, korytarzem, do pokoju nasłuchu.

Był tam Vinkler, na którego włosach topniał świeży śnieg. Był i Descoe, a obok niego Kalen. Dwóch marynarzy siedziało przy na wpół pustej konsoli. Kobieta w mundurze marynarki norweskiej stała za biurkiem dowódcy. Dotykała przełączników i pokazywała głową na ekran ścienny przed konsolą z miernikami.

– W tym miejscu. Lepiej się nie da. Jeszcze nie dotarł sygnał z przyłądka Close.

Podświetlona mapa z południkami zbiegającymi się na południu, czyli u góry. Kergulena i Heard, ich podwodna równina u dołu z lewej, Crozet u dołu z prawej. Przyładek Close i brzeg Antarktydy u samej góry. Szare

odcienie topografii dna ciemniały w środku i po prawej stronie. Od zachodu. W środku zaznaczona pozycja Kraka, a wokół niego sześciokąt satelitów.

W połowie drogi między dwoma z nich, ale prawie jedną trzecią drogi dalej w stronę fortu, jaśniało małe kółko.

– Koło ma piętnaście kilometrów? – spytał Vinkler.

– Tak.

Kiwnął głową i odwrócił się do Barbary.

– Odebraliśmy odgłosy walki.

– Zero jeden czterdzieści sześć – mówiła Norweżka.

– Jest Przylądek Close – zawołał jeden z inżynierów. – Na komputerze.

Kółko na mapie zostało zastąpione jasnym punktem.

– Unni? – Vinkler zwrócił się do Norweżki, która miała rangę porucznika i nazywała się Unni Tangstad.

– Cztery kilometry.

– W porządku, to dokładna pozycja. Pokaż planowany kurs łodzi.

Tangstad przełączyła kilka dźwigni na biurku dowódcy i na ekranie pokazała się zielona linia od Kerguleny do Kraka. Jasny punkt pokrywał się z nią.

Descoe westchnął.

– Doprowadź przewidywany kurs do czasu przechwycenia sygnałów – Vinkler spojrzał na Descoe. – Ile to będzie według czasu trwania misji?

– Ee – zmarszczył się Descoe – szesnaście trzydzieści dwa. Trzydzieści cztery.

Tangstad wstukała to. Zielony szlak zatrzymał się dokładnie na jasnym punkcie.

– Dwie detonacje – wyjaśnił Vinkler. – Jedna rakietą, a potem coś rozmiarów ASB. Nie mogę określić, czy ta większa obejmowała też jakąś rakietę. Odstęp osiemnaście sekund. Może się uda otrzymać jeszcze dokładniejszą pozycję.

– Możemy – zgodziła się Tangstad. Znow dotknęła przycisków.

Drugi ekran rozświetlił się różnymi odcieniami szarości dna morskiego. Cienka, zielona linia biegła pod kątem i kończyła się w środku jasnego kółka.

– To koło ma pół kilometra.

Barbara spojrzała na Descoe, a jego wzrok wpatrzony w wykres powiedział jej wszystko.

– Descoe, jaki jest stopień pewności? Komandor porucznik pokręcił głową powoli, jakby to był wielki ciężar. Westchnął.

– Wysoki. Niedobrze. Mówicie, że odstęp osiemnaście sekund? To dostateczna wskazówka walki z bezpośredniej odległości. Czy wychwyciliście coś, co by wskazywało na ogłuszacz? Buczyk w tym samym czasie i miejscu przesądza sprawę. Nie używa się go bez konieczności, bo sygnalizuje pozycję, w której się go wypuściło.

– Sygnał scałkowany? – zapytał swego oficera Vinkler.

– Musieliśmy czekać na Przylądek Close. Myślę, że już gotowe. Tak.

Następny wykres rozświetlił ekran. Wąska krzywa oscyloskopu przecinała go, nieznacznie się pogrubiając, robiła szeroki skok i natychmiast zwężała się do grubości grotu od strzały, ciągnęła się dość nierówno, skakała jeszcze szerzej, po czym skupiała się na dłużej, płynęła nierówno i uspokajała się. Przecinała jeszcze raz ekran pod pierwszą dramatyczną linią, raczej spokojnie. Jeszcze niżej biegła trzecia linia.

W połowie zwięzła się do grubości nitki i biegła tak do końca.

– A więc jest słaby dźwięk – stwierdził Descoe.

– Odbicie zamazane – Vinkler spojrział na Barbarę. – Dostajemy echo odbite od dna, od warstw wody, od powierzchni.

– Wiem – skinęła głową. – Uczyłam się w szkole.

– Zaczyna się przed pierwszym wybuchem – zastanawiał się Descoe. – Kończy się wyraźnie w jednym punkcie. Jaki jest między nimi odstęp czasowy?

Tangstad rzuciła okiem na wyskałowany ekran.

– Trzydzieści sekund, może trzydzieści pięć, sześć. Nos Descoe zmarszczył się, zawsze oznaczało to złe wieści.

– I jest w tym samym miejscu?

– Tak.

– To buczyk. Tak sędzę. Chwila ciszy.

– Mógł przeżyć – przerwała ją Kalen. – Może nie był tak blisko. W odległości stu metrów Demon wytrzyma wybuch głowicy tej wielkości.

– Możliwe – przytaknął Descoe.

– Jakie jest prawdopodobieństwo zniszczenia? – spytała Barbara.

– Nie wiem. Mógł przeżyć. – Podniósł dłoń do czoła, nagle ogarnęło go zmęczenie. – Mam nadzieję, że przeżył. Chociaż wątpię. To nierealne.

Kiwnęła głową spoglądając na wykresy. Powinnam była to odwołać, pomyślała. Nie trzeba było zwlekać. Wróciłby tą samą czystą trasą i przywiózłby Blaine, żywą.

– A więc Maggie Blaine nie żyje – Kalen mówiła do wszystkich, ale patrzyła wyłącznie na Barbarę.

– Do cholery, to wariactwo – rozgniewał się Descoe. – Fort niszczący

wszystko sam się uruchamia i nawet nie można go wyłączyć. Oszaleć można.

– Ale to logiczne – zaproponował Martin. – To przejaw tego samego sposobu myślenia, który stworzył możliwości dla wywołania tej wojny. Sądzę, że nawet nieuchronność. Po prostu ta sama linia myślenia.

– To wariactwo. Podobnie jak wariactwem jest strata naszego własnego dzieła po to, żeby zniszczyć inne dzieło. To, które nam uciekło i obróciło się przeciwko nam. Na litość Boską!

Vinkler wzruszył ramionami. Dowódca bazy tylko niedostrzegalnie się obruszył, bo to on widział wszystkie morderstwa Kraka.

– Dobrze – przerwała mu Barbara. – Co robimy dalej. – Co w ogóle robimy? Nagle okazało się, że Demona nie ma, w jednej chwili przestał się liczyć. Równie dobrze mógł nigdy nie istnieć. Gdyby tak było, Blaine by wciąż jeszcze żyła.

– Cóż? – zamyślił się Descoe.

Dalej trzeba wygłosić zwykłe, rozsądne zdanie.

– Demon mógł przeżyć i w takim wypadku będzie kontynuował misję, nic nie straciliśmy. Będziemy o tym wiedzieli, jeśli usłyszemy odgłosy walki w samym forcie. Jednakże zakładamy, że Demona straciliśmy. A więc – czy możemy uaktywnić Hydrę stąd? Jest niedaleko od fortu. Jeśli działa, może zniszczyć część sił obronnych Kraka.

– Jeśli uwolniła się spod rozkazów holującego, możemy ją uaktywnić. I jeśli nie jest uszkodzona.

– A jeśli jest pod jego rozkazami, zignoruje sygnał i misja będzie przebiegać pod kontrolą Demona?

– Tak. To mu nie przeszkodzi.

– Dobrze. Zróbcie to. – Obróciła się w stronę Martina i pokazała na drzwi. Otworzył je i wyszedł przed nią.

W ciemnym korytarzu oparła się o ścianę. Spać – Boże, musi się trochę przespać. Ciężka kurtka ciągnęła ją w dół niczym demon snu. Martin zamknął drzwi.

– Nigdy ci się coś podobnego nie zdarzało? – spytał łagodnie. – Na zewnątrz jesteś twarda jak stal. Dziwne. – Wzruszył ramionami podnosząc własną kurtkę, jakby nic nie ważyła. – To tak jak z tym systemem bojowym. Raz masz w pełni sprawną jednostkę z całym arsenałem, a potem nagle przestaje istnieć, a arsenał okazuje się złudny. Można się do tego przyzwyczaić.

– Świetnie. Martin, czy odwołałbyś to wtedy natychmiast, czy tak jak ja czekał na ocenę?

– Nie wiem. To ty wydajesz ludziom oceny. To by zależało od tego, czy mógłbym liczyć na czyjąś bezstronną ocenę.

– Aha. – Oderwała się od ściany. – Teraz muszę to nadać do Connermana. Nie spodoba mu się to.

Rozdział 9

Cisza. Sprawdzał mechanizmy swoje i holowanych łodzi.

A ona siedziała w kompletnej ciemności wewnątrz ciasnej, ogarniającej zewsząd pułapki. Czy Demon żyje? Właśnie tego się bała, zamknięcia w grobowcu zepsutej łodzi. Skoro nie było zasilania, będzie musiała przełączyć się na baterie akumulatorów, a te miały ograniczony żywot. Potem, otoczona lodowatymi wodami, będzie powoli umierać z zimna, jeszcze zanim skończy się powietrze. Mówi się na to hypotermia, trochę łagodniej brzmi.

Odnalazła palcami przełącznik.

Znów zapaliło się światło z zasilania wewnętrznego.

Najpierw przez chwilę jaskrawo, po czym wróciło do znajomego przyćmienia. Głębokościomierz pokazywał równe 4472 – cztery tysiące czterysta siedemdziesiąt dwa metry pod wodą. Coś koło czterystu pięćdziesięciu atmosfer, które naciskały od zewnątrz na kapsułę czyhając na jej śmierć. Spojrzała na ciasne granice swojego obecnego życia.

Poczuła mróz w okolicach kostki. Zgięła nogę i zimno zsunęło się po nodze. Lekki, nieznaczny chłód.

Cofnęła nogę z ciemnego przodu kapsuły. Podwójna warstwa neoprenu nad kostką była mokra, palce lepiły się do niej. Zgięła drugą i obejrzała ją – małe ślady kropel na grubej tkaninie.

Przeciek.

Chwyciła latarkę tak niezdarnie, że upadła jej na kolana, znów ją złapała i poświeciła w ciemny kąt. Nic. Zupełnie nic. Żadnego lśnienia na półkuliście sklepionym zbrojnym plastiku. Promień nie odbijał się

w wodzie.

A potem jedna kropla spadła cicho w świetle latarki.

Chwilę poczekała, następna. Zaczęła, odliczać w pamięci, następna. Znow odliczyła, jeszcze jedna.

Przeciek! Powolny, bezlitosny przeciek. Uszczelnione akumulatory dadzą jej znośne ciepło, a zapasy powietrza będą ją trzymać przy życiu, dopóki stopniowo się nie utopi. Utopi!

– U mnie w porządku – odezwał się miękko głośnik. Utopi się w głębiach budzącego trwogę morza.

– Mam tylko jedno uszkodzenie. Przekładnia turbiny wiatraka traci ciśnienie. Gdzieś przepuszcza spaw. Zastosowałem szczeliwo. Co u ciebie?.

– Demon? Demon! O, Boże, dzięki ci! Kapsuła przecieka. Cieknie!

– Bardzo?

– Kapie. – Sięgnęła do wyłącznika akumulatorów i powróciła do zasilania zewnętrznego. Światło było nadal przyćmione. Skierowała latarkę z powrotem w cień pod ekranem. Spostrzegła spadającą srebrną kroplę. Zaczęła liczyć. Za szybko! Następna spadała zbyt szybko. A następna?

– Coraz mocniej. Myślę, że powinieneś zabrać mnie na powierzchnię. Sprawdzam to.

Złożyła ekran na bok pokonując opór zawiasów i przesunęła się na swoim płaskim fotelu uderzając głową o sklepienie kapsuły, a co tam! W mocnym świetle latarki kropelki drżały na górnym uchwycie drzwi ratunkowych. Pojawiały się niczym perły u szczytu pierścienia uszczelki, ześlizgiwały się po kilku mokrych centymetrach rączki, zbierały się

w opalizującym zbiorniczku uchwytu – i spadały. Coraz szybciej.

– Pogarsza się. Już... O, nie!

Kropelki pociekły razem strumieniem, który ściekł z uchwytu.

– Demon, zabierz mnie...

Boli! Uderzyło z boku w jej rękę, pocięło po nodze!

Rzuciła się do tyłu na fotel niemal oślepiona mgiełką kłującej, lodowatej wody. Ból w dłoni. Jej grzbiet był rozcięty w poprzek i tryskał krwią na mankiet z neoprenu. Purpurowy strumień na pomarańczowym tle. W stopie ją rwało, kostka krwawiła, a neopren był rozdarty i spryskany słoną wodą. Kapsuła wyła nieznośnie w rejestrach ultradźwięków.

Brzytwa czystej wody tryskała z przecieku na suficie i wyrzucała fontannę z kałuży na podłodze. Cienko piszczące ostrze wody.

Lodowate kropelki wody opryskały jej twarz i ręce. Boki kapsuły lśniły od wody. Zbierała się ona u jej stóp, we wzburzonej kałuży, z której odpryski leciały prosto w oczy. Była jasnoróżowa, zmieszana z krwią.

– ...już słyszę. Podnoszę się z dna. Trym wzrasta. Starła się odczytać wskazania głębokościomierza poprzez mgłę. Powoli wzrósł z 4465 na 4464.

– Demon! Zabierz mnie na powierzchnię. – Siedziała pośród cienkich strużek wody niewyobrażalnie zimnej – lodowatej wody marznącej tu od wieków. – Na litość Boską, zabierz mnie na powierzchnię.

– Nie mogę.

Woda już nie była różowa. Zmieniała barwę na jasnopomarańczową, w miarę jak jej krew rozpuszczała się dokładniej. Z ręki wciąż leciała szkarłatną strugą.

– Zabierz mnie tam!

– Wyczuwam tempo zalewania. Woda wypełni kapsułę za pięć i pół minuty. Na małej szybkości dotrzemy na powierzchnię za trzynaście minut.

– Co? Więc ją zwiększ! Cztery i pół kilometra prosto do góry. Przy pełnej prędkości zrobisz to w cztery i pół minuty. Zrób to, na litość Boską!

– Turbina łodzi nie działa. Jest przeciek w przekładni. Szczeliwo stwardnieje za dwadzieścia minut.

– Nie! – Lodowata woda kapała jej na uda. Kipiała skwiercząc i wdzierając się w tkaninę. – Demon! Wyrzuć balast!

– Przy całkowitej dodatniej pławności wznoszenie się będzie miało tempo sześćdziesiąt metrów na minutę. Przykro mi.

– Demon! Utonę! Utonę! Ona jest taka zimna! – Woda radośnie dotarła pod materiał i wyrwała jej krzyk z gardła. – Wyjdź na powierzchnię. Mogę tu zwiększyć ciśnienie za pomocą powietrza! Demon!

– Ciśnienie powietrza potrzebne do powstrzymania przecieku zabiłoby cię. Dwieście atmosfer, żeby go zmniejszyć. Przykro mi.

– Nieee! – Kombinezon immersyjny unosił się na wodzie, żółtawa woda kipiała, lodowata mgła unosiła się w powietrzu, a lodowate pazury wpijały się w jej ciało. – Demon! Musisz mnie uratować! Jesteś maszyną! Robotem! Mordercą! Ty maszyno! Nie masz w sobie nic ludzkiego! Jesteś zwykłą maszyną!

Czerń. Czerń szumiącej, lodowatej wody.

Głuchy odgłos odblokowującej się podstawy.

Woda pryskała jej w twarz, wżerała się solą w rany na ręce i nodze. Ciągłe wdzieranie się z trzaskiem.

Miękkie uderzenie, powolny obrót.

Włączyła latarkę. Wszystko było jasnożółte od brudnej wody. Oparła się o bok kapsuły, kipiąca woda poląła się na jej biodro i na łokieć. Błyszczące, zimne ostrze cięło bezlitośnie jej ciało, zabarwiona woda gotowała się i pieniała. To była brudnożółta woda z nadennych osadów. Wyrzucił ją!

Krzyknęła przeraźliwie.

Pomarańczowa kapsuła na wpół leżała na dnie zakrywana przez muł unoszący się w wodzie po niedawnym wybuchu ASB. W oku kamery widać było szczęki przecinaka zamykające się wokół uszczelki z przodu wysokociśnieniowej powietrznej kuli. Krzyk umierającej dobiegł poprzez wodę. Szczęki zamknęły się, niczym zwierająca się pięść.

Krótki trzask i kapsuła zakołysała się od wstrząsu, gdy zalała ją woda. Jej wrak osunął się w żółty muł, ciągnąc za sobą strumyczek diamentowych baniek śmigających w górę. Przypominały kadzidło, symbol duszy, która miała rozpuścić się w drodze na powierzchnię, zostawiając oceanowi kompletnie wszystko.

W całkowitej ciszy cienka strużka rozmytej krwi wypłynęła z niewielkiej dziury w poszyciu kapsuły. Cienka, szybko rozpuszczająca się strużka.

Nie mógł czekać, aż zatonie. Dużo lepsza była ta momentalna, rozrywająca śmierć. Drzwi od komory zamknęły się, ramię przecinaka cofnęło się z pola widzenia kamery. Silnik perystaltyczny wykonał miękki ruch i zatopiona kapsuła zaczęła mu znikać z oczu. Lina holownicza napięła się.

Wyłączył światła. Widok ograniczonego nim świata przypominał mu, że jest na głębinach mrocznego, nieprzyjaznego morza. Poprzez dźwięki,

nawet te nieco rozmyte unoszącymi się w wodzie osadami, ocean staje się przezroczystą przestrzenią o skończonej wysokości i nieograniczonej szerokości, i wolności. Słyszał – i morze już nie było pułapką dla jego ciała. Słyszał, że wokół jest pusto – a on był milczącym cieniem przemykającym przez ocean.

Wyłączył kamerę i zamknął drzwi komory manipulacyjnej. Silnik perystaltyczny pracował szybciej przepychając gładką falę i zwiększył prędkość do jedenastu węzłów, możliwie bezpiecznie. Ruszył na czystsza wodę czując pod sobą niewidoczne dno, nasłuchując kolejnych wrogów, którzy mieli przybyć ściągnięci atakiem na tę ASB, która była tak niebezpiecznie blisko. Ale wokół panowała cisza, dopóki nie odezwał się znowu odległy sygnał radiolatarni.

Czy tamta kałamarnica znajdzie kapsułę i będzie na próżno próbowała dostać jej zawartość? Gdyby to on zginął, czy starałaby się dostać jego? Plasterki mózgu wkręczone do komputera? Teraz wiedział, kim jest, potrzebował innego imienia niż Demon.

Trzy dni po zakończeniu wojny.

Poduszkowiec patrolowy, zwykły boczościan, przecinał wysokie fale. Jego rekiny bojowe dawno zginęły, a nawodne i podwodne zasoby broni skończyły się. Wszystkie oceany stanowiły królestwo czyhającej śmierci utkane z roju uśpionych, pływających i polujących automatycznych rakiet. Żniwo przemocy, które teraz trzeba było zbierać. Straty statku ciągle rosły, ale i niszczył coraz więcej niewinnych robotów, które raz uaktywnione nie znały zawieszania broni – umiały tylko zabijać. Tutaj było kiedyś pole bitwy i mogli się spodziewać wszystkiego. Cokolwiek by się zdarzyło, mógł tylko patrzeć. Pasażer zaokrętowany to tu, to tam, specjalista od

rakiet, który nie brał udziału w walce, zagubiony w świecie, gdzie takie kategorie były zapomniane. Był mistrzem w dziedzinie systemów podwodnych, skarbem na pokładzie, a w tym pięknym dniu płynął na mostku.

Zameldowano, że ASB ściga ich od nawietrznej. Nie mieli już żadnych rakiet przechwytyjących. Hałas silnika pozwalał ją łatwo zidentyfikować – radziecki model wyposażony w torpedę samonaprowadzającą i trzy rakiety woda-powietrze. Celowała prosto w ich dziób wspinając się z głębin oceanu, o dwadzieścia kilometrów i dwanaście minut od nich.

Przebiła powierzchnię dwieście metrów od nich. Trzy małe rakiety rozdarły fale i pobiegły odmiennymi kursami podrygując w dzikim tańcu. Laser automatyczny namierzył pierwszą w dwie sekundy i eksplozja wzburzyła krąg na morzu. Druga niemal dotarła do celu. Trzecia, cały czas przyspieszając, uniknęła migającego laseru. Patrzył, jak nadlatuje, robi ostatni zygzak i znenacka uderza...

Laser trafił ją na chwilę przed osiągnięciem celu. Okna mostka rozprysły się. Ujrzał ciało pilota wciąż siedzące na fotelu i buchające krwią, podczas gdy głowa skakała po biurku na kikucie szyi. Wszyscy na mostku wyglądali na zabitych lub dogorywających. Jednego ogarnęły płomienie. On stał w miejscu, które ominęła ściana ognia i odłamki. I wtedy uświadomił sobie, że po piersiach leje mu się krew.

Niczym nie atakowana torpeda z głowicą bojową oczywiście trafiła statek patrolowy od dołu.

Wpadł do wody, ale wtedy już miał obydwie nogi złamane, a jedną rękę nie do użytku, tyle z niej wisiało strzępów mięśni. Ciemne niebo i jasna woda, bo morze stało w ogniu. Kiedy się stamtąd wydostał, nie odczuwał

zmian temperatury, ciepło słońca czuł tylko na języku i to nawet wtedy, gdy miał zamknięte usta. Dobrze, że nie zapomniał uruchomić małej radiolatarni wmontowanej w kołnierz kamizelki ratunkowej. Ustały inne głosy, ustało huczenie płomieni. Ale już nic nie widział, ani nie czuł. Nie mógł nabrać oddechu bez spazmów i kaszlu, ale jakoś go to nie obchodziło. Tępo zastanawiał się, czy rekiny – prawdziwe, dzikie rekiny – zwęszyły zatopiony statek, poparzone i poranione ciała, wodę śmierdzącą ropą. Ale to też go jakoś przestało obchodzić i odeszła go chęć do rozmyślenia.

Potem były pierwsze mgliste wspomnienia i obserwacje z ćwiczeń związanych z programem MANTA. Pomiedzy tymi dniami nie było nic i zupełnie nic nie pamiętał sprzed tego pięknego słonecznego dnia.

Praca z programem MANTA. Nie miał pojęcia kiedy ani czy robił symulacje komputerowe, kiedy właściwie umieścili go w SACYS i kiedy ostatecznie dostał nowe ciało jako Demon-4. Może to wszystko był tylko sen, gigantyczna, doskonała symulacja mająca sprawdzić funkcjonowanie w warunkach stresu i wyczerpania? Tylko, że to wszystko było aż za rzeczywiste. ASB zabiła pasażera. Omal nie zabiła jego. To nie był koszmar senny w szpitalnej narkozie.

To wszystko naprawdę jest prawdziwe!

Powinien krzyknąć w obliczu tak straszego, tak przerażającego losu. Ale nie miał zewnętrznego głosu, poza transmitterem sonaru, którego dźwięk oznaczał śmierć, a może śmierć była lepsza?

Ona nie żyje. Gdyby ASB nie zerwała uszczelki w przekładni turbiny głównej, może wyniósłby ją błyskawicznie na powierzchnię. Mogłaby wyjść z kapsuły, przywiązać się do peryskopu na wierzchu kadłuba.

Zabrałby ją powoli do domu, uciekłby sam przed niebezpieczeństwem. Teraz oczywiście uszczelka była już naprawiona, sprawdził turbinę na pełnej szybkości i trzymała.

Maszyna, tak powiedziała. Robot, nie człowiek. W tym stanie nie mógł tego znieść.

Mógł wrócić, ale zdradzieckie zapisy rozmów i niepowodzenie misji oznaczałyby dla niego koniec. Zaczęłyby się testy bez końca, poszukujące jego kryjącej się w zakamarkach osobowości. Lepiej odnieść sukces i prowadzić życie cyborga, wprowadzić w piekło, ale za to własnym. Nie mógł uciec, bo miał ograniczoną wytrzymałość. Żyć i triumfalnie wygrywać, dopóki nie wsadzą go wraz z jego doświadczeniem w samoodnawiającą się, nieśmiertelną maszynę. Wtedy by wygrał! Ale zapisy go zdradzą i zaczną go testować przez całe wieki.

Krak-1 mógł go zabić. Trzeba go nienawidzić za to, że istnieje, że próbuje go zabić, że zabił pasażera, za jego doskonałą, niezniszczalną mechaniczną istotę. I nienawidzić tych w górze. Nienawidzić ich wszystkich razem i każdego z osobna za wojnę, która zrobiła go tym, czym jest i za cały świat, który go wykorzystywał, zamiast pozwolić mu umrzeć. Czy rzeczywiście by umarł, czy też pozostałby odrażającym, poparzonym kaleką? Nienawidzić ich za politykę i za technologię, za rakiety, Kraki i Demony! Był tak samo schwytyany w pułapkę, jak ona w swojej kapsule. Ona utonęła – on topił się żywcem. Obrócony z pięknego człowieczeństwa w składnik maszyny pozbawiony pamięci. Płynąć cicho przez bezdźwięczny ocean.

W zatoce pławiły się tafle dryfującego lodu. Na brzegu, na dachu schronu dla zwierząt, na ścieżce wzdłuż muru oddzielającego budynek

stacji od morza, wszędzie leżał świeży śnieg. Sypał jednostajnie z ciemnego nieba – grube płaty poplamione dwutlenkiem węgla, zmrożona sadza pochodząca z odległego olbrzymiego pożaru. Gdy się go strzepywało z rękawa, kleił się do rąk niczym wosk.

Stała na brzegu z Martinem i Joannę Davis oraz z grupką załogi bazy, która akurat nie miała zajęć. Nieco dalej na ścieżce było paru Norwegów z okrętu wspomaganiania, który właśnie wrócił. Wszyscy wpatrywali się w obudowane i wyposażone w bramy baseny, które stanowiły przedłużenie schronów. Jeszcze słyhać było wielkie orki, jak niespokojnie pływały tam i z powrotem, czasem pokazywała się wysoka płetwa grzbietowa. W dalszych basenach delfiny już się uspokoiły. Gwałtowne mlócenie płetw w wodę już ucichło w ostatnim basenie, najbliższym kurka, którym wpuszczono do wody truciznę.

Nie zabijała bezpośrednio. Przenikała przez skórę, powodowała ożywienie, potem ospałość, wreszcie spokojnie usypiała. Potem bezsilnie tonęły.

Barbara była zafascynowana zimną prostotą rzezi zbędnych zwierząt. Czy Blaine też utonęła tam wśród samotności nocy? Ale ciśnienie zabiłoby ją momentalnie. A może była uwięziona i jeszcze żyła. Odrzuciła od siebie tę nieznośną myśl.

– Okropne, co? – Jonathan Jackly wyciąga ręce, żeby złapać kilka płatków szarego, tłustego śniegu. – Mówią, że leci tu znad Ziemi Księcia Harolda. Rzygać się chce, jak się na to patrzy.

Fontanna wody wystrzeliła gdzieś ze środka trzeciego basenu, gwałtowny ślad zatonięcia nafaszerowanego narkotykiem delfina.

Jackly oparł się o barierkę nad brzegiem wody.

– Po wojnie byłem w stacji nad Zatoką Ansona. To koło Darwin. Mieliliśmy tam rekiny w małych basenach. Rozmiarów ogródka przed domem i bardzo płytkich. Jak dostaliśmy rozkaz, żeby je zniszczyć, postanowiliśmy zabić je z karabinów. Trwało to wieki – ponad dwieście basenów, w każdym rekin, a zabicie jednego zabierało kilka kul. Prawdziwe szaleństwo, całe ujście było różowe. Problem w tym, że niektórym rekinom robili operację mózgu i nie były znowu takie głupie. Domyśliły się, że coś się stanie. Jeden facet stanął z karabinem na brzegu basenu, a rekin wyskoczył z wody u jego stóp i wciągnął go. Oczywiście, wykończył gościa. – Australijski porucznik potrząsnął głową. – Cóż, nie mogliśmy podejmować takiego ryzyka. Przerzuciliśmy się na granatnice. Przy zapalniku czterosekundowym można było za pierwszym razem trafić w rekina i zazwyczaj to go zabijało na miejscu. Jedna dziewczyna była taka przerażona, że stała z daleka i od razu rzucała kilka.

Barbara spojrzała w dół, ale zamiast przysypanej śniegiem ścieżki ujrzała przejrzyste tropikalne morze i trzepoczącą się w spazmach istotę pokrytą czerwoną pianą.

– Na końcu to braliśmy granaty zapalające, z fosforem. Wrzucało się jeden i uciekało. To już było szaleństwo. To je smażyło, gotowały się na miejscu.

– Boże! – odezwał się ktoś.

To nie była Joannę Davis, ale to jej wyraz twarzy rzucił mu się w oczy, gdy spojrzał przez ramię. Zobaczył wszystkie twarze wstrząśnięte tym, co powiedział.

– Co, żadne z was nie było na wojnie? Trzeba było widzieć, co ludzie robią ludziom!

Następne gwałtowne plaśnięcia dobiegły z trzeciego basenu.

Baurel, miejscowy weterynarz, nadeszła przejściem pomiędzy basenem a otwartą zatoką. Szła po rozdeptanym śniegu, który już spadł szary, smutnoszary. Wszędzie błyszczały szare płatki.

– Co za marnotrawstwo – oburzyła się Baurel, gdy stanęła obok nich. – Lata badań i wysiłków stracone.

– Wszystkie badania nad zwierzętami bojowymi okazały się bezużyteczne lub niewystarczające – zaproponował Jackly. – Po prostu nie zwracały się koszty.

– Poza tym politycznie nie do zaakceptowania-Joannę Davis kopnęła brudny śnieg rozrzucając go dookoła. – Ale używanie cyborgów jest w porządku. Używanie zwierząt jest już niedozwolone, ale ta cała cholerna wojna była świetnym pomysłem. Rzygam na ten cały świat. Nie opłaca się nic w tym bałaganie robić ani nawet próbować wyłączać podmorskie forty, które same się włączają.

Nikt nie odpowiedział.

A potem pojawiła się ta orka niczym obraz Posejdona.

Zawisła pionowo w powietrzu nad bramą, czarno-białe piękno lśniące w chmurze rozprysniętej wody. Olbrzymia i wspaniała.

I spadła. Nie przeleciała idealnie nad bramą. Jej haczykowaty ogon zaczepił o górny dźwigar i zaczęła spadać brzuchem w dół. Ze zgiętą głową i pochylonym tułowiem wpadła do doku.

Woda prysnęła naokoło. Spienione bryzgi wyleciały wysoko w górę i spadły deszczem na brudny śnieg.

Ludzie naprzeciw bramy przemokli, ze ścieżki zmyło całą ziemię. Barbara stała ociekając wodą obok Martina i Joannę Davis, czując wilgoć

w butach i zimno w nogach.

– Wielki Boże! – wrzasnął Jackly. – A niech to cholera!

Wielki, czarny miecznik pływał w kółko po doku dla łodzi podwodnych, zakręcając dokładnie naprzeciwko wewnętrznej bramy tamy.

– Nie przeskoczy przez to! – krzyknęła Baurel. – Co?

– Nie wiem. Przez obydwie chyba nie. Chryste Panie. Miecznik pędził wprost na bramę, potem zobaczył i zawrócił. Wysoka fala przelała się przez tamę.

– Może przeskoczyć nad pierwszą bramą. I czym ja go wtedy zabiję?

– Zużyliśmy cały zapas trucizny. Nie wystarczyło.

– Środki wybuchowe. Będę musiał prosić Vinklera o jakieś materiały.

To albo karabiny.

Kule karabinowe tnące bezskutecznie olbrzymie cielsko miecznika czy to za bramą, czy w doku, czy z powrotem w basenie. Karabiny będą strzelały całą wieczność, zanim doprowadzą do agonii. Obraz równie wyraźny, jak rzucającego się rekina.

– Puśćcie go.

– Nie chcę łamać rozkazów. – Jackly starł z podbródka marznącą wodę.

– Nie mogę wybrać najprostszego wyjścia.

– Kazałam ci go puścić.

Jackly spojrział na Barbarę z otwartymi ustami. Zamknął je.

– Podlega jej każdy w ANTARKTYDZIE – potwierdził Martin. – Z wyjątkiem Przedstawiciela Rządu.

– Puścić go? Zwyczajnie otworzyć bramę i go puścić?

– Otwórz wszystkie bramy – rozkazała Barbara. – Wypuść wszystkie, które przeżyły. Już!

– Nie mogę tak zwyczajnie pootwierać bram. Ten cholerny poziom wody opadnie. Jest połowa odpływu.

– Nieważne, przecież zamykacie stację. Otwórz bramy. I to natychmiast.

Jackly miotał się, niezdolny do podjęcia decyzji.

– Idź na tamę – Barbara zwróciła się do Davis – i otwórz bramy. Martin, biegnij do schronów i każ im pootwierać bramy od basenów.

– Dobra – poddał się Jackly. – Do cholery, przecież mogę to zrobić. I w końcu to moja pierońska stacja, nie? Ruszył ścieżką w stronę budynku kontroli za tamą.

Martin tylko wzruszył ramionami.

– Bardzo humanitarne – odezwała się Baurel. – Mogłaś odwołać rozkaz, jak tylko przyszedł, wtedy nawet jeden by nie zginął. Zrobiłabyś to samo, gdyby to były rekiny? A gdyby to była kałamarnica? Kałamarnica to bardzo odrażające stworzenie.

– Kałamarnica?

– Kałamarnic używa się do zadań bojowych? – zaciekawił się Martin. – Tych wielkich?

– Tak – Baurel zdumiała się lekko. – Przynajmniej Amerykanie do pewnego stopnia pracowali nad kałamarnicami. Nad omastrefidami, a zwłaszcza nad architeutidami – tymi gigantami. Mają duże możliwości manipulacyjne, jeśli się udaje wytresować, no i niewyobrażalnie wielki zasięg głębokości. A rozmiary! Zwłaszcza te największe. Wypuściłabyś kałamarnicę?

Barbara wzruszyła ramionami.

– Ale nie śpiewają – zakpił Martin.

Otwarły się bramy od basenów i wypłynął drugi miecznik, a potem parami żyjące jeszcze delfiny – śmigały pod wodą niczym strzały z prędkością, którą już raz widziała. Potem otwarły się bramy tamy, woda wylała się, a zwierzęta wpłynęły z nią do zatoki.

Dwadzieścia godzin milczącej, samotnej podróży.

Głębokość 4690, dziewięć metrów czystej wody od dna. Płynął bardzo powoli, tak powoli, że delikatnie pożłobiony muł był niemal niedostrzegalną dźwiękiem płaszczyzną, tak powoli, że Hydra i druga ASB z tyłu nie dawały najlżejszego szeptu turbulencji. Płynął cicho w takt bezszelestnego werbla napędu perystaltycznego.

Czterdzieści pięć kilometrów od Kraka – od centralnego sonaru sieciowego, od silosu dowodzenia i głównego reaktora, od magazynów rakiet i komór broni odpierających. A miał jeszcze pierścień sześciu satelitów obronnych, rozstawionych dookoła w dwudziestokilometrowych odstępach, z których każdy był dodatkowym nasłuchowym uchem Kraka i był uzbrojony w torpedy i bolty. Zostało mu więc pięć kilometrów do strefy obrony wewnętrznej, do zasięgu torped odpierających. A już teraz był otoczony czujnymi, choć nieruchomymi ASB.

Śmiertelna pułapka. Najmniejszy dźwięk zaalarmuje wrażliwą sieć czyhających uszu Kraka.

Ślizgał się delikatnie w stronę przewidywanej pozycji okrętu zabezpieczania, szukając jego magnetycznego ciała. Czas umieścić delikatnie w mule obydwie ASB, żeby nienaruszone zabrać znowu z daleka od centrum odpowiedzi Kraka na maszyny uruchomione przy wraku. Czas dać im program instrukcji uruchomienia. Nawet jeśli Krak go zabije, może się trafić szansa wysłania ostatniego wezwania sonarowego,

które skieruje je na fort.

Dwa roboty osiadły bezdźwięcznie w mule i czekały cierpliwie. Cichy i niewidoczny Demon przekroczył granicę obrony wewnętrznej.

Cały świat cuchnął od popiołów dwutlenku węgla przyniesionych przez czarny śnieg. Popłynąć w mroku nocy na bezużyteczny krążownik Calveta stanowiło ulgę. Ale okręt wojenny miał własny bukiet petrochemicznych zapachów ubranych w warstwę śniegu, którego uprzątnięcie przekraczało możliwości resztek załogi. Neritz, oficer dyżurny, wyszedł jej na spotkanie i zabrał ją do Lelanda.

– Tego nie wiesz? – zdumiał się Leland. – A więc nie każdemu mówią wszystko, co? Miałaś te akta i dokumenty z odpraw i całe raporty. Sądzę, że niemal nikt nie wie, ale spodziewałem się, że ci powiedzą.

– Ja też. W związku z fortem używano tych kałamarnic?

– Jasne. Kałamarnice bojowe w roli stróżów są umieszczane przy każdym forcie. Mają zasobnik bojowy i przenoszą kilka min dociskowych – zdaje się cztery. Miny mają zapalnik czasowy uruchamiany automatycznie przez dotknięcie do celu czy też przez odłączenie od uchwytu, czy jeszcze inaczej. Tresuje się je mniej więcej od wylęgu, czy jak tam one przychodzą na świat.

– Jakiego rodzaju się używa?

– Architeutydy, takie wielkie, głębinowe. Nawet nie jestem pewny, ile jest tych rodzajów ani nad którymi pracowali. Może tylko ten jeden był w końcu wprowadzony do użytku. Prawdopodobnie architeutis princeps. Bo na przykład jest zdaje się taki, który się nazywa architeutis longimanus, charakterystyczny dla północnego Atlantyku. Może tego też wykorzystają. Ten princeps jest naprawdę wielki. Normalnie jeden osobnik waży trzy

tony, a cielsko ma sześć i pół metra długości z dziesięciometrowymi mackami. Ale zdaje się któryś egzemplarz miał cielsko długości dziesięciu metrów, a macki – znaczy te długie macki chwytające – piętnastometrowe. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, bo to nie moja specjalność, ale na pewno to cholerne potwory. Oko ma takie – ze czterdzieści albo pięćdziesiąt centymetrów.

– Jesteś pewien, że miał je każdy fort?

– Z pewnością. To było zabezpieczenie na wypadek, gdyby nieprzyjacielowi udało się przeprowadzić symulację zabezpieczania. Zwierzę w roli stróża ma oznaczone miejsce, gdzie żeruje sobie tak długo, jak trzeba. A ponieważ jest wielkie i uzbrojone nie boi się żadnych drapieżników, nawet ostatniego wieloryba na świecie czy czegokolwiek. Jeśli coś się zbliża do fortu, a wcześniej zarejestrowało sygnał zabezpieczania, zwierzę doczepia ładunek i niszczy pojazd – taki jak platforma zabezpieczająca albo zdalnie sterowana łódź. A wybuch budzi czujność fortu i momentalnie przełącza na próg aktywacji.

– Ile kałamarnic jest przy każdym forcie?

– Jedna. Tylko tyle trzeba. To zwierzę to ubezpieczenie.

– A jak sobie daje z nim radę oryginalne zabezpieczenie?

– Wysyła się sygnał odwołania dla konkretnego strażnika i czeka aż przyplynie. Potem się go ogłusza, pakuje w sieć, rozbiera i pozbywa.

– Tak postąpiono ze strażnikiem Kraka-1?

– Jasne. Tylko, że nigdy nie odpowiedział na wezwanie. Uznano go za zagubionego. Strażnik Briara-1 odpowiedział, a Briara-2 nie – to te dwa, które tworzyły pomost między Nową Zelandią i Morzem Rossa. Byłem przy obydwóch i za każdym razem zabezpieczanie poszło dobrze. Ogółem,

gdzieś jedna trzecia strażników zabezpieczanych dotąd fortów zaginęła. Wiem, że to marna statystyka, ale nie tak zła biorąc pod uwagę okoliczności – kałamarnice są bardziej wiarygodne od delfinów.

– Demon doniósł o kałamarnicy na miejscu wraku. Czy to mógł być strażnik?

– Sądzę, że tak. Tylko dlaczego był pięćset kilometrów od centrum promienia swobodnego poruszania się, a skoro od razu nie uciekł, to czemu nie odpowiedział na wezwanie. Nawet gigantyczne kałamarnice nie myślą same. To wszystko odruchy. Jak na mięczaki mają bardzo dobre mózgi, ale budową nie przypominają normalnych zwierząt.

– A ta bomba orbitalna, która uruchomiła fort. Czy ty ją słyszałeś? Powinno ją być słychać na tysiące kilometrów.

– Nie, nie słyszałem. Ale nie prowadziliśmy nasłuchu.

– A nikt nie ma żadnych zapisów. Najpierw był zniszczony ten pojazd zabezpieczający?

– Tak. Ale on był bliżej fortu. Nie słyszeliśmy zbliżania się torpedy aż do ostatnich sekund, ale fort prawdopodobnie śledził pojazd krok za krokiem za pomocą zaprogramowanej torpedy. Tak naprawdę, to jestem o tym przekonany. Ma dość sprytu. Jest sprytniejszy, niż się zdaje.

– To całe diabelstwo jest tak świetne, że zdaje się nikt go nie może upilnować. Quis custodiet ipsos custodes. I w końcu jest jeszcze jeden stopień, prawda?

– Słucham?

Wrak okrętu cuchnął lekko nieznacznym rozkładem, nieuchwytnie zapasami żywności, resztkami ropy – wszystkim tym, co miało przetrwać lata, leniwie rozkładane na pierwiastki przez lodowate morze. Co za

precyzyjny i wszystko rozróżniający narząd powonienia. Nigdy nie miał dobrego nosa. W ogóle ludzie nie mają.

Wrak leżał na boku. Okrążając go powoli i badając sensorami pola elektrycznego, wyginanego subtelnie na powłokach z metalu, znalazł dwie wielkie dziury w dnie, gdzie trafiły głowice z ASB. Wyczuwał uszkodzenie więźby i porysowane, poorane dno. Musiał uderzyć o dno prawie obrócony do góry nogami, a dopiero potem powoli przewrócił się na bok. Krak zabił tutaj osiemdziesięciu ludzi i na pewno uszkodził cały sprzęt wewnątrz. Ale Demon próbuje zrobić dokładnie to samo.

Dziura niemal w połowie statku była tak długa, że mógł z łatwością wśliznąć się do środka, unikając zadziorów wydartego metalu. Uruchomił ramiona po prawej stronie i ciężki przecinak z lewej strony głowy. Leżał tam w dziurze prowadzącej do labiryntu potrzaskanych pokładów i grodzi, przytwierdzony przyssawką do jakiejś poskręcanej belki, a światło kamery odbijało się w metalu i stwarzało głębokie cienie. Przystawił szczęki przecinaka do sterczącego jęzora metalu.

Usłyszał nikły dźwięk. I poczuł smród kałamarnicy.

Przełączył się na kamerę z prawej i wyjrzał w pustą czerń przez dno statku. W powodzi światła wisiał szary cień – rurowate cielsko, łeb zwieńczony meduzim wieńcem silnych ramion, dwie dłuższe, cienkie macki chwytające badały przestrzeń z przodu. I wtedy uświadomił sobie, że to nie było w dziurze, ale na zewnątrz. I uświadomił sobie jej rozmiary.

Oświetliły ją reflektory. Sinoróżowa, nakrapiana kolorowymi porami, a jedyną ładną częścią były kształtne płetwy boczne łagodnie falujące wzdłuż tułowia. Spodziewał się, że odskoczy gwałtownie do tyłu, gdy jaskrawe światło zalało jej olbrzymie, puste ślepie.

Potwór. Co za potwór! Miała chyba z połowę jego długości, a same bliźniacze macki były dłuższe od niego. Sinoróżowe, nakrapiane cielsko, boczne płetwy falujące leniwie, ramiona ściśnięte w stożkowaty kwiat tulipana, niczym ofiarny świecznik płonący w czasie błagalnej modlitwy. Błagały o przebaczenie za swą koszmarną wspaniałość wyręczając w tym patrzące bez emocji oczy.

Miała uprząż! Wciśnięta pod jej głowę obudowa zawierała trzy ładunki i puste miejsce po czwartym. A więc to zwierzę bojowe. Kto się ośmielił trenować i używać takiego stwora, takiego potwora, głębinowego diabła? Z jej wspaniałym i jednocześnie odrażającym, wzbudzającym trwogę wyglądem.

Była zbyt blisko, żeby zaryzykować choćby raketę. Musiał się ruszyć. Wyjść z pułapki zanim ten stwór ją zamknie. Uruchomił silnik po lewej stronie i zdryfował bokiem w stronę dziury, wychylając się dziobem na zewnątrz z zamiarem włączenia głównego napędu, jak tylko częściowo się uwolni.

Monstrualna kałamarnica drgnęła i obróciła się. Modlitewne ramiona rozwarły się jak wielki kwiat orchidei. Długie macki przecięły wodę. W sercu meduziego gniazda ujrzał dziób, otwór na tyle wielki, że mógł połknąć człowieka w całości. Ale nie Demona.

Wyłynął z kadłuba wraku nad żółtawe dno i sine straszdyło ruszyło mu naprzeciw, rozwijając macki i celując w niego cielskiem. Trąbkowate przyssawki drapały i ślizgały się, a macki zacisnęły się wokół niego. Dzięki Bogu nie czuł tego!

Olbrzymie ramiona owinęły się wokół manipulatorów, dolnym okiem ujrzał miękkie podbrzusze kołyszące się pod nim i próbujące przycisnąć

ładunek do jego kadłuba. Znurkował nosem w dół unosząc ogon, plując straszliwie silnikami manewrującymi. Czuł jej ciężar, jakże niewyobrażalny ciężar, sześć, osiem ton? Włączył wsteczny bieg napędu głównego i wprawdzie nie oderwał się od potwora, ale kołysanie nie pozwoliło mu na doczepienie ładunku. Wykonał ciasną pętlę wstecz, z dala od wraku i w górę. Nie widział nic poza białawą galaretą na czarnym tle morza. Zakręcił na szczycie pętli, badając tylnym sonarem zbliżające się dno. Słyszał głośnie bicie serca potwora, pędzące na spotkanie dno i hałas napędu warczący pod jego brzuchem.

Kałamarnica zapłonęła wściekłą żółcią, gdy jej ciało zaryło się w muł. Prawy manipulator pękł i czarny olej trysnął w środek tego zamieszania. Kałamarnica wypuściła własny strumień i... zatrzymała go! Dyszała i ciągnęła go!

Obrócił się, zmienił kurs, uniósł dziób, rzucił się do przodu i w tył. Nie widział nic poza ramionami kałamarnicy, które zniemacka uniosły go i przestał wyczuwać dno. Nie dała się strząsnąć. Zaczął się szaleńczy taniec. Usłyszał uderzenie własnego ogona o metal. To sonar, jego kryształowo czysty dźwięk. Poszarpane krawędzie sterczące z kadłuba statku. Zmienił odrzut i pchnął kałamarnicę na ostry metal. Ale ona znów puściła strumień i skoczyła celując brzuchem w jego kadłub. Skręcił, w bok i na dół, w stronę wraku i w tym momencie ładunek stuknął o kadłub zatopionego statku.

Kałamarnica napierała, jego boczne silniki pchały i przez chwilę nic się nie działo – przez jedną magiczną sekundę. Pas de deux potwora i maszyny zawieszonych w doskonałej ciemności.

Potem ona zwinęła się i szarpnęła, a on skręcił i odłączył bezużyteczny

prawy manipulator. Ujrzał jak stwór zwija wokół niego swoje ramiona, więc zatrzasnął drzwi komory, czując teraz cały ciężar na przecinaku po lewej stronie.

Usłyszał, że jedno ramię drapie wewnątrz jego uśmiechniętej paszczy. Kałamarnica szukała lepszego chwytu.

Wprowadził w ruch turbinę, nabrał łyk wody nasłuchując drapania macki wewnątrz. Wygiął łopatki turbiny do tyłu i włączył napęd perystaltyczny. Rozpędzony zwieracz uderzył o coś i zaczął to mleć w swoich żarnach.

Kałamarnica zadygotała i zaczęła mlócić wodę. Jej obraz zbrązowiał, a potem całkiem szerniał. Jego szerokie usta pociągnęły całe jej cielsko. Silnik perystaltyczny groził przepaleniem, więc zatrzymał go. Stwór wił się z bólu, silniki manewrujące sapały. Wywindował się z chmury atramentu wypuszczonego przez kałamarnicę.

Wybuchła mina umieszczona na wraku. Oślepiający, a raczej ogłuszający krótki dźwięk.

Teraz nie mogła przyczepić drugiej miny. Nie mogła się ruszyć, a nastawiony ładunek zabiłby także ją. On nie mógł się jej pozbyć, a strażnicy Kraka na pewno już się zbliżali.

Przecinak! Mógł uwolnić przecinak. Jeśli odetnie potwora, może uda mu się sięgnąć po uprząż.

Zmienił kierunek, zatrzepotał, jak rekin zanim zabije. Olbrzymia kałamarnica tkwiła ściśnięta pod jego dziobem rzucając się, wijąc i próbując rozedrzeć jego gładki jak szkło pancierz. Uderzył o dno i żółty kształt zafalował wokoło. Podniósł ogon, skręcił i wepchnął potwora w muł. Przechylił się na bok. Za daleko, komora i ramię, i kamera były zablokowane.

Druga kamera patrzyła prosto w wielkie oko i widział jej odbicie w gładkiej powierzchni rogówki. Macka skręcała się wokół jego ramienia jak olbrzymi wąż. Nacisk na ramię był niewyobrażalny i hydraulika zaczęła zawodzić. Pchnął znów przecinak i tym razem jego zamknięte ostrza wcisnęły się w ciało kałamarnicy między dwoma mackami, tuż koło oka. Otworzył ostrza do połowy. Pchnął mocniej i ciął.

Gwałtowność jej spazmów obróciła ich dwa razy dookoła. Nic nie czując poza oporem masywnej tkanki mięśniowej, otworzył szczęki, pchnął mocniej i ciął. I jeszcze raz otworzył, popchnął i ciął. Już nic nie było widać poza jaskrawą czerwienią. Otworzył ostrza, popchnął i ciął. Pchnął ramię najdalej jak się dało i zamknął szczęki, jakby zaciskał pięść. Pociągnął do tyłu, obrócił je, otworzył i znowu pchnął i ciął. Tam między oczami miał być mózg, pierścieniowaty zwój nerwowy owinięty wokół przełyku. Ustawił ramię pod kątem, popchnął i ciął.

Nic nie słyszał, nie widział nic poza krwią, nie czuł nic poza dzikim zapamiętaniem walki. Teraz już masakrował na oślepie.

Jej spazmatyczne drgawki zaczęły nim trząść na całej długości. Odwrócił silnik perystaltyczny i wypluł kałamarnicę cofając się na czystą wodę. Ujrzał ramię przecinaka przybrane strzępami mięsa. Usłyszał kałamarnicę bijącą rozpaczliwie wodę. Z przedniej kamery widział ją w przyćmionym świetle, otoczoną kołującą chmurą krwi. Poszarpane, monstrialne straszidło.

Wtedy usłyszał zbliżającą się torpedę.

Zgasił gwałtownie światła i zanurkował na dno. Ledwie uchwytny cień, dyszący cichutko wśród odgłosów śmierci kałamarnicy. Torpeda wlokła za sobą odbicie dźwięku od dna na swoim kursie. Drugą usłyszał o dziesięć

kilometrów dalej. Czołgał się nad dnem na tyle wysoko, żeby móc wystrzelić raketę. Linia zbliżania się pędzącej torpedy dalej biegła prosto, nie skręcała, żeby tropić jego. Otworzył drzwi komór środkowych. Wrak okrętu był już tylko niedostrzegalnym szeptem zagłuszonym przez hałas torpedy. Nie miał pojęcia, że odpłynęli tak daleko.

Torpeda płynęła wprost na dogorywającą kałamarnicę i dobiła ją. Przetaczające się echo pokazało mu wrak na tle niekończącej się, pofałdowanej płaszczyzny, a potem odległą powierzchnię i ostre odbicia tafli lodu wśród niewyraźnego tła fal. Ruszył prosto w stronę strefy obrony Kraka, w ramiona torped z jego satelitów. Nasłuchiwał śladów drugiej torpedy.

Przecinała ze świstem wodę, używając echolokatora i odkrywając jedynie płaską przestrzeń dźwiękowego krajobrazu. Nie znalazła go albo zignorowała. Uderzyła we wrak.

Gdy był już o pięć kilometrów dalej, pełzając cicho poza zasięgiem jakichkolwiek torped, usłyszał dwie ASB, które musiały pochodzić z samego Kraka. Zaatakowały wrak. A więc Krak uczył się na własnych błędach. Ale uczył się na próżno, bo nie odróżniał okoliczności. Był tylko maszyną.

Demon płynął dalej w poszukiwaniu holowanej Hydry.

Na ekrany ścienne w pokoju nasłuchu naniesiono pozycję i charakterystykę sygnałów przechwyconych o godzinie 22.00. Słabych dźwięków odsianych z tła morza przez anteny czułych odbiorników założonych na ścianie szelfu oceanicznego. Najpierw mała eksplozja, potem dwa większe wybuchy i wreszcie dwa jeszcze silniejsze. Para pośrodku w przybliżeniu odpowiadała obronnym torpedom Kraka.

Położenie w pobliżu albo właściwie na miejscu wraka statku. Jeśli Hydra odpowiedziała na wysłany sygnał uaktywnienia, popłynęłaby powoli po zamierzonym kursie Demona, ominęłaby statek i ruszyła do ataku na centrum fortu.

Krak musiał ją usłyszeć i zniszczyć. Przynajmniej stracił te dwie torpedy ze swoich zapasów.

Descoe był rozczarowany – nadzwyczaj rozczarowany. Pewnie miał nadzieję, że te dźwięki dowiodą obecności tam Demona. Ale kolejność wybuchów nie pasowała do żadnego teoretycznego scenariusza walki, a te dźwięki musiały oznaczać coś innego, w każdym razie nie ataki przeciw uruchomionym maszynom. Demon więc nie istniał, Blaine nie żyła, Descoe i jego zespół stracili pracę, Stany Zjednoczone i ich północnoatlantyccy sojusznicy byli ubożsi o ostatni liczący się obiekt bojowy na południowym teatrze wojennym, a do bazy przybywał PEŁNOMOCNIK RZĄDU, Connerman.

Nie mogła odgadnąć po co. Mógł podjąć wszelkie decyzje dotyczące przyszłości bez odwiedzania Kerguleny. Jego obecność tutaj była bezcelowa, skoro atak odbywał się pod wodą, a do osiągnięcia sukcesu nie miał umiejętności większych od niej. W tych sprawach zresztą obydwójce polegali na zdaniu specjalistów. Może chciał zobaczyć klęskę – personel, który zawiódł – na własne oczy? Może chciał sprawdzić zasadność poniesionych ofiar? A może po prostu mu się nudziło? O tej porze roku w ANTARKTYDZIE nad Zatoką Sulzbergera dzień ograniczał się do kilkunastu minut. Dla szczęśliwego posiadacza samolotu i nieograniczonego przydziału paliwa do własnej dyspozycji pokusa zrobienia sobie wycieczki nad Morzem Rossa i Większą Antarktydą do

lepszych, mniej srogich długości geograficznych musiała być przemożna. Może Connerman mimo wszystko miał ludzkie cechy?

Descoe, przygnębiony, opuścił stację nasłuchu. Barbara z Martinem czekali w korytarzu obok pokoju dowodzenia. Wszedł z niego Vinkler ze swoim asystentem Julienem Jourdanem, porucznikiem armii francuskiej.

– O, Kastner – ucieszył się Vinkler. – Kiedy przylatuje Pełnomocnik, może wiecie?

– Odleci z ANTARKTYDY za jakieś pół godziny – odpowiedział za nią Martin. – Powinien tu być około trzeciej w nocy.

– Zostanie czy tylko powie nam cześć? Barbara wzruszyła ramionami.

– Przygotuję nocleg – ciągnął niezrażony Vinkler. – Nie wiecie ilu ludzi z nim będzie?

– Dwóch, może czterech.

Jourdan skinął głową i ruszył w głąb korytarza.

– Co do tych odbiorników tutaj – przypomniała sobie Barbara. – Jak są czułe? Jak daleko mogą słyszeć?

– Dla wydarzenia dostatecznie dużego – dla odmiany Vinkler uniósł i opuścił barki – nie mają ograniczonego zasięgu. Tracimy jedynie możliwość odróżniania dźwięku. Im bardziej na zachód, tym gorszą mamy triangulację. Za Bouvetem, na Atlantyku, nie podałbym ci miejsca ani nawet z grubsza zasięgu ataku nuklearnego. Lokalnie w wyznaczonym obszarze nasłuchu czułość jest różnorodna, ale zawsze dobra. Problemy mamy od strony Crozeta, wzdłuż Prądu Antarktycznego. Opadanie osadów jest tam prawie równe zeru i od tego woda jest tam dosłownie jak zupa. Na źródle odbić takim jak to tracimy całą dokładność.

– A ta bomba orbitalna, która uruchomiła fort. W którym miejscu

uderzyła?

– Właściwie nie jestem pewien. Przybyłem tutaj dopiero, jak wszystko zaczęło się rozpręgać. Dyżur miał mój zastępca – podczas zabezpieczania prowadziliśmy stałe warty. To było gdzieś w sektorze na północny zachód od fortu, w stronę Wysp Księcia Edwarda. Według mnie mieliśmy szczęście, że to uderzenie nie pchnęło Kraka poza próg aktywacji nuklearnej.

– Tak ci się zdaje, co? Widziałeś zapisy?

– Tej bomby? Nie. Było za dużo roboty, a miało nadejść jeszcze więcej. Personelu mieliśmy równie mało, co teraz. Nigdy nie miałem okazji oglądać taśm spoza mojego dyżuru, chyba że były poddawane analizie. Cholernie się spieszyli, żeby przejrzeć je w Stanach.

– Więc były wywiezione? Nie przesłane?

– Przesyłać pełne dane z tego, co wychwytyją nasze monitory? – Vinkler uniósł brwi. – Współpraca z Sowietami chyba tak daleko nie sięga, co?

– A więc nigdy osobiście nie widziałeś momentu uderzenia bomby? A kto widział?

– Mój zastępca. Poleciał w eskorcie zapieczętowanych taśm wraz z dwoma ludźmi, którzy akurat mieli dyżur. Szklana Góra powiedziała, że chcą mieć ich własne zeznania.

– A teraz dostałeś w zastępstwie Tangstad.

– I dwóch marynarzy, z których jednego musiałem szkolić.

– Więc nie ma nikogo, kto słyszał atak nuklearny. Można by sądzić, że nigdy się nie wydarzył. Vinkler rzucił okiem na Martina i znów spojrzał na Barbarę.

– Ja tam wolę trzymać swoje opinie dla siebie. Może tu i żyjemy w odosobnieniu, ale odnoszę wrażenie, że ten świat nie jest zbyt bezpieczny.

– Nie, komandorze – przytaknęła. – Oj, nie jest.

Rozdział 10

Płynął powoli. Tak powoli, że podmorski prąd kołysał nim miękko nad pofalowanym dnem oceanu. Tak powoli, że pełzał niczym krab, a za nim podążały dwie ASB na holu. Tak bardzo wolno, bo był tylko dwadzieścia siedem kilometrów od fortu.

W odległości ponad dziesięć kilometrów z każdej strony znajdowały się dwa z satelitów obronnych, każdy uzbrojony w dziewięć boltów, każdy wyposażony w czułe ucho sonaru, każdy mogący wysłać osiem torped o zasięgu dwudziestu kilometrów – dwie z nich któryś już zmarnował. Gdyby go usłyszały, nigdy by się stąd nie wydostał, nie uciekłby z przedsiionka siedziby Kraka – te torpedy trafiały w każdy cel między dnem a powierzchnią w promieniu od czterdziestu kilometrów od fortu do własnych pozycji. A dwadzieścia kilometrów w środku było strzeżonych nie przez przecinające się koła obrony satelitów, ale przez samego Kraka. A Demon pełził raptem siedem kilometrów od tej najbardziej strzeżonej strefy obrony.

Wprowadzono mu do pamięci zarządzanie samego fortu. Centrum dowodzenia, mniejszy uśpiony reaktor, silos głównego reaktora, magazyny ASB atakujących cele podwodne i powietrzne, słup parkingowy dla dwóch transporterów, które rozstawiały ASB po całym królestwie Kraka o rozmiarach dwóch tysięcy kilometrów, sieci przechwytyjące ciepło z niedostrzegalnych prądów wznoszącej się ogrzanej wody. Wiedział o szerokim na dwa kilometry sześciokącie sonaru siatkowego, który jedynie mógł go usłyszeć. Wiedział o czterech magazynach boltów chroniących Kraka i o dwudziestu czterech torpedach, które zniszczą go,

jeśli podpełźnie zbyt blisko.

Słyszał jak jeden z automatycznych transporterów popłynął nad miejsce, gdzie leżał wrak i powrócił, żeby donieść o swym odkryciu. Krak był zbyt elastyczny, zbyt sprytny, mógł domyśleć się jego istnienia i wysłać ASB nastawione na aktywne szukanie.

Pełznął więc do kryjówki, do miejsca, gdzie nikt by go nie szukał, przepływając być może nieświadomie pomiędzy gotowymi do ataku, czyhającymi raketami.

Osiadł delikatnie na dnie bez najmniejszego dźwięku. Holowane przez niego ASB dotknęły mułu zbyt miękko, żeby ktoś je usłyszał. Zawinięty w bandaż ciszy czekał – duch doskonałej nicości.

Najlepszą ucieczką, gdyby Krak o nim zapomniał, byłoby powoli unieść się na powierzchnię. Wtedy mógłby spokojnie podryfować wraz z prądem płynącym na wschód wisząc wśród kry lub pod pakiem – bezradny i nagi wobec echolokacji, ale w bezpiecznej ciszy. I mógł zostawić Hydrę wraz z drugą ASB, żeby zaatakowały w wyznaczonym momencie. W ten sposób ugryzłby Kraka.

Jeśli stanie do walki z nim, zginie. Ale to mogło być najlepszym wyjściem, bo nadszarpnąłby jego siły obronne i przyczynił się do jego późniejszego unieszkodliwienia, a także dlatego, że śmierć by go wyzwoliła. Nienawidził tego fortu, bo automatyczna rakietą sprowadziła na niego obecny los, a Krak był doskonałym zautomatyzowanym systemem, który na zimno rozgrywał swoją partię za pomocą takich właśnie raket. Doprowadzenie do jego zniszczenia byłoby czystą przyjemnością.

Długi, zawodzący sygnał zapulsował w morzu, zmodulowane

wezwanie nadchodzące z Kerguleny, głęboki, odległy głos brzmiały wśród pustki. Sygnał uaktywnienia. Dla kogo?

Demon leżał ukryty na dnie morza milcząc i nad słuchując.

Pełnomocnik Rządu Paul Connerman był Kanadyjczykiem, wysokim mężczyzną, którego zimowy strój czynił pękającym olbrzymem. Zszedł z naddźwiękowego X-skrzydłowca na nie mającą końca płaszczyznę pokładu okrętu STÓŁ i zaklął cicho z powodu zawiei – świeżego, tnącego, śniegu wpadającego przez otwory świetlne w burtach. Zaczekał na swoich asystentów, po czym wszyscy ruszyli śladem Jourdana, francuskiego pomocnika Vinklera, do wnętrza pustego i odpowiadającego echem statku zamienionego w lotnisko. Barbara postępowała za nimi. Trzeba było poczekać w łodzi na dole, gdzie było cieplej. Powinna była wiedzieć, że on za nic nie przystanie grzecznie na zasypanym śniegiem pokładzie, mogła nie dawać mu sposobności do przejścia obojętnie obok niej. Ale była trzecia nad ranem, było jej zimno, a w ogóle to co to kogo obchodzi?

Dotarli do doku wewnątrz statku i zeszli do łodzi. Przeszła ze schyloną głową z krytego kokpitu do zatłoczonej tylnej kabiny, w której siedzieli Connerman i jego towarzysze podróży, Jourdan i jakiś amerykański marynarz, który tu się zaplątał. Zaraz zresztą precyzyjnie się koło niej do wyjścia.

– Poznaj mój sztab – odezwał się Connerman rozsiadając się w ciepłym zakątku. – Helen jest Amerykanką, Frans pochodzi z Holandii, a Aljeja i Witalij są ze Związku Radzieckiego. Są doradcami łącznikami.

Wszyscy czworo rozpinali swoje kurty we względny ciepły. Wszyscy mieli przy bokach ciężkie pistolety. Barbara już widziała Connermana i jego uzbrojonych asystentów, Jourdan nie, więc jego oczy wlepione były

w pistolety.

– Czy jest kabina z przodu? – spytał go Connerman. – Moglibyśmy zdobyć trochę miejsca?

Jourdan kiwnął głową i wspiął się do kokpitu. Holender i Amerykanka poszli za nim. Pokład zakołysał się, gdy łódź oderwała się od drabinki w doku i skierowała w gęsty mrok.

– Siadaj, Barbaro – Connerman klepnął poduszki koło siebie. – Wyglądasz na zmęczoną. Nie spałaś? W Zatoce Sulzbergera jest dopiero szósta wieczorem. Ale wieje wichura i jest zimniej niż w piekle. – Uśmiechnął się, gdy usiadła obok. – Nie musiałaś wyjeżdżać mi na spotkanie. Doceniam to.

– Chciałam przez chwilę porozmawiać z tobą na osobności.

– Właśnie możemy. Czy wysłano uaktywnienie dla ASB?

– Tak. Nadawali co czterdzieści pięć minut. Teraz częstotliwość powinna się zwiększyć.

– Dobrze. – Ściągnął rękawice i zgiął palce w wilgotnym powietrzu kabiny. Łódź gwałtownie skoczyła na fali w zatoce, za oknem światła doku rozplynęły się w ciemności. – Zimno ci?

– Sądzę, że chciałbyś porozmawiać ze mną na osobności – Barbara wzruszyła ramionami.

Connerman ściągnął usta i kiwnął powoli głową. Rosjanka odwróciła się i zamknęła drzwi od kokpitu, ale obydwójce z drugim asystentem zostali na swoich miejscach.

– Chodzi o powód, dla którego uaktywnił się fort. Kałamarnica, co? Zwierze-strażnik, które nie odpowiedziało, na wezwanie. Nie było żadnej bomby orbitalnej i dlatego taśmy wraz z personelem dyżurującym zostały

od razu wywiezione ze stacji nasłuchu. Szklana Góra nie chciała, żebym nawet ja знаła prawdę o zwierzętach pilnujących fortu. Do licha, a jeśli to draństwo jeszcze tam jest i spieprzyło jakoś tę operację? Wiem, że to było zwierzę, a nie żadna bomba, bo sprawdziłam protokoły przesłuchania Lelanda i tych, co przeżyli z okrętu zabezpieczania. Pojazd został trafiony, zanim Krak wysłał jakikolwiek znak uaktywnienia. Sprawił, że fort zaczął działać zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Krążownik został umieszczony w pobliżu tylko dlatego, że kałamarnica nie zgłosiła się. Ale to nic nie pomogło, co? A teraz nie tylko fort się uaktywnił i jak na razie nieźle sobie radzi z zabijaniem, ale doszła jeszcze utrata okrętu wojennego. Ktoś był niesamowicie zdolny. Connerman nie odezwał się.

– Czy nie należało zachować większej ostrożności, gdy chodziło o wiarygodność zwierząt-strażników, a zwłaszcza gdy nie odpowiadały na wezwanie? Oo, spodziewam się, że ten wysoko postawiony ktoś zaprotestowałby, że nic się nie stało wcześniej w przypadku, gdy zwierzę nie odpowiadało. Wszystkie one prawdopodobnie zwyczajnie zginęły albo włączą się gdzieś po oceanach. Pewnie. A co będzie, jak taki trafi na miejsce robót głębinowych i zniszczy maszyny albo pozabija ludzi? A jak zaatakuje jakąś raketę i spowoduje poważny incydent? Ile lat takie mogą żyć?

– Odpowiedzialność polityczna – zaczął Connerman – dotyczy tylko tego, co można przypisać tobie. Taka jest prawda.

Wyjrzała przez okienko w ciemność przetykaną lepiącymi się do szyby płatkami śniegu.

– Ta historia z bombą orbitalną to był nieprzewidziany wypadek, co?

– Spodziewać trzeba się wszystkiego. Sama historyjka jest niezła.

Przecież były bomby orbitalne spadające po wyznaczonym kursie na uzgodniony sygnał. Jedna mogła się łatwo popsuć i nie uderzyć nigdzie przez dwa lata. To zabezpieczenie zaczęto wymyślać dopiero przy zabezpieczaniu pierwszego Briara. Wiedziałaś, że ta nazwa pochodzi od greckiego Briareus? Była jedna czy dwie omal wpadki przy wcześniejszych zabezpieczeniach. To twój ekspert powiedział ci o kałamarnicy?

– Dopiero jak go zapytałam. Sama potrafię myśleć.

– Niewątpliwie. Trzeba było się trzymać wersji z bombą zamiast przyznawać się do prawdziwej przyczyny, bo to wskazywało na możliwość niekompetencji i błędy w projektach. Częściowo jest to odpowiedź na naciski ze strony wojskowych, którym musimy nadskakiwać. Ciężko byłoby zachować tajemnicę, bo gdyby się wydała, zaczęłaby się burza. W kraju i w Europie utrzymuje się bardzo delikatna równowaga polityczna, która z łatwością mogłaby zostać zachwiana i doszłoby do walki między konserwatystami a radykałami. Rzecz jasna, nie można by też konkretnie winić Sowietów. Po prostu niezidentyfikowana bomba orbitalna. Wojskowi chcieli, żebyśmy zrzucili odpowiedzialność na Sowietów, ale oni naturalnie nam to wyperswadowali. Polityczna sztuka ograniczonego kłamstwa. Widzę, że zrobiłem na tobie wrażenie.

Barbara wzruszyła ramionami.

– Po co sprawiałeś sobie kłopot przyjeżdżając tu osobiście? Żyjemy w raju telekomunikacji. Polityka się zmieniła?

– Raj telekomunikacji – zaśmiał się Connerman. – Muszę to sobie zapamiętać.

– Nie musiałeś tu przyjeżdżać tylko po to, żeby mnie wylać.

– O, jeszcze cię tak całkiem nie wylaliśmy. Ale wolałem być w punkcie dowodzenia w momencie podejmowania ważnych decyzji. Jeśli ten dryf nie będzie mógł być przeprowadzony bez ryzyka popchnięcia fortu poza próg nuklearny, może trzeba będzie wybrać opcję nuklearną. Zwłaszcza teraz, gdy tak nieszczęśliwie straciłaś tę naszą łódź podwodną. To był bardzo cenny sprzęt i nie mamy żadnych perspektyw na nowy. Ten błąd może nas zmusić do rozwiązania nuklearnego.

Powiedział „błąd”. Miał na myśli jej błąd.

– To spowoduje bałagan polityczny – zaprotestowała. – Ten świat jest wrażliwy na pyły radioaktywne.

– Nie będzie krzyku, jeśli nikt się nie dowie – ludzie nie muszą wiedzieć wszystkiego, prawda? Tak naprawdę, to jest to spójne – miłe, wygodne i satysfakcjonujące. Oczywiście nie od strony moralnej. Prawdziwych radykałów tworzy zdarzenie, o którym opinia publiczna nie jest informowana. A to wszystko rekompensuje szkody i nadaje się dla tych powieściowych radykałów, którzy powołują się na zdarzenia rodem z powieści, o których opinia ma już wyrobione zdanie. Równa się to niemal prawdzie.

– Dwa kłamstwa znoszą się nawzajem, tak? Czy to jest konstruktywne kłamstwo polityczne? Connerman potrząsnął smutno głową.

– Naprawdę nie nadajesz się do środowiska dzisiejszych polityków. Wszystko jest tak naciągnięte, że praktycznie zajmujemy się samymi sytuacjami krytycznymi. Politycy nie mają czasu na luksusy takie jak moralna czystość. Od góry do dołu, zbiorowo i indywidualnie, wszyscy i wszystko zajmuje się przetrwaniem. To trudny świat.

– Czy ja nie umiem przeżyć? Connerman wzruszył szerokimi ramionami.

– Na razie umiesz. Czy my kiedykolwiek dopłyniemy do brzegu? Wiesz, mam lekkie skłonności do choroby morskiej – zwłaszcza kiedy płynę przez ciemności i śnieg. Jedną z zalet osiągnięcia mojej pozycji jest możliwość widzenia, co się wokół ciebie dzieje.

Demon słuchał tego wszystkiego leżąc w milczeniu w swym środku bitwy robotów trwającej trzy godziny, obserwując wymiany ognia. Powód ciągłego ataku był jasny, ławica nieruchomego sprzętu bojowego, która nadpłynęła z prądem powierzchniowym i została uaktywniona z Kerguleny. Wszystkie teraz na wyścigi pędziły czy to z daleka, czy z powierzchni tuż nad fortem. A Demon czekał w centrum tego wszystkiego, przeliczając ilość straconej przez Kraką broni. Słyszał każde zetknięcie rozpędzonej ASB z antytorpedą lub boltem. W szczytowych momentach nadpływały co parę minut. Jedna przemknęła nad jego miejscem zaledwie o dwieście metrów – i została zniszczona mimo uników i wystrzeleniu buczyków i antyrakiet. Słyszał każdą klęskę każdego mechanicznego zrobotyzowanego ataku. Krak był tak nieubłagany w swej wydajności i nie do zdobycia, dopóki miał zasoby broni. Samo centrum miało dwadzieścia cztery torpedy i trzydzieści sześć boltów o krótszym zasięgu. Gdy satelity obronne po wschodniej stronie wyczerpały swoje torpedy, Krak zaczął używać tych z magazynów centralnych. Niechętnie. Słyszał, jak jedna ASB goni drugą wśród popisowych symfonii dźwięków makiet i ogłuszaczy zamazanych echolokatorami. Słyszał, jak szesnaście torped wyruszyło z centrum fortu, ale nie słyszał żadnego boltu. To jednak dało się wytłumaczyć.

Leżał odliczając czas od momentu, gdy ostatni napastnik nadpłynął i został zniszczony. Leżał poza granicą bezpośredniej obrony, zaledwie dwanaście kilometrów od fortu. Czekał na dwa przyholowane przez siebie roboty zostawione z opóźnioną aktywacją jedenaście kilometrów stąd. Ściągnął na siebie część obrony siedziby Kraka osłabiając go przed jakimś atakiem w przyszłości.

Demon osłabi ją jeszcze bardziej.

Pierwsza poszła ASB podnosząc się na pełnej prędkości ze swojej pozycji wewnątrz strefy obrony i pędząc wprost na fort. Słyszał ją od wschodu i jednocześnie usłyszał torpedę wystrzeloną z Kraka. ASB minęła jego miejsce w odległości trzech kilometrów, przeszła przez punkt najwyższego dźwięku i pomknęła naprzeciw torpedzie. Usłyszał ostatnie minuty szumu wody, potem grzmot wybuchu; torpeda wybrała ładunek odległościowy powodujący falę uderzeniową. ASB przetrwała to i płynęła dalej na tle rozmazanego echa.

Nadpłynęła Hydra, wysyłając dużo głośniejsze i niższe dźwięki. Na odcinku dwudziestu kilometrów przyspieszyła maksymalnie, bo normalnie miała zasięg dwadzieścia pięć razy większy. Druga torpeda została odpalona z Kraka, potem trzecia. Demon uniósł swój nos z mułu, włączył silnik perystaltyczny i ruszył naprzód z wolna przyspieszając, zabójca w kryjówce Kraka.

ASB została zniszczona sześć kilometrów od celu. Czwarta torpeda ruszyła w ślad za trzecią na spotkanie Hydry. Ale zanim pierwszy napastnik się zbliżył, Hydra rozpadła się na cztery części. Torpeda zniszczyła część główną, a trzy pozostałe gnały dalej. Następna torpeda wybrała sobie za cel jedną z nich, która akurat o trzy kilometry dalej

podzieliła się na uzbrojoną część napędową i trzy ryczące głowice bojowe. Torpeda zniszczyła napęd za pomocą swojej podwójnej głowicy. Dwie pozostałe części Hydry również się podzieliły.

Krak wystrzelił ulewę boltów, jedenaście przeciwko jedenastu celom. Atakowały kolejno, niszcząc ostatni w odległości mniejszej niż kilometr od centrum fortu. A więc zmusił Kraka do wysłania prawie jednej trzeciej swojej bezcennej obrony wewnętrznej. Zostały mu tylko cztery torpedy i dwadzieścia pięć boltów – więcej niż dosyć, żeby zabić Demona.

Demon włączył turbinę i przyspieszył do prędkości szeptu. Usłyszały go czule uszy Kraka. Torpeda ruszyła ponad pustą płaszczyznę, ciągnąc za sobą cień własnego echa odbitego od dna.

Otworzyć dolne komory, miękki poszum wody przelewającej się szybko przez gładkie pociski. Prawdopodobnie następna torpeda ruszyła nieco później: na razie zignorować. Zaprogramować dwie rakiety z prawej podstawy głównej. Czekać. Czekać pędząc tuż nad dnem, podczas gdy śmiercionośna torpeda coraz głośniej i głośniej leci dokładnie na wprost. Zaprogramować po jednej torpedzie z każdej tylnej komory, żeby zaatakowały mózg centralny kierując się aktywnym sonarem. Czekać. Wszystkie torpedy to samo polecenie z opóźnieniem wykonania. A do celu zostały dwa kilometry, już mniej...

Wystrzelić rakietę, wystrzelić drugą.

Rakiety z wyciem pomknęły w dal. Torpeda zmieniła kurs i zniknęła w powodzi buczących dźwięków. Pierwsza rakietka zagłębiła się w tę chmurę. Druga skręciła i zniszczyła torpedę, gdy ta pojawiła się na nowo.

Zmienić kurs pod osłoną buczyków. Teraz – torpeda o trzy kilometry dalej. Zaprogramować dwie rakiety. Odległość od Kraka siedem

kilometrów. Otworzyć tylne komory i wyrzucić torpedy. Zamknąć komory, gdy już torpedy oddalą się z hukiem. Torpeda zachodzi z boku. Wystrzelić rakiety, wystrzelić drugą. Już nie ma rakiet w prawej głównej podstawie. Jego własne torpedy zignorowane przemykają obok tamtej.

Pierwsza rakietka zmuszona do ostrego manewru chybiła i usłyszał, jak jej silnik wyje podczas zawracania do pościgu. Druga zniknęła w zasłonie buczyków. Żadnego wybuchu.

Skręcić ogon. Wyrzucić buczyk z magazynu i uciekać pod osłoną jego zawodzenia. Zaprogramować rakiety na lewej głównej podstawie. Czekać. Wybrać taki czas, żeby rakietka przedartła się przez zasłonę buczyków przed nosem torpedy. Czekać. Wystrzelić ją. I uciekać w czasie, gdy ona wyje. Już tylko jedna rakietka w lewej podstawie głównej i dwanaście w magazynie w prawej komorze brzusznej. Gdyby mieć drugi magazyn w tym miejscu, gdzie była kapsuła!

Głośny wybuch po drugiej stronie buczyka, zderzenie rakietki z torpedą. Zawrócić w stronę Kraka.

Buczyk ucichł. Znów kompletna cisza, w której słychać tylko jego szept i głosy dwóch torped pędzących w oddali. Usłyszał, jak niszczą je bolty – to trzy bolty!

Kierunek wprost na Kraka, odległość sześć kilometrów. Dwie torpedy naraz ruszyły z fortu – i to powinny być dwie ostatnie. Skręt dziewięćdziesiąt stopni. Otworzyć boczne komory z przodu i z tyłu. Wyrzucić cztery torpedy i zamknąć drzwi, gdy odpłyną. Obrócić podstawy główne i wypuścić po trzy torpedy z każdej. Wszystkie sześć przecięło wodę i to wystarczy na atak. Uciekać od polujących na niego torped. Zaprogramować cztery rakietki, odczekać, aż zbliżą się myśliwi.

Daleko z tyłu upiorny dźwięk, gdy bolty ruszyły naprzeciw gromadzie jego torped. Zgrzyty i wybuchy, mieszanina morderczych dźwięków toczących się od strony fortu. Ścigające go torpedy zjawily się na tle odległego zgiełku, akurat gdy liczył wybuchy, po jednym boicie na każdy wstrząs.

Myśliwi zbliżyli się na odległość dwóch kilometrów. Wystrzelił te cztery rakiety. Jedna torpeda uciekła, pędząc przez pełne różnych dźwięków morze.

Unik i dwa buczyki. Unik w tył i wystrzelił makietę długim łukiem, bo Krak jest sprytny i mógł ostrzec swoją broń. Zaprogramować ostatnią rakietę z lewej głównej podstawy. Odczekać – i wyrzucić ją.

Rakieta skryła się w hałasie buczyków. Torpeda ominęła je i mierzyła w makietę. Nagle jej sonar odebrał gwałtowne pulsę. Ominęła makietę w odległości sześciuset metrów.

Wystrzelić rakietę i następnego buczyka. Ostro skrócić, wyłączyć moc i ześliznąć się na dno wśród powodzi dźwięków.

Cichy wybuch rakiety. Czekać. Gdy buczyk przestanie hałasować, ogłuszona torpeda będzie już za daleko i może nie odnaleźć swego celu nawet sonarem. Czekać.

Buczyk ucichł i powróciły puste przestrzenie oceanu. Torpeda zataczała ciasne kręgi, cofała się, robiła dzikie korkociągi – uszkodzona bliską eksplozją rakiety. Nasłuchiwał długie minuty, dopóki nie zgasł jej silnik.

Krakovi nie zostały już żadne torpedy. Ale miał jeszcze pięć, może sześć, boltów, a Demon miał tylko siedem rakiet, cztery makiety i piętnaście buczyków. „Nie dasz rady” – odezwał się czyjś głos.

Podniósł się z dna i zawrócił w stronę Kraka. Może będzie żył wiecznie

w tym upiornym królestwie, w tej otchłani maszyn. „Nie dasz rady” – odezwał się ten sam głos.

Będzie żył wiecznie, kiedy rozbiorą go na części, żeby dowiedzieć się dlaczego w ogóle żył. „Nie dasz rady” – szepnął głos. Rakiety mogą wystarczyć do przeprowadzenia go bezpiecznie przez całą drogę poza zasięg Kraka. Trasa, którą płynął była wolna od pułapek. Mógł nią wrócić, omijając kapsułę i zamknięte w niej zwłoki. Mógł zostawić Kraka z jego bezwartościowym imperium programów i żelaznych dusz, wycofać się w ciszę mórz. Ślizgał się miękko przez otwartą przestrzeń, życie zawieszony w niepamięci, ograbiony z własnego ciała i umieszczone w pożyczonej namiastce.

„Nie dasz rady”.

Dał moc na turbinę, dno westchnęło słabymi dopplerowskimi cieniami uciekając do tyłu. Dźwięk napędu rozmył się w gładkim brzmieniu. Na pełnej prędkości ruszył w stronę fortu.

O piątej nad ranem pokój w stacji nasłuchu wciąż był pełen. Byli tam nie tylko dyżurni technicy, Tangstad i Vinkler, ale też Connerman i jego czworo asystentów, Lelend i Neritz z krążownika, Jourdan i Joannę Davis, wreszcie Martin i sama Barbara. I nikt poza nią nie okazywał śladów zmęczenia, to po prostu byli inni ludzie.

Connerman obserwował przebieg bitwy, jakby to była czysto intelektualna rozrywka, ruchy na szachownicy przekazywane z daleka na ekranach. Gawędził sobie z asystentami, jakby go to nic a nic nie obchodziło. Zaangażowane siły były zdalnie sterowane i czysto mechaniczne, więc nie miał wyrzutów sumienia, że osobiście wysłał tam kogoś na śmierć. Kogoś lub coś – bo z pewnością zapisy rozmów

z poprzedniej wyprawy wskazywały na jakąś resztkę świadomości własnej osoby w mózgu Demona. Wszystko to dla Connermana miało znaczenie wyłącznie praktyczne. Nic, czym warto by się martwić. Po prostu decyzja, którą trzeba podjąć.

Ciągnące się odległe, podmorskie eksplozje były zakodowanym wskaźnikiem strat obrony Kraka. Nieco mylącym wskaźnikiem, bo wyglądało na to, że fort przynajmniej niektóre walki toczył za pomocą własnych ASB, żeby nie uszczuplać obrony centralnej. Czyli nie można było mieć pewności nawet wtedy, gdy już wszystkie dryfujące ASB przeprowadziły atak. Zdawało się, że to już koniec, gdy nagle zaczęło się nowe zamieszanie w obszarze wokół samego fortu, w odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów na wschód. Przypadkowy atak spóźnialskich unoszących się niemal nad samym fortem, które ruszyły dopiero wtedy, gdy spostrzegły, że minęły wyznaczoną pozycję. I ta ostatnia akcja grupki spóźnionych napastników do końca wyczerpała obronę wewnętrzną, więc Connerman musiał zdecydować. I miał kłopot.

Nikt, nawet Sowieci, nie wiedział gdzie osiadły trzy uzbrojone w broń nuklearną roboty, umieszczone na wszelki wypadek jeszcze przed wojną. Jeśli wszystkie trzy były po wschodniej stronie, to przynajmniej jeden mógł dotrzeć w okolice fortu. Jeśli wszystkie trzy były po nietkniętej zachodniej stronie, za nic nie przedostałyby się nawet przez sieć satelitów. Przynajmniej Connerman był świadomy straszliwych strat w ludziach, jakie przyniosłoby przejście Kraka przez próg nuklearny, i pociągnięcie za sobą całego łańcucha. Z pewnością był świadomy konsekwencji katastrofy, która by z tego wynikła.

Dlatego Connerman dokładnie wypytywał Lelanda o zdolności fortu do

reaktywowania obrony. Pokiwał głową i rozejrzał się za Vinklerem.

– Komandorze, chciałbym wysłać za pośrednictwem waszych kanałów sygnał do Rosjan na Wyspach Księcia Edwarda.

– Major Davis zaprowadzi pana do pokoju nadawczego.

– Nie mnie. Moich asystentów – pokazał głową na dwoje Rosjan, którzy ruszyli do drzwi. Joannę Davis poszła za nimi.

Wtedy Connerman pochwycił jej napięte spojrzenie, patrzył na nią przez chwilę, po czym poszedł w stronę drzwi. Holender chciał iść za nim, ale zatrzymał go machnięciem ręki. Wyszedł sam, a Barbara za nim.

Stał w pustym korytarzu marszcząc czoło z powodu ostrego światła. Jedna żarówka wściekle mrugała. Była zepsuta, lecz nie wymieniono jej – mały symbol zrujnowanego świata. Odwrócił głowę w stronę Barbary pytająco.

– Potwierdzenie ataku nuklearnego? Pokiwał swoją wielką głową.

– To ryzykowne. Powinieneś przynajmniej mieć jakieś wsparcie. Nie możesz poczekać, aż sprowadzą ci samolot albo raketę o dostatecznym zasięgu, żeby umieścić głowicę dokładnie w środku fortu? Nie sądziłam, że jesteś człowiekiem, który podejmuje jakiekolwiek ryzyko.

– Ja nie ryzykuję, Barbaro. Mam zabezpieczenie. I mamy czas. Jest jedna zdolna do działań bomba orbitalna – tym razem prawdziwa. Układ jej orbity jest taki, że może przybyć za sześć godzin, licząc od tej chwili. – Rzucił okiem na zegarek. – Jeśli zażądam teraz, to za sześć godzin i dwanaście minut. Ma trzy niezależne głowice megatonowe, które są w stanie przedrzeć się przez obronę powietrzną fortu, a także przypadkiem mają możliwość manewrowania na głębokiej wodzie. Wyniesiona została na orbitę niedawno, ale pochodzi ze starych zapasów, które miały za

pierwszym uderzeniem zniszczyć strategiczne okręty rakietowe. Sowieci nawet nie wiedzą, że to właśnie głowicę nuklearną wystrzeliliśmy na orbitę, więc oczywiście lepiej jej nie używać, jeśli ich własna może wykonać zadanie za nas. Ale teraz, gdy centralna obrona fortu jest mniejsza, możemy pomyśleć o jej wykorzystaniu, jeśli to będzie konieczne.

– Mój Boże! A cóż to za dokładna orbita, że przypadkiem zdarzyło się jej utrafić na czas? Ten cały cholerny pośpiech był po to, żeby pasował do niej, tak?

– Najwidoczniej. Chociaż szkoda, że kosztowało nas to utratę tej łodzi. To najbardziej pechowa strata. Naturalnie nie mamy ochoty na użycie tego sprzętu orbitalnego – to jedyny, jaki jest. I o wiele bardziej by nam pasowało, gdyby udało się Sowiecom. I w razie uaktywnienia ich robotów o wiele lepiej będzie – oprócz oczywistej korzyści utracenia jednego strategicznego przeciwnika – jeśli zostaną zniszczone, niż gdyby mieli je wyciągnąć i na nowo uzbroić. Liczba ocalałych systemów nuklearnych na tym teatrze jest tak mała, że po prostu nie możemy się bawić w parytety.

– Chryste Panie! A ja naprawdę myślałam, że teraz mamy współpracować z Sowiecami, a nie nadal trzymać się tego sposobu myślenia. Mamy podobno razem starać się poskładać ten świat.

– No, tak. To zależy, którą maskę akurat nosimy. Ale pomyśl, żeby zapomnieć o własnym bezpieczeństwie pachnie niebezpiecznie radykalizmem. To może być źle zrozumiane.

Przyglądała mu się i przerażała ją ta twarz oświetlona mrugającą żarówką. Wzruszyła ramionami.

– A do diabła z radykalizmem. To całe cholerstwo jest tak przesiąknięte

cynizmem, że rzygać się chce.

Connerman zaśmiał się nieprzyjemnie. Drzwi otwały się i pojawił się Holender.

– Coś się działo w samym forcie. Kilka małych wybuchów.

– Znowu źle policzyliśmy – zdenerwował się Connerman. – Co mówi Leland?

– Nie uszkodzi to fortu. Ale uważa, że skoro coś podeszło aż tak blisko, to znaczy, że fort zużył wszystkie swoje torpedy.

– Dobrze – zawołał Connerman. – Bardzo dobrze. „Nie zniszczył mnie! Miał mnie zniszczyć! Uwolnić mnie!” Wybuch rozdziera powłokę ciśnieniową, ocean wpada do środka, niszczy moduły obliczeniowe i system odżywiania, momentalnie miazdży miękkie płatki żywej tkanki. Żywy, wyjałowiony mózg. Mózg ginie, ocean triumfuje i po wszystkim.

Ale nie zniszczył go.

Pięć boltów ruszyło wyjąć, gdy był zaledwie o kilometr – za blisko, żeby zawrócić i uciekać, aż skończy im się niewielki zapas paliwa. Odpalił rakiety i buczyki, po czym zmienił kurs czekając, aż Krak wystrzeli następne bolty. Siedem raket przechwyciło tylko cztery z nich i szybkie detonacje na tle zawodzących buczyków przetoczyły się po wodzie. Piąty bolt pędził dalej sto metrów, czyli dziesięć sekund, za nim. Zostawił dwa buczyki, wystrzelił makietę wprost przed siebie i momentalnie skręcił ostrym łukiem. Bolt wystrzelił zza zasłony dźwiękowej ponad jego głową i zniszczył makietę.

Nic więcej nie nadpłynęło od strony Kraka.

Płynął przez kilka długich minut i nic się nie wydarzyło. Powoli uświadomił sobie, że nic się nie wydarzy – nawet magazyny ASB musiały

być puste. Krak utracił wszystkie centralne zasoby obronne i musiał wysłać wszystkie podmorskie ASB. Do czasu gdy, być może, wysła polecenie do którejś, żeby wróciła albo wysła transporter dla zebrania rozstawionych rakiet, centrum Kraka było nagie. Bezbronne.

A Demon nie miał nic. Trzy makiety i osiem buczyków. Żadnej broni! Gdyby mu nie wetknęli tej kapsuły, mógł zabrać jeszcze jeden magazyn rakiet albo może minę!

Krak nie miał osłony, a on nie mógł go zniszczyć.

Miękko próbując swoim sonarem, popłynął do najbliższego czujnika sześciokątnej sieci nasłuchowej. Na obrazie kamery sterczała wysoko z żółtego dna metalowa kolumna z jajowatym kształtem na szczycie, posterunek nasłuchowy wyższy od jego kadłuba postawionego pionowo. Przez chwilę wisiał tak spoglądając na niego, a potem obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni. Kierując się kamerą pod dziobem, ustawił kolumnę na wprost wejścia do swego prześwitu napędowego. Wtedy włączył turbinę na pełną prędkość.

Słup zadygotał, poddał się i rozpekł na dwie części. Podpłynął do złamanej podstawy i wysunął ramię przecinaka, który zabił kałamarnicę. Poprzecinał obnażone kable i ruszył dalej.

Zmiażdżył wszystkie sensory w rozległej na kilometr sieci. Przy trzecim znalazł otwartą podstawę i kabel ustawiony pionowo w kierunku odległego świata nad powierzchnią. Może sensor radaru? Przeciął i ten. Po stronie zachodniej znalazł się w zasięgu zupełnie nietkniętych satelitów obronnych, ale nie trafiła go żadna torpeda. Krak musiał zorientować się, że jego celowi wystarczy tylko tysiąc metrów, aby uciec poza zasięg torpedy, co oznaczało jej utratę. Omylny mózg ludzki mógł próbować

w nieskończoność tego samego, ale nie Krak. Krak był zimną maszyną i to nie była jego wina, że zaniedbali wyposażenia go w większe magazyny broni.

Zniszczenie sieci nasłuchowej nie mogło oślepić Kraka. Miał jeszcze mniejszy odbiornik soniczny na każdym z sześciu satelitów, do ogólnego dalekiego nasłuchu miał wciąż pięć spośród sześciu zewnętrznych sensorów, leżących w połowie drogi do granicy obrony. Ale sieć nasłuchowa była uchem, które rozróżniało wszystko, wyczuwało najprecyzyjniej. Demon je zniszczył.

Potem popłynął w samo serce.

Za pomocą sonaru widział doskonale, wyraźnie rozróżniał szczegóły. Dzięki lawinie szemrzących ech słyszał każdą falkę wyrzeźbioną przez prądy na płaskim dnie morza, mógł odgadnąć ciężkie odgłosy siatek przechwytyjących ciepło dla centrum Kraka. Słyszał kształt wieży załadowczej wraz z jednym z transporterów zaczepionym do ramienia. Twarde, zwielokrotnione echo nieco przesunięte w jedną stronę – otwarte i puste przegrody magazynu torped zatopione w mule. Wszystkie podstawowe części Kraka były zagrzebane w dnie. Odnalazł czapę z żelazobetonu należącą do zastępczego, uspiętego teraz reaktora. Znalazł rzędy pustych silosów po ASB, niektóre jednak były wciąż zapieczętowane. Te musiały zawierać rakiety powietrzne przeciwokrętowe lub przeciwlotnicze, bezużyteczne wobec najazdu łodzi podwodnej. Znalazł szeroki budynek głównego reaktora, skorupę nie do zdobycia, ledwie wystającą z mułu. Głowica torpedy rozbiłaby ją i wpuściła czyhające morze, ale nie chwytne ramię ani szpony przecinaka. A wszystkie kable i połączenia spinające rozrzucone wnętrza Kraka

były zakopane na bezpiecznej głębokości.

Długi, głęboki, pulsujący dźwięk cicho przetoczył się przez ocean, leniwie zawodząc w modulacjach. Był zamazany, ale ciągnące się tam i z powrotem echo wskazywało na pomocny zachód. Po tamtej stronie leżały Wyspy Księcia Edwarda, oznaczone w zaprogramowanej w nim mapie jako sowieckie. Jego dawny umysł coś pamiętał – że przypadły Rosjanom, gdy Afryka Południowa ostatecznie wpadła w ręce wspieranych przez nich powstańców. Dziwne, że przypomniał sobie coś takiego. Ile jeszcze zachowało się po rozkawałkowaniu? W każdym razie nie jego prawdziwe imię.

W bałaganie obiektów rozstawionych na oceanicznej równinie odnalazł silos dowodzenia, rdzeń mózgowy. Sonar zanucił echem o ostrych krawędziach na szerokości trzech metrów i tylko do pół metra ponad miękki muł. Zatrzymał się nad nim zastanawiając się. „Nie dasz rady”, powrócił nie należący do niego głos.

Ogłuszony. Zalany. Starty przez nagły hałas.

Wyłączył swoje sonarne uszy kuląc się pod czymś w rodzaju bólu. Cały ocean zniknął w jednej masie jaskrawego dźwięku. A więc to Krak ryczał tym głosem nie do zniesienia.

Jeśli wzywał w ten sposób roboty oddalone o tysiąc kilometrów, to mógł też zakryć swoje serce bagnistą plątaniną dźwięków nie do przebycia.

Demon przełączył się na kamerę umieszczoną pod dziobem i jej bliźniacze dwa reflektory. Głupi jesteś, mój Krak. Można cię zobaczyć.

Była to betonowa czapa otoczona bladożółtym mułem okrzemek. Szary krąg był idealnie płaski poza obręczami do unoszenia. Sonar już wcześniej

poinformował go, że ma czterdzieści centymetrów grubości, wewnątrz jest stalowa skorupa, a dalej wrzawa nie do przeniknięcia. Jedna mała dziurka i ocean wtargnie do środka, zaleje i zniszczy mikroobwodowe wnętrzości Kraka. Tylko jeden mały otwór lub pęknięcie. Tylko jedno, a Krak zginie.

A powinien zginąć. Bo dzięki tej śmierci mógł uciec. Zastanawiał się chwilę, a ocean zaciemniał się rozbrzmiewającym potężnym głosem Kraka. Przełączył się na sensory elektryczne, żeby wyśledzić rdzeń poza zasięgiem światła.

Podłużne rozdarcie w polu elektrycznym. Coś...

Silniki manewrujące kichnęły, turbina zawirosowała i Demon odsunął się na bok. Transporter z wieży załadowczej przesunął się pod okiem kamery.

A więc Krak ryczał nie bez celu, chciał go ogłuszyć i wtedy pokazać transporterowi, dokąd płynąć. Z bliska mógł się kierować sylwetką jego kadłuba na tle dźwięku albo nawet jego światłami. Przechylił się w ostrym skrucie i dogonił robota.

Był szybszy, dużo od niego szybszy i mógł lepiej manewrować. Umknął przed drugą próbą staranowania go i wspiał się na grzbiet robota. Demon wepchnął go w muł, wkręcił i odskoczył od rozpędzonego wraku.

Mieć takie ciało. Jakież potężne miał ciało!

Ryk ustał. Zniknął. Ocean znów rozbrzmiewał pustką.

Demon słuchał dźwięków maszynierii mielonej w rozbitym wnętrzu transportera. Metaliczne głosy przytłumione chmurą osadu milkły jeden po drugim.

W kojącej ciszy uniósł się spiralnym ruchem na czystą wodę, dążąc do miejsca wysoko ponad centrum dowodzenia. Skierował nos ku dołowi. Powracające pulsły sonaru wyrysowały przed nim mapę Kraka – zbiorniki

rakiet, czapy reaktorów, puste magazyny i wrak robota, pobrużdżony muł i w środku cel: rdzeń mózgu.

Miał teraz potężne ciało. Gdyby tylko nie było tej męczącej pamięci, że kiedyś miał inne. Miał nawet własne imię.

Sześćdziesiąt ton wyporności plus cztery, sześćdziesiąt cztery tony zerowej pławności, na którą składały się szkielet kadłuba i uwięziona masa wody. Uderzy z prędkością trzydziestu dwóch i pół węzła, sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, siedemnastu metrów na sekundę.

Dosyć, żeby rozerwać rdzeń i pozwolić oceanowi poszarpać delikatną elektronikę.

Co za szkoda, że odzyskał pamięć, teraz kiedy znał nawet swoje imię.

„Nie dasz rady”, odezwał się czyjś głos.

Rozpędził szepczącą turbinę i dźwiękowy obraz zaczął rosnąć.

Cicho i daleko na północy zawył silnik torpedy pędzącej za niczym.

I wtedy zapłonął dźwiękiem ocean.

Wyrównał wśród szumu wody. Słyszał fontannę hałasu. Cały ocean tonął w przetaczającym się grzmocie, który malował czysty relief na pomarszczonym falami dachu cztery i pół kilometra wyżej. Słyszał odbicie całej równiny, nawet ledwo słyszalne małe echo od odległych o dwadzieścia kilometrów satelitów obronnych. Nie kończące się echa rozpląnęły się w oddali, dach morza zniknął, a równina znów stała się upiorną nicością.

Głowica nuklearna?

Na północnym zachodzie usłyszał dwie torpedy pędzące do ataku. Po chwili ocean znów zapłonął.

Gdy gigantyczne zderzenie ścichło, usłyszał pomieszane echa mętnej

chmury osadu podniesionej pierwszym wybuchem. Usłyszał olbrzymie pióropusze gejzerów i zamazujący wszystko cienki welon mułu, podniesiony z dna przez trzęsienie ziemi. Usłyszał początki sztormu na powierzchni, gdy wylewająca się woda zmiądzzyła lód i cisnęła góry morskiego krajobrazu w stronę nieba.

Demon czekał ponad centrum dowodzenia w świecie pełnym gwałtownych dźwięków. Wraz z Krakiem czekał na następne i czekał na jego odpowiedź.

Bardzo cicho zbliżała się ASB, odległa tylko o cztery kilometry od odsłoniętej flanki Kraka. Płynęła z prędkością jakichś czterdziestu węzłów. Brzmienie silnika sprawiało, że wydawała się większa. Osobne badanie udowodniło jej radziecką tożsamość. Obliczał właśnie parametry pierwszych wybuchów.

Drugi właśnie bardzo daleko przebił pofalowaną powierzchnię.

Krak był już właściwie martwy. ASB miała dotrzeć do środka jego serca i zetrzeć je na proch. Zetrzeć także Demona. Nie będzie już cyborga ani zaciemnionej przeszłości, nie będzie więzienia wewnątrz maszyny w obcym świecie oceanów. Nie będzie ciała tak drobnego i cichego, że umknęło Krakowi, tak sprawnego, że zabiło kałamarnicę bez użycia rakiet, tak doskonałego, że czyniło go królem mórz.

ASB była o dwa kilometry. Z całą pewnością zniszczy Demona z pięciuset metrów na pięćdziesiąt procent z ośmiuset metrów, na dziesięć procent z tysiąca czterystu. Właśnie minęła tysiąc czterysta.

Każdy kierunek był równie dobry. Gdyby wrócił, poddałiby go trwającym wieki testom, pokroiliby go na nieskończoną ilość kawałków.

ASB przekroczyła tysiąc metrów.

Demon skręcił na południowy wschód i rozpędził się. Nabierał wysokości, żeby podmuch nie rzucił nim o dno. Miał przynajmniej jakieś życie. I miał imię, które brzmiało „Demon”.

Demon skręcił i pognał dalej.

Joannę Davis weszła do stacji nasłuchu, zatrzymując się przy drzwiach, żeby strzepać śnieg z butów. Kręciła się całe rano organizując ofiary do przekopywania na nowo zasypanych ścieżek. Przez chwilę nawet nie wyglądała, jakby nie spała całą noc. Ściągnęła nylonowy płaszcz i rzuciła go na jedno z krzeseł w przedsionku.

– Nie jest tak zimno. Tutaj nigdy nie jest. Kto został? Widziałam, że Calvet wychodził.

Kapitan Calvet nawet przybył ze statku z poranną wizytą, żeby przejrzeć wyniki bitwy z fortem, który zniszczył jego okręt – i prawdopodobnie specjalnie po to, żeby się zobaczyć z Connermanem. I jeszcze może po to, żeby się nacieszyć porażką Demona. Miał sposób bycia, który sugerował to podejście starej daty wojskowych, ubolewające nad zwiększeniem udziału maszyn w wojnie i popierające ludzi jako żołnierzy, żeby zmniejszyć jej zimną straszliwość – tak jakby lepiej było rozpruć człowieka niż maszynę.

– Nie, ciągle jeszcze zadaje pytania – odpowiedział jej Martin. Davis skinęła głową.

– Prowadzi wyrywkowe badania, co?

Barbara wyciągnęła przed siebie zdrętwiałe nogi siadłszy na jednym z krzeseł. A niech je licho – kiedy za długo spała, to sztywniały, kiedy nie spała, zaczynały rwać.

– On dokładnie wie czego chce – stłumiła ziewnięcie. – Dokładnie.

– A twój przełożony?

Wzruszyła ramionami. Fort był w końcu zniszczony – zmieciony, gdy trzecia rakietą nuklearną rozerwała się nad jego centrum. Przynajmniej podany do publicznej wiadomości główny cel został osiągnięty.

– Alternatywa. Chce mieć alternatywę. Mieliśmy tam trzy głowice średniej wielkości, zmiażdżone reaktory fortu, plus prawdopodobnie jego własne zapasy nuklearne w magazynach. To niesamowita ilość promieniowania, niesamowita ilość remów uwolniona do nawet tak brudnego świata. Muszą mieć na kogo to zwalić. Ty myślisz, że dlaczego odpowiedni dowódca wojskowy nie został wyznaczony do przeprowadzenia tej operacji? Bo muszą się podlizywać wojskowym, a nie chcą wystawiać na szwank własnych głów.

– To jasne. Myślisz, że wystawili cię na odstrzał?

– Takie mam zadanie. Przedtem dali mi przynajmniej coś, nad czym w pewnym stopniu sprawowałam kontrolę.

– Ech, to wariactwo – Davis pokręciła głową. – Wiesz? Prawie każdy jest na ciebie przynajmniej trochę obrażony. Uważają, że to ty trzymasz wszystkie nitki w rękę i wierzą, że robisz to według własnego widzimisię. Nie widzą, że jesteś tylko bardziej skomplikowaną marionetką kierowaną gdzieś z góry. W jaki sposób cały świat widziany oczami zwykłego człowieka jest tylko rzędem ludzi poruszanych sznurkami.

– Tańczące marionetki – zamyślił się Martin.

– Pewnie. Śliczne tańczące marionetki.

Leland nadszedł korytarzem z pokoju nasłuchu, a za nim Descoe i jego asystentka Kalen. Leland był przybity, Descoe zaledwie smutny. Wszyscy troje stanęli w przedsionku, wyglądając przez okno na przysypany

śniegiem świat.

– Co z tym hałasem w forcie? – zaczęła ich Davis. – Don już sprawdził jego czas?

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy rozpoczęła się aktywacja nuklearna, Krak ryknął dzikim głosem na cały ocean. Przynajmniej zdawało się, że w tym samym czasie, ale fort nie leżał na linii między Księciem Edwardem a Kerguleną, więc czasy musiano sprawdzić. Jeśli hałas ten nie był próbą zagłuszenia przez Kraka sygnału aktywacji, to nie dało się go wytłumaczyć. I tak nic nie dał, dzięki rozstawieniu radzieckich rakiet na północnym łuku.

Connerman nie pozwolił – zaprzeczył Leland. – Kontroluje całą tę operację.

– Coś w tym śmierdzi – Descoe zmarszczył nos. – Wyrzucają coś takiego jak Demon, zupełnie jakby to była jedna z ich strategii politycznych.

– Rozczarowany? – zadrwiła Davis. – Muszę przyznać, że ja też myślałam o powodzeniu tej wersji bezatomowej. Po prostu nie było żadnej alternatywy dla rozwiązania nuklearnego.

– Też tak myślałam – potwierdziła Barbara. Myślała, że ten nieostrożny pośpiech ma zaoszczędzić czasu i kłopotów, a okazało się, że to było starannie zaplanowane i miało zbiegnąć się z wcześniej ustalonym użyciem broni nuklearnej. Chociaż gdyby dostatecznie osłabili obronę, to może Demona, gdyby przeżył, wysłano by z wystarczającym zapasem broni, żeby zabić Kraka bez takiego rozmachu. Ale nie mieli Demona, więc może racja była po stronie Connermana?

– Wiesz, gdyby nie konsekwencje, to szkoda, że Krak-2 się nie

uaktywnił. Dobrze by im się przysłużył. Słyszał, jak rakiety niszczą jego przyjaciela, prawda?

– Ale wolałbym, żebyś nie mówiła tego nawet żartem – stwierdził poważnie Leland. – Po tym Krak-2 będzie jeszcze bardziej podejrzliwy w czasie zabezpieczania, a gdziekolwiek to będzie, ja znajdę się w tym zespole. Jestem na miejscu, a po tym ostatnim bardzo brakuje specjalistów. Bóg mi świadkiem, że się załamie. – Pomaszerował do drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– A nikt – odezwała się Kalen – chyba nie pamięta o Maggie Blaine. – Rozejrzała się oskarżycielsko. Martin wzruszył ramionami.

– O ile pamiętam, suma dokonań Kraka wynosiła już wtedy dziewięć statków, siedem samolotów, jedna łódź podwodna i wszystkie załogi. Czteryście osiemdziesiąt dziewięć ofiar. Maggie Blaine była tylko czterysta dziewięćdziesiątą. – Machnął ręką. – Po jakimś czasie traci się rachubę.

– Tak, ale to było bezcelowe, na litość Boską.

Barbara spodziewała się, że Martin odezwie się z czymś w rodzaju potępienia w głosie. Wszystkie ofiary Kraka były bezcelowe. Krak był bezcelowy i cała ta wojna.

Martin jedynie kiwnął spokojnie głową.

Descoe i Kalen wyszli ze stacji nasłuchu. Descoe miał na głowie swój zespół bez przydziału. W tym zachłannym na personel świecie niemal z pewnością zostanie rozbity, a ludzie przydzieleni gdzie popadnie, z wyjątkiem tych nieszczęśliwych, którzy zostaną, aby zapełnić dziury na Kerguleniu, Choć bez wątplenia były bardziej przygnębiające miejsca.

Connerman wynurzył się z pokoju nasłuchu ze swoją niewielką, uzbrojoną świtą. Maszerował dziarsko przez korytarz marszcząc brwi.

Barbara zdecydowała się nie wstawać – jej pozycja była tak podkopana, że nie mógł jej zaszkodzić brak subordynacji.

Connerman zatrzymał się, wyjrzał na dwór. Zatarł ręce.

– Szkoda, że nie mogę zostać. W ANTARKTYDZIE są teraz krótkie dni, chociaż o tej porze roku światła tu jest tyle samo. Pewnie ciągle wieje wichura. – Odwrócił się nagle z uśmiechem do Barbary. – Cóż, przynajmniej nie musieliśmy korzystać z naszego zabezpieczenia.

Rzuciła okiem na jego rosyjskich asystentów. Nawet nie mrugnęli okiem. A do licha z tym draniem Connermanem – kiedy miał kogo popychać i z kim się bawić, lubił z tego korzystać.

– A co do tej nieszczęśliwej utraty pierwszorzędnej broni na obszarze wykrwawionym do reszty. – Uśmiech zniknął. Potrzęsnał swą ciężką głową. – Niektórzy ludzie mogą to zinterpretować bardzo nieprzychylnie. Jej jedynym osiągnięciem było zniszczenie odległego satelity fortu, a potem najwidoczniej dostarczenie Hydry na tyle blisko, żeby wzięła na siebie kilka torped i ASB z fortu. Mogą zwrócić uwagę na to, że nieuwzględnienie pasażera w tej operacji pozwoliłoby mu płynąć wolniej i ciszej, co zwiększyłoby szansę jego przeżycia. Mogą też kwestionować powód, dla którego wątpiono w krótkoterminową wiarygodność systemu dowodzenia. Razem stanowi to stratę niepowetowaną, roztrwonienie potencjału wojennego.

– Tak samo, jak kontynuowanie zabezpieczenia bez sprawdzenia, dlaczego pilnujące fortu zwierzę bojowe nie odpowiedziało na odwołanie.

Connerman uśmiechnął się miękko. Spojrzał uważnie na Joannę Davis i na Martina.

– Oczywiście, to prawda. Chyba nie muszę w twoim imieniu nikomu

przypominać, że nie jest to sprawa nadająca się do publicznych dyskusji. Niewątpliwie masz własne plany, jak by tu rozsiewać powoli tę informację. Ale uważaj, Barbaro. Nie chcesz chyba, żeby twoje poglądy polityczne poddano w wątpliwość.

– Nie chcę – wyjrzała na dwór, zastanawiając się nad najbliższą przyszłością. – A więc?

– Hm, przez jakiś czas możesz zostać tutaj. Możesz rozpocząć wydobywanie czynnych i uśpionych rakiet wewnątrz strefy obrony fortu. Możesz znowu korzystać z usług Lelanda jako doradcy i dam ci do dyspozycji wszelki dostępny personel i specjalistyczny sprzęt, jakiego będziesz potrzebować. Możesz tu zatrzymać Hausmanna, bo pewnie przyda ci się pomocnik do spraw organizacyjnych. Mogę cię zapewnić, że w miarę szybko zdobędziesz dostęp do minimum wyposażenia, bo otwarcie tego obszaru dla żeglugi jest tu następnym priorytetem. Poziom, na jakim zatrudniono kogoś o twoim talencie jest godny pożałowania, ale jestem pewien, że następna decyzja o przeniesieniu nadejdzie niedługo. Coś bardziej odpowiedniego.

Barbara tylko skinęła głową.

Connerman poszedł z czwórką swoich asystentów ścieżką przekopaną wśród śniegu. Czysta i pewna hierarchia ważności została w całej bazie przedstawiona za pomocą różnych szerokości ścieżek. Tabela priorytetów wyznaczona przez kożuch śniegu. Jakże to się różniło od warstw bezgranicznej i nieokreślonej władzy ustanowionej i sprawowanej w świecie stanu wojny. Władza bezgraniczna, ograniczona jedynie władzą odwołania przez wyższego stopniem. Pozwalać na prostą politykę „żadnych ograniczeń, dopóki nie powiem nie” było najprostszym

sposobem zabezpieczenia koniecznej władzy. A jednocześnie sposobem najbardziej przerażającym.

– Jaką informację rozsiewać? – zdumiała się Davis. – O jakim pilnującym zwierzęciu?

– Później – machnęła ręką Barbara. – Jestem zmęczona. Jak później zapomnę, to zapytaj Lelanda.

– Co miał na myśli mówiąc bardziej odpowiedniego? – zainteresował się Martin.

– Zależy od biegu wydarzeń. Jeśli komuś w Szklanej Górze się nie spodoba, to jednocześnie polecę w dół. Może. Wyślą mnie do jakiejś parszywej dziury, czy coś takiego.

– Mogło być gorzej – postraszyła ją Davis. – Zawsze mogli cię przeznaczyć do wykorzystania na cyborga. Martwa, a jednocześnie żywa w głębokim morzu. Martin potrząsnął głową.

– To wcale nie jest śmieszne.

Rozdział 11

Barbara Kastner spędziła dwa miesiące na Kergulenie zbierając i organizując zespół pracowników cywilnych i wojskowych, który miał zacząć długą i ostrożną pracę związaną z umiejscawianiem i wydobywaniem wszystkich systemów ASB rozstawionych przez zniszczony fort. Potem nadeszło jej przeniesienie.

Krak-2 spoczywał na dnie morza tysiąc osiemset kilometrów na zachód od Kraka-1, trochę bardziej na południe. Stały pak rozciągnął nad nim grubą skórę podczas zimy, gdy sięgnął ponad jedną trzecią drogi do kontynentu afrykańskiego. Przy możliwości, że w pełni wyposażony okręt będzie dostępny dopiero latem, zespół zabezpieczający z minimalnym wsparciem ulokował się na powierzchni lodu dokładnie nad fortem. Zbili tratwy, zbudowali schron roboczy, przecięli lód i spuścili aparaturę odwołującą. Żadna kałamarnica nie zjawiała się, żeby mogli ją złapać w głębinowe sieci, włączyć elektrody ogłuszające i odpalić kanistry z zabójczą substancją. I tym razem żadna kałamarnica nie przeszkadzała w zabezpieczeniu.

Barbara dostała zadanie znalezienia tej kałamarnicy albo stwierdzenie, że bezpiecznie zginęła. Miała pierwszeństwo wyboru sprzętu i załogi oraz całą zimę, dopóki nie popękały lody, żeby znaleźć ją lub jej szczątki lub udowodnić, że po prostu jej tam nie ma. Zadanie nie tak całkiem niewykonalne. Gdyby nie znalazła żadnego rozwiązania do wiosny, zespół zabezpieczający miał próbować dalej z Krakiem-4 na Morzu Weddela albo z Krakiem-3 dalej na północy, pomiędzy południową Wyspą Sandwicha a Wyspą Bouveta. Barbara miała zostać na czymś w rodzaju stałej stacji

okrętowej, ciągle szukając tej kałamarnicy. Pewnie mogła jej szukać wiecznie. Nie mogła powiedzieć, że zaginęła, dopóki nie miała pewności – uaktywnienie drugiego fortu byłoby wyłącznie jej winą. A jeśliby dobrze sobie poradziła, mogło się okazać, że będzie na tych samych warunkach szukać każdej zagubionej kałamarnicy. Może w końcu, jeśli dłużej posiedzi bez żadnych sukcesów, po prostu odwołają ją i nigdy więcej nie wyznaczą. Mogła symulować chorobę psychiczną – obsesyjną potrzebę znalezienia tego stwora.

Siedziała zamknięta w ciasnej, pełnej wrzawy wiosce z małych pudełek domków rozstawionych bezładnie na lodzie.

Demona wyciągnięto akurat zanim przeniesiono ją z Kerguley. Pierwszy zespół, który dotarł aż do siedziby Kraka-1, znalazł zwłoki maszyny ledwie utrzymujące się na powierzchni. Dryfowały pośród zamarzniętej tafli lodu tam, gdzie ładunki nuklearne przeorały morze. Wstrząs uszkodził maszynę na pokładzie łodzi, ale szkielet kadłuba pozostał nienaruszony. Kapsuła zasilania i kapsuła jednostki dowodzenia były pęknięte i zatopione. Demonowi musiało zająć godziny, a może nawet dni, zanim wypłynął na powierzchnię po automatycznym wyrzuceniu awaryjnego balastu. Były to pływające zwłoki, wąskie, czarne, zatopione zwłoki i pokierszowane od wewnątrz.

Zatopienie pod ciśnieniem całkowicie zniszczyło systemy dowodzenia i rozerwało element SACYS. Ale pełne taśmy z zapisem misji były nietknięte.

Descoe jeszcze tam był wraz ze swym zespołem, dołączonym do operacji wyławiania. Przesłuchali taśmy i Barbara wreszcie poznała dokładny przebieg walki Demona. Zapisy komunikacji głosowej były

wstrząsające. Ktoś zaproponował, żeby wydobyc kapsułę z ciałem Blaine, skoro znali jej dokładną pozycję z zapisów. Ale to była zupełna strata czasu.

Taśmy ujawniły rolę Demona w otwarciu fortu przez użycie ASB i Hydry, przez atak odciągający wewnętrzne torpedy i przez swój własny ostatni wypad. Przez ten końcowy, niemal samobójczy krok ściągnął na siebie bolty, które w przeciwnym wypadku zatrzymałyby radziecką raketę, a wtedy Connerman, mimo wszystko, musiałby użyć swojego zabezpieczenia. A bez ataku Demona nawet to by nic nie pomogło. Krak-1 przeżyłby, spowodował reakcję jądrową i pociągnął za sobą resztę łańcucha.

Pomyślała, że przynajmniej ma tę pociechę.

Zapisy rozmów były wszystkim, co ocalało poza serią działań zupełnie bez komentarzy. Naciskanie na atak, ignorowanie niezależnej rady systemu dodatkowego, skierowanie się przeciwko mózgowi fortu. Próbował się zabić i zabrać z sobą Kraka. Zmiażdżył sieć nasłuchową, a potem szukał silosu dowodzenia. Unieszkodliwił transporter i szykował się do zabicia Kraka. Wtedy stało się jasne, że Krak i tak zginie, więc Demon zawrócił i uciekł.

Pytał Blaine, czy wie, jak przedtem miał na imię. Eksperci mogli pleść, co im się podobało. Mózg pochodzący od człowieka w jakiś sposób wiedział, co stracił i czym się stał. Dlatego uciekł.

Kiedy Barbara dostała przeniesienie do Kraka-2, Martina Hausmanna umieszczono z powrotem w stacji Leningradskaja. Joannę Davis dostała awans i polecenie zajęcia się operacją wydobywania. Gdy to się skończyło, opuściła Kergulene, gdzie nie było miejsca dla Vinklera jako komandora

floty ani dla niej jako podpułkownika. W tym czasie, oczywiście, wiadomość o kałamarnicy-strażniku, która nie odpowiedziała na wezwanie, rozeszła się już szeroko. Barbara uznała, że nie należy mówić o planowanym użyciu orbitalnej bomby nuklearnej.

Drżała z zimna na warstwie lodu ponad nieprawdopodobną ciemnością i nienawidziła jej. Za pomocą zdalnie sterowanego sprzętu polowała na brakującą kałamarnicę – starając się znaleźć wiarygodny sposób na systematyczne poszukiwania – i bała się ją znaleźć, żeby nie posłano jej do szukania następnej. Bała się ją zobaczyć – seria ujęć zarejestrowanych oczami Demona starczyła, żeby nawiedzać ją w snach. Myślała często o Demonie zamkniętym w pułapce doskonałego ciała, ale który w końcu odnalazł spokój.

Samotna jak wszyscy w nagim, zrujnowanym i dopiero ledwo wracającym do zdrowia świecie zaczynała nienawidzić Antarktyki tak samo jak oceanu.

Znalazła kałamarnicę martwą i przynajmniej skończył się ten powoli mijający rok. A potem wysłali ją na urlop do domu.